

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłem się w 1923 r. w Łepach. Jak wybuchła wojna w 39 r. miałem ukończone 3 klasy gimnazjum im. Piłsudskiego przy ul. Warszawskiej w Białymstoku. Jego dyrektorem był Wacław Kwapiński. Na przeciwko tego gimnazjum był wtedy kościół ewangelicki - dzisiaj kościół św. Wojciecha - którego pastorem był Kühn z którego synem chodziłem do jednej klasy, w tej samej grupie bo klasa była podzielona na dwie grupy jeśli chodzi o zajęcia praktyczne. I czasami jak przyjeżdżałem na zajęcia to musieliśmy razem czekać dwie godziny bo zajęcia miała ta druga grupa. Mając tyle czasu zachodziliśmy do niego nierzaz jak do kolegi. Czuję już wtedy, że stosunek jego ojca do nas był niedobry. Traktował nas z góry, tak, że nawet powiedział synowi, żeby więcej nas nie przyprowadzał. Potem dowiedzieliśmy się, że jego ojciec pracował na rzecz wywiadu niemieckiego. Na strychu ich mieszkania mieli radiostację.

Pierwsze bomby spadły na Łepy chyba 3 września na dom, prawie blok. Była to własność fryzjera, który wyjechał do USA, ten się dorobił wrócił i postawił ten budynek. Mieszkało w nim 14 lokatorów. Sam mieszkał w drewnianej przybudówce. Zginęło wtedy chyba 5 osób. Nalot był co prawda na zakłady. To ulica ta nazywała się Główna a fryzjer był Falkowski.

Z nim to była jeszcze taka sprawa. Ten jego dom jeden i drugi spaliły się. Wtedy tak dalej od ulicy pobudował, już po wojnie, taki barak, gdzie zamieszkała jego rodzina. No i któregoś razu, gdy razem z Huzarem zaszliśmy do Łep - u Huzara chłopków z Łep było chyba ze 12. - no i pomyślałem sobie, że dobrze by było zejść do jakiegoś fryzjera ostrzyć. Wtedy na myśl przyszedł mi właśnie Falkowski. Świśla u niego nie było a on miał już grubo po siedemdziesiątce. No panie Falkowski -

powiedzialem - może tak po starej znajomości mnie pan ostrzy-  
że? - Dobra. Niech pan siada. - No ale co to była za robota  
przy lampie naftowej. Jak on mnie ostrzygł, to przez dwa ty-  
godnie to czapki nie zdejmowałem. Jak odrosło mi to po jakimś  
trzech tygodniach to poszedłem do młodszego fryzjera na wsi i  
i jakoś mi to wyrównał.

8 czy 9 września 1939 r. na stacji stał transport wojska i  
wtedy Niemcy przylecieli i zbombardowali stację. To wtedy zgi-  
nęła ich kilku. To moje ciotka zajęła się ich pochówkiem. Po-  
chowano ich na wysypisku śmieci za torami. To miejsce zwano  
wtedy Sachalinem.

Sowieci przyszli chyba 18 września. Oni jechali chyba od  
Suraża. Pierwsze co zobaczyliśmy to była bryczka. Siedziało  
na niej chyba z osmiu. Konie ledwie lażą. Karabiny na kablu te-  
lefonicznym. Z płaszczy zwisają strzepy nici, normalnie dzie-  
dy. Za nimi szła reszta piechotę i na wozach załadowanych  
skrzynkami z amunicją.

No trzeba było iść się uczyć. Pojechałem do Białegostoku  
i spotkałem się z kolegami ze szkoły. Ale przyszło nas tylko  
14-tu, w sytuacji gdy tylko nasza klasa liczyła blisko 40-tu  
uczniów. No i rozwiązano naszą szkołę.

Ojciec wtedy nie było jeszcze w domu, bo tuż przed 1 wrześ-  
nia wszystkich kolejarzy - a Lapy należały do Wileńskiej DOKP  
ewakuowano pod Grodno i Nowoświęciany. Wrócił chyba po trzech  
tygodniach. Sowieci w tym czasie zaczęli już wprowadzać swo-  
je porządku. Na początku założyli profsojuz. Każdy z koleje-  
rzy, żeby być przyjętym, musiał opowiedzieć swój życiorys a  
kolegium orzekło czy on jest godzien być członkiem związku  
czy nie. Oczywiście do profsojuza każdy musiał należeć.

Mój ojciec wszedł na mównicę, i opowiedział swój życiorys. Zaraz po nim na mównicę wszedł szewc Pawłowski - komunista stary. To był kawał gada. Jego córka w 1940 r. była zastępcą przewodniczącego komсомоłu. I ten skubaniec wydał o ojcu taką opinię, że ojciec przyszedł do domu to powiedział: Ohyba się z wami x niedługo pożegnają. Ale jeden dzień poszedł do pracy, drugi, trzeci i spokój.

Wtedy już sowieci zaczęli werbować agentów. Jednym z nich został Piotr Goraczkiewicz. Lubił sobie pochlać. Mieszkał od nas o jakie 100 metrów. Znał więc ojca bardzo dobrze. I w jakiś 3-4 dni potem, jak mój ojciec mówił ten życiorys przyszedł do nas wieczorem i mówi: Gabriel, uciekaj bo już jesteś na liście. Tak, że to był porządny człowiek. Więc ojciec nie namyślając się wiele nałożył kożuch i poszedł aż za Ciechanowicę gdzie mieszkała rodzina mojej mamy. To było już nad samym Bugiem, na którym była granica. Tam nawiązał kontakt z gościem, który zgodził się go przeprowadzić przez granicę, którą przekroczył razem z jednym księdzem i aż do przyścia Niemców w 1941 r. siedział w Warszawie.

I było tak, że sam zostałem z mamą w domu. Szkoła była już rozwiązana, siostra z kolei, która studiowała na Uniwersytecie w Warszawie liczyła się już jako inteligentka i też już była na liście to matka jakoś wystarała się i załatwiła jej posadę nauczycielki w Bokinach koło Łep. O tym, że siostra była na liście to też ten Goraczkiewicz nam powiedział. Jako że brat młodszy ode mnie był o trzy lata mnie wypadało iść do pracy.

Najpierw złożyłem pod



kolejowych

Najpierw złożyłem podanie do zakładów o przyjęcie do pracy. Nie przyjęli. Właśnie ze względu na ojca. To jakoś sobie załatwiłem pracę w firmie, która nazywała się: Rajonnoje Inwentaryzacyjnoje Techniczskoje Biuro. Kierownikiem jego był Żukowski ze Lwowa. Miał ten swój charakterystyczny akcent. To był porządny człowiek. W tym biurze pracował ze mną Kazimierz Konopko "Biały Kruk". Pamiętam dwa-trzy lata temu zmarła jego żona a on był w tym czasie na miejscu. Przyszedł, zobaczył, że jego żona nie żyje - a sam był już po zawale - i też zmarł na zawał. To wtedy był pogrzeb ~~xxxxxxx~~ i męża i żony. Mieszkali a tyłu kina "Syrena".

Praca nasza polegała na tym, że wymierzaliśmy, robiliśmy plany, domów prywatnych i na podstawie tych wyrysów wymierzano właścicielom podatki. Jeżeli któryś dom miał ponad 113 m., to przejmowano go pod zarząd państwowy. I ja z tym Konopko chodziłem razem i robiliśmy te wymiary. To na jeden dzień, do godziny 3 robiliśmy 3-4 posesje i ja szedłem do domu a Konopko ~~xxxxxxxxxxxxxxx~~ x robił rysunki następnego dnia - to jeszcze wtedy robiło się je na tapecie, bo nie było papieru a ja szedłem do pomocy z innym ierzyć. I tak było na zmianę. Ten mój zawód nazywał się Ruletczik - tak nazywała się ich taśma dwudziestometrowa do mierzenia, którą nosiłem. Zarabiałem tam jakieś 80-90 rubli. Można było za to kupić 5 butelek wódki, która była takim artykułem, za który na wsi można było dostać wszystko. Masło, słoninę, mięso. Wódka nazywała się Osobaja Maskowskaja, to jak się stało w kolejce, to rozpychało się łokciami jak tylko było można, żeby choć trochę jej kupić. I jak czasami udało się jej kupić to matka szła na wieś i przynosiła do domu kilo masła, czy kawałek słoniny.

Chleb sprzedawano razowy i chyba przywożono go skądś. Jak przyjeżdżał to był już jak skała twardy a raczej zamarznięty, bo wtedy mrozy dochodziły do 40 stopni. Za chlebem stawało się w kolejce godzina 12-1 w nocy i przy mnie, byłem tego świadkiem jedna kobieta zamarzła w kolejce. A chleb sprzedawali dopiero od godziny siódmej. Sklep ten był wtedy w budynku przy dzisiejszej Radzie Narodowej. Niedawno było tam przedszkole.

Przed wojną mój ojciec był brygadzystą - zakłady naprawiały parowozy i wagony - przy naprawie kotłów parowozowych. Zarabiał wtedy 270-300 złotych. To było dużo. Był w stanie zapłacić miesięcznie 50 zł za moje gimnazjum i siostrze na studiach coś dać. I nam na niczym nie zbywało. Tak, że mieliśmy już kupiony plac pod budowę własnego domu i ojciec miał uskładane na książeczkę około 7 tys. zł na ten dom. Potem, jak wprowadzili ruble sowieci, to wszystkie te oszczędności przepadły. Podratował nas ten plac, ponieważ sprzedaliśmy go i dzięki temu mieliśmy z czego żyć bo te moje zarobki to były kroplą w morzu potrzeb. A wtedy do postawienia drewnianego domu brakowało nam jeszcze jakieś trzy tysiące złotych.

Po ukończeniu gimnazjum miałem iść do szkoły technicznej w Wilnie o kierunku kolejowym. Syn kolegi ojca był tam nauczycielem i namawiał gorąco ojca, jak był u nas, żeby mnie tam pod jego opiekę skierował i ojciec zgodził się.

~~Kata~~ W lutym 1940 roku była pierwsza wywózka. To z sanych Łap nabrali wtedy chyba ze 100 osób. Oczywiście transport był znacznie liczniejszy bo dowozili ludzi ze wszystkich okolic. Następna wywózka była chyba po świętach Wielkanocnych a ostatnia w czerwcu 1941, ale dojechali chyba tylko do Wołkowyska, bo tam zbombardowały ich samoloty niemieckie i dzięki temu

wrócili do domu.

Gdy przyszli Niemcy zatrudniłem się w ZNTK w Łapach. Niedługo potem wstąpiłem do organizacji. Zaprzysięgał mnie ojciec stary kolega, peowiak. Miał odznaczenia za wojnę 1920 r. Miał pseudonim "Bał".

A jeszcze wracając do mego ojca. Jego kolega, co to jego syn uczył w tej szkole technicznej w Wilnie - pan Godlewski był komunistą. I często widywał się z moim ojcem, który pod jego wpływem jakby nabierał sympatii do komunistów. U nas w Łapach był Związek Zawodowy Kolejarzy, który wszyscy nazywali "czerwonym", bo tam byli komuniści. Byli tam też Żydzi, chociaż nie pracowali w zakładach, bo Żydzi nie mogli przed wojną pracować w takich zakładach. Ojciec nieraz do tego "czerwonego" związku ~~wchodził~~ zachodził, chociaż nie był jego członkiem. On i zabierał mnie, kilkunastoletniego chłopaka ze sobą. Było tam kółko mandolinistów i ojciec kupił mi wtedy mandolinę i zapisał do tego kółka. Takich jak ja dzieciaków było tam chyba z 15-tu.

Polski wywiad dopóki nie miał przekonywujących dowodów nie reagował, ale w końcu zabrali się za likwidację tej "jacejki" I chyba w 1934 roku ojciec dostał przeniesienie z Łap do Wołkowyska. Nazywano to wtedy translokacją. Były tam zakłady i o podobnym profilu tylko mniejsze. Pojechało ich tam wtedy chyba 5 czy 6-ciu, m.in.: Laubsztej, Chaniewski i ojciec. Oczywiście nikt nic nie mówił, za co i dlaczego. Ojciec przyjeżdżał do domu raz na miesiąc. Oczywiście to było dla nas bardzo uciążliwe takie rozstanie i po roku pracy tam ojciec zaczął się starać o powrót do domu. Pojechał do Wilna raz - nic nie wskórał. Drugi raz - to samo. Trzeci - też. Dopiero za



czwartym razem zaczepił ojca w tej dyrekcji portier: Ja widzę, że pan już tu któryś raz z rzędu przyjeżdża. Co pana tu sprawdza. - Wtedy ojciec opowiedział mu tą swoją biedę. - O, proszę pana, to nie tu trzeba. To trzeba jechać do Białegostoku - przy województwie. - To nazywało się chyba: Wydział społeczno-administracyjny. I ojciec pojechał do tego wydziału. Gość, z którym tam rozmawiał od razu spytał się go: Kto pana tu skierował?. - Portier wskazał mi tą drogę - odpowiedział ojciec i przedstawił te warunki rodzinne i złożył coś jakby w rodzaju samokrytyki. Wtedy ten gość zgodził się. A na koniec powiedział: Wyście pewnie nie wiedzieli, dlaczego i poco myśmy tam was wysłali. Tam niedaleko do granicy i mogliście tam dobrze poznać ten sowiecki dobrobyt. - No i ojciec wrócił. Jak mi wtedy opowiadał spotykał tam wielu komunistów i rzeczywiście lepiej to wszystko poznać i na wiele spraw zaczął patrzeć już inaczej. Razem z nim wrócili też i inni z tych co razem z nim pojechali. Tam z nimi był też taki Makarewicz jeszcze. Komunista. Też wrócił.

Któregoś dnia wszyscy ci co byli tam przeniesieni do tego Wołkowyska dostali wezwanie, żeby stawic się na Komendę powiatową policjii w Wysokim Mazowiecku. Pojechali wszyscy. To trzeba było jeszcze jechać do Szepietowa i stamtąd na piechotę 7 km. Okazało się, że to wezwał ich gość z "dwójki" i bez żadnych ogródek zaczął: No i jak się wam tam podobało? - Każdy wtedy swoją opinię powiedział. - Kurwa wasza mać, jeżeli jeszcze ktoś raz gdzieś wspomni o tych sprawach jak was przeniesiemy to już żaden z was nie wróci - i na tym się skończyło. Wrócili spokojnie do domu.

Wtedy ojciec zapisał się do "Żółtego związku" kolejarzy czyli katolickiego. Wciągnął go do niego Ignacy Rzepkowski. Kierownikiem kasy zapomogowo-pożyczkowej tego związku był ~~Ignacy~~ Gogol

Franciszek jego kolega z zakładów a ojciec został kasjerem w tej kasie.

I z tym właśnie wiąże się fakt jego ucieczki w grudniu 1939 r. Gdy opowiedział swój życiorys wtedy na zebraniu założycielskim profesora po nim wszedł na trybunę Pawłowski i wskazując na niego palcem powiedział: O, eta izmiennik czyli zdrajca. Kiedyś był czerwony a potem stał się żółty.

-----  
Jeśli chodzi o rodzinę Millerów to znałem ich. Było trzech braci. Edek to jeździł do Biskopostoku do gimnazjum im. Piłsudskiego. Był jeszcze Adolf - ich ojciec był wysoki, ryży, typowy szwab, w orkiestrze kolejowej grał na bębnach -. Nie słyszałem żeby wskazywali Niemcom co trzeba wywieźć z zakładów. Była tu natomiast druga rodzina Brunschów, którzy niedaleko nas mieszkali - to już byli zakute szwaby. Stary Brunsch już przed wojną miał około 70-ciu lat. Jego syn pracował w zakładach i za Niemców był kierownikiem ~~zakładu mechanicznego~~ <sup>działu elektrycznego</sup> ~~zakładu mechanicznego~~. To był wredny typ. Sam odczułem na sobie.

Pewnego razu zrobił się mi na palcu zestrzał. Polega to na tym, że czubek palca zaczyna rwać od kości. Czubek palca zrobił się żółty. Tak mnie to bolało, że przez trzy dni nie mogłem spać. W końcu poszedłem do lekarza. /Też był członkiem organizacji/. I ten wziął nożyce i obciął mi cały czubek razem z paznokciem. Ropa zeszkła mi. To się goiło chyba ze trzy miesiące. Dostałem zwolnienie ale musiałem do zakładu przychodzić na opatrunki. I któregoś razu szedłem właśnie na opatrunek, gdy zobaczyłem mnie ~~kt~~ mój kierownik działu gdzie pracowałem razem z ojcem - kotlarni. Nazywał się Glajzner. Szwab zwołał mnie. Coś do mnie zaczął szwergotać po niemiecku więc starałem mu się wytłumaczyć pokazując na palec o co chodzi, ale chyba nie za bardzo to do



niego docierało i wtedy właśnie nadzedł Brunach, który świetnie znał niemiecki, bo przecież u niego w domu to tylko po niemiecku się rozmawiało, i znał polski oczywiście. I ten Brunach tłumaczył temu Glajznerowi to co ja mówiłem. W tym momencie pojawiła się w kotłarni moja siostra która pracowała wtedy w recharcie i chcąc wyjść na podwórze musiała przejść przez nasz dział. Znała niemiecki z czasów nauki w gimnazjum im. ~~Krzyszka~~ <sup>Anny</sup> Jabłonowskiej. Usłyszała więc ich rozmowę, to znaczy co powiedział o mnie Brunach. To było coś w stylu: Goń gnoja do roboty.

Z synem Linkego też chodziłem do tej samej szkoły. Nie wiem co się z nimi stało. ~~Millary~~ i córka Millera to była żoną mego kolegi - Grochowskiego, jego drugą żoną, bo pierwsza zmarła. Któryś z Millerów chyba jeszcze żyje w Polsce jeśli nie wyjechał do Niemiec.

-----  
Mój sąsiad Ryszard Błaszczyk znał pana Konopkę i to on zarekomendował mnie jak chętnego do wstąpienia do organizacji. Ten Błaszczyk zginął w 1943 r. na jesieni w Garbowie w komąńskim. A stało się to tak: w zakładach był niemiecki konfident pseudonim "Mazur" /M.N./ i on zorganizował z chłopaków z Łap normalny oddział partyzancki. Wymaszerowali w te właśnie strony i zakwaterowali się na kolonii w Garbowie. "Mazur" mianował kogoś swoim zastępcą na czas swojej nieobecności, gdyż pojechał gdzieś w swych sprawach a w rzeczywistości zawiadomił ~~gestapo~~ <sup>żandarmerię</sup> Niemcy przyjechali i w walce zginęło wtedy 16 czy 18-tu chłopaków. Tylko dwóch przyżyło, z czego jeden do dzisiaj żyje - Braósko, którego spotkałem w kasienizowach w Strzelcach Opolskich. Jakoś udało im się wtedy odbić z tego miejsca. Tak że byli tam m.in.: Błaszczyk, Franciszek Pieczkowski, Chojko, Henryk Macia-

szek, Zygmunt Przystępski. Mój sąsiad był synem nauczycielki z "Mazur" z kolei synem dróżnika.

w styczniu 1942 r.

Przysięgę złożylem w zakładzie w czasie przerwy w pracy. O godzinie 11-tej mieliśmy przerwę na obiad. Matka przynosiła go dla mnie i dla ojca w dwojakach. Podekscytowany byłem tego dnia. To było dla mnie wydarzenie. Przy tej przysiędze był Henryk Jabłoński i Henryk Iwaszczyk. Bezpośrednią przełożonym był właśnie Jabłoński - dowódca drużyny. Dowódcą plutonu był Kosakowski, który był podoficerem przedwojennym. Wywodził się jeszcze ze ~~#Strzelec~~ "Strzelca" - miał kaprała. Konopko natomiast był dowódcą kompanii. Zajmowaliśmy się oczywiście gromadzeniem broni. Szukaliśmy jej w miejscach gdzie w 1939 r. rozbrajała się polskie oddziały. Jadąc na Dębówinę jest wieś koło Łep - Korczaki. Tu rozbroił się oddział kawalerii. Pod Domanowem Niemcy rozbili duży oddział naszej kawalerii. Potem koło Ciechanowca była bitwa. i w okolicznych lasach tej broni zostało najwięcej. A gajowym w tych lasach pietkowskich, a konkretnie wieś Osówka, był pan Łukasiek. On znał te sprawy. Jego syn mieszkał u moich znajomych na stacji. To był już 42 rok. Ja miałem 19 lat. Był jeszcze mój kuzyn, który potem zginął w oddziale i we trzech razem tworzyliśmy zgraną paczkę. I kiedyś młody Łukasiek opowiedział nam o tej broni, którą opiekował się jego ojciec. Jego syn też był w organizacji tylko w innej drużynie.

Odprawy naszej drużyny odbywały się czasami na cmentarzu, albo po mszy św. w kościele - gdy nasza miała się ku końcowi, stawaliśmy w gronie i szybko onawialiśmy nasze sprawy. Do mojej drużyny należeli wtedy m.in.: Jabłoński Henryk, Edward Kamiński, Władysław Marciniak - było nas 12-tu. I na jednym z zebrani powiedziałem., że wiem o magazynie broni, bo właśnie dostaliśmy rozkaz, żeby szukać takich rzeczy, dowiadywać się o tym. Powie-



działem, że znam takiego znajomego, u którego tej broni można będzie trochę tej broni dostać. Nie wiedziałem tylko wtedy, że trzeba będzie za to zapłacić. I wtedy Konopko, który też przechodził na nasze odprawy wysłał nas, żeby sprawdzić czy to możliwe będzie. Poszedłem razem z moim kuzynem Kamińskim. Przedstawiliśmy sprawę <sup>w</sup>temu Łukasowi. Miał 10-cio strzałkową rosyjską "samozariadkę", dwa mauzery i erkaem wyjęty z ruskiego czokgu. z zapasowymi magazynkami. no, jak panie Łukas dostać to od pana? - spytałem. Słuchajcie, to nie jest tylko moje. To nie tylko ja o tym wiem. Myśmy sobie obmyślili, że sprzedamy to wam. - Za ile? - Przyjdziecie następnym razem to wam powiem. /Znałem go z kilku wizyt u niego z jego synem/. Okazało się potem, że trzeba było za to zapłacić 1300 marek.

Poszedłem z kolegą do niego już z tymi pieniędzmi. Łukas wyjął broń z ukrycia i w dzień wróciliśmy do domu. Nie poszedłem wtedy do pracy. Gajowy jeszcze wyczyścił nam karabin to sobie postrzelaliśmy na bagnach, jak wróciliśmy. Chcieliśmy też postrzelać z erkaemu, ale tak był natowotowany, że samek chodził jak ślimak. Powoli. Broń umieliśmy obsługiwać, bo przecież mieliśmy wykłady z broni. Spotkania takie mieliśmy na tzw. barcerskiej górze. Tam była strzelnica, gospodarze świąt brali. I tam przychodził instruktor. Szkolenie odbywaliśmy tylko w ramach drużyny. Zawsze dwóch czy trzech stało na warcie. Pierwsza broń z którą zapoznaliśmy to był polski kabek.

Broń tą wtedy zaniesiliśmy do mieszkania Andrzeja Łapińskiego z którym ja nieśłem. Saliśmy na skróty koło Suraża. On mieszkał na "Bocianach", tak nazywała się spółdzielnia łap, która ciągnęła się aż do Narwi. W jego mieszkaniu wyczyściliśmy tą broń jak trzeba i schował ją. Był ode mnie starszy o jakieś 20 lat.

Prasę to przywozili maszyniści z Makini. Od nich odbierali



ją chłopaki z drużyny kolporterów. Ja dowiadywałem się o tym, że coś jest do odwiebrania, gdy mój dowódca drużyny mówił mi, że np. w trzeciej szopie tam i tam stoi skrzynka na bawełniane odpadki, które Niemcy przywozili nam do wycierania rąk. I tam pod tymi odpadkami pójdziesz i weźmiesz paczkę. - To w takiej paczce było 30-50 gazetek, których część przekazywałem znajomym chłopakom z drużyny. Z tytułów pamiętam tylko "Orzeł Biały". Kolporterem był Franciszek Skibko, ps. "Bal", który przyjmował ode mnie przysięgę. Jak mi później opowiadał jego syn miał kiedyś małą wpadkę. Gdy wkładał paczkę z bibułą pod te odpadki nadzwał Niemiec, ale ten zachował spokój. Wystarczył jak gdyby nigdy nic ręce i Niemiec nie przyczepił się.

Naszym zadaniem były także akcje sabotażowe. Za Niemców naprawialiśmy tu wagony towarowe. Demontowaliśmy więc w nich urządzenia hamulcowe. Polegało to na tym, że z cylindra hamulcowego wyjmowało się kołnierz skórzany, który uszczelniał tłok, to powodowało, że tłok nie miał oporu w cylindrze i klocki na ~~xx~~ kołach nie zaciskały się. Efektem tego było, że gdy pociąg był w ruchu i maszynista chcąc zatrzymać go zamykał kran a pociąg leci dalej. Korzyść z demontażu tego cylindra była podwójna, gdyż także osobista, bo jeśli taki kołnierz zawiosko się na wieś, to dostawało się za niego 2 kilogramy słoniny, bo wychodziły z niego 4 luksy zelowy. Skóra była wyjątkowo dobra, bo była nasycana olejem, że by nie prześlaskała i na wodę to była idealna skóra. Tylko demontaż był trochę skomplikowany, bo trzeba było najpierw odkręcić 8 ~~xx~~ śrub, zdjąć kołnierz, założyć głowicę, i zakręcić te 8 śrub. Tak że to trwało dobrych kilka minut.

Szkolenia mieliśmy raz na dwa tygodnie albo raz na miesiąc raczej latem, bo łatwiej było wtedy się zbierać w lesie. Rodzice

oczywiście nie wiedzieli, że należę do organizacji. Natomiast brat był młodszy ode mnie o trzy lata i nawet gdyby chciał to nie mógłby jeszcze należeć. On też nic o mnie nie wiedział. Zaczął chodzić już w 1945 gdy byłem u Huzara. Pamiętam, staliś my jakieś pięć kilometrów od Łep i Huzar mówi: No, dziś mamy mieć nowych. - i rzeczwiście przychodzi trzech nowych i jest mój brat. - Zaśmiałem się: a kto cię tu przysłał. - Nie chciałem, żeby był w oddziale, bo lubił sobie w "runę dać", a przecież u Huzara, tak jak w każdym oddziale było to zabronione. Pierwsza kara, jako ostrzeżenie, to była stójka pod erksemem. Jeżeli to było lato, to jeszcze na takiego delikwenta nakładano się kożuch, który pożyczano się od gospodarza. A erksem ważył z jakie 12 kilo. No to wystać latem godzinę w kożuchu pod erksemem na baczność to była ciężka kara. No i mój brat stał tak chyba trzy razy. Najpierw godzinę, potem dwie i razem z nim jego kolega, który jest teraz w Poznaniu. Wreszcie doszło do tego, że Huzar przyszedł któregoś razu do nas na kwaterę i mówi: Słuchaj, coś wreszcie trzeba z Górale<sup>a</sup>m zrobić, ty z nim porozmawiaj, bo niestety, ale to może się przykro skończyć a nie chciałbym zadziierać z wami. - To znaczy on miał na myśli nas z Łepi<sup>a</sup>sków, których było dużo i tworzyliśmy zgraną paczkę. Wiedziałem, że gdyby doszło do tego, to Huzar nie zważałby się tego zrobić. No to mówię do brata: Słuchaj Wacek będzie paskudna sprawa, jeśli nie przestaniesz pić. - Brat obiecał solennie, że już więcej nie będzie. A gdzie tam. Minęło kilka dni i znowu się urządził. No i niestety, nosiliśmy ze sobą "prawdę" - to były fest lega, i tą legą musiałem swemu bartu wymierzyć 10 razów. Huzar był przy tym i na koniec powiedział:

Słuchaj Góral, to jest pierwsze ostrzeżenie, drugiego nie będzie. I wtedy już brat przestał, ~~xxx~~ rzeczywiście, bo już był nauczony doświadczeniem.

Bo kiedyś było tak. Latem 1946 r. zmienialiśmy miejsce postoju i wypadało nam iść przez wieś Jabłon-Jankowce, ale już z daleka słyszeliśmy ~~xx~~ dźwięki orkiestry. Grali jak choroba. No to już chłopaki mówią: wesele chyba. A ludzie z tej wsi już nas znali, bo kilka razy kwaterowaliśmy u nich i gospodarz, chyba ojciec tej panny młodej wyleciał do nas i przywitał się z nami: chodźcie, chodźcie, na kolację do nas, - zapraszał. A było nas chyba ze 30-tu. Podeszliśmy pod ten dom weselny i słyszemy przez pootwierane okna głos gospodarza: proszę państwa, szanowni goście. Na jakąś godzinę czasu prosiłbym bardzo, żebyście zrobili ~~yxkix~~ 30 miejsc. - I rzeczywiście, ludzie ustąpili nam miejsc. Usiedliśmy za stołem i - ile kto da rady, proszę jeść. Huzar oczywiście powiedział od razu: możecie wypić po kieliszku, nie więcej - No to niektórzy, jak mieli mocniejszy łeb to wypili i po dwa i po trzy, jeżeli nie można było po nim poznać. No po godzinie, jak najjedliśmy się już - kto chciał to mógł nawet i do kieszeni wziąć po kawałku kielbasy - była zbiórka. Ustawiliśmy się i okazuje się, że nie ma "Wir". To był fajny chłopaczek - Bańkowski Czesław, sekcyjny bodajże 3 sekcji /dowódca/. Przyszedł do nas od Łopuszki. Nie czekamy już na niego bo nie mieliśmy czasu, a z kolei szukać go po wsi też nie miało wielkiego sensu. Odeszliśmy od tej Jabłoni na jakieś 5 kilometrów i tam się rozkwaterowaliśmy. Rano "Wir" zjawił się na naszych kwaterach. Następnego dnia pozostaliśmy daleko od Mazowieck. I tam, jako że nie przytrafiło się to jemu po raz pierwszy, Wir dostał w czapę.



Ale wracając do okupacji niemieckiej. Raz, przy demontażu tego cylindra hamulcowego nakrył mnie Niemiec. To było tak: około godziny 11-tej była zawsze przerwa na obiad. Matka nam przynosiła go. Mówię więc do ojca: Tatusiu, niech tato idzie po te dwojki z jedzeniem, a ja za jakieś dwadzieścia minut przyjdę. - Oczywiście nie powiedziałem mu gdzie idę. Było to o tyle niebezpieczne, że w tym celu musiałem iść na inny dział. A to było tak, że każdy dział był oznaczony odpowiednim numerem, nasz np. miał numer 15, i ~~jakikolwiek numer ten numer~~ ten numer mieli wypisany na ubraniu wszyscy pracownicy tego działu. W ten sposób byli wszyscy oznaczeni i łatwo można było poznać, czy wśród swoich jest jakiś obcy z innego działu, bo taki wyróżniał się innym numerem. I jeżeli Niemiec spotkał takiego obcego na swoim dziale to mógł go tak stracić, że karetka zabrałaby go. Jednym słowem przechodzenie na inne wydziały było surowo zabronione i można to było zrobić niepostrzeżenie tylko w czasie przerwy obiadowej. Ale przecież, chcąc w czasie okupacji żyć, trzeba było kraść, więc niezbyt przejmowano się tym zakazem.

Gdzieś po roku czasu tego sabotażu Niemcy zaczęli coś podejrzawać, bo dostawali meldunki z trasy, że składy nie hemują. I ustalili między sobą, że zawsze jeden z nich miał dyżur koło tych wagonów, które miały być remontowane.

No i siedzę na szynie w kucki. Wybiłem sworzeń, odkręciłem pokrywę - to trwało razem jakieś 10 minut - no i potem trzeba było jeszcze odkręcić kilka śrub na pierścieniu przytrzymującym tą skórę. Wyciągnąłem już tłok z tego cylindra, gdy usłyszałem ciche: pac. Coś upadło mi koło nogi. Obajrzałem się, a

ale nic nie zobaczyłem. Żwir był czysty. Popatrzyłem dookoła, ale nic też nie zauważyłem. Dalej więc swoje robię. Ale po chwili znowu pać. Koło mnie upadł kamień. Rozejrzałem się i dopiero wtedy zobaczyłem, że w oknie wagonu osobowego stoi szwab i kiwa na mnie palcem. Wszystkie krew spłynęła mi do pięt. Ale podchodzę do niego: Co tu robisz? - jak się potem okazało, był to volksdeutsch z Bydgoszczy. Zacząłem więc mu tłumaczyć: Nie mam butów do koncioka a chodzę w drewniakach i pokazuję mu moje "buty". Chciałem skórę wyciągnąć i z tej skóry zrobić sobie buty. - Niemiec stożii myśli. W końcu mówi: Złóż to i żeby cie więcej nie widział - ale nie powiedział, żeby włożył do środka ten kołnierz tylko żebym złożył. ~~xxxxxx~~ ~~xxxxxx~~ zdołałem tylko wykrztusić: dziękuję i poszedłem złożyć ten cylinder. Kołnierz wpakowałem sobie za pazuchę, pod bluzę i wróciłem na warsztat. Opowiedziałem kolegom co się stało.

Teraz muszę jeszcze trochę wrócić. W uhowie mieliśmy kolegów z pracy. Nieraz tam odbywały się u nich we wsi majówki, zabawy i nieraz na te zabawy myśmy chodzili. I Niemcy też tam chodzili. We wsi kupowali wódkę a potem szli nad Narew. Nie widziało się, żeby używali jakichś zakąsek. Zwykle kupowali litr samogony i gar mleka. To pili tak: pół szklanki wódki i szklanka mleka.

I któregoś niedzieli szedłem z bratem cioteczynym do Olka Muszyńskiego, który miał siostrę, do której mój brat smalił cholwki. Miał samogonę to i wypić czasem można było u niego. Dochodzimy do torów i patrzymy idą szwabcy a wśród nich i ten "mój". Przyspieszyliśmy kroku, bo ten mój kuzyn też zwiadział o mojej historii, mijamy ich - spojrziałem na Niemca i powiedziałem: Dzień dobry. - Gdy byliśmy od nich jakieś dziesięć

kroków słyszę nagle: Alo, alo. - Zatrzymaliśmy się obaj. I-  
działa do Uhowa?- pyta Niemiec. - Tak. - Gdzie samogonki ku-  
pić w Uhowie?. - No to ja się dowiem gdzie - odpowiedziałem -  
A gdzie panowie będziecie?. - My będziemy po tej stronie mostu  
- pokazał Niemiec. Zaszliśmy do Ruszyńskiego i mówię doniego:  
Olek, daj mi litr samogony. - No i zaniósłem ją Niemcom. Było  
ich chyba z pięciu. Leżeli na kocu. Ten "mój" podniósł się i  
podszedł do mnie. Dałem mu samogon a on wyciąga portfel i za-  
czyna odliczać pieniądze. O, nie, nie będzie pan płacił. To  
jest rewanż z mojej strony za to co pan zrobił dla mnie. Dzię-  
kuję, do widzenia, cześć. - Oj, zebys jeszcze mleka mógł... .  
To jeszcze raz się wróciłem i taką "ładychę" trzylitrową mleka  
przyniosłem.

Oczywiście sabotaż dalej uprawiałem tylko już nie chodziłem  
tam, gdzie wagnoby wychodziły z naprawy tylko na "Sachalin" -  
wysypisko śmieci, gdzie położyli chyba z pięć prowizorycznych  
nitek torów i tam wypychali wagony, które przychodziły do na-  
prawy, bo tu już na terenie zakładów nie mieściły się. No i  
chodziłem tam o godz. 6-tej wieczorem. Latem to było jeszcze  
widno, a pracowało się właśnie 12 godzin od 6 rano do 6 po po-  
łudniu.

Gdy kaczapy zaczęli się zbliżać ogłoszono alarm w organiza-  
cji. Pjewili się u nas albo w ostatni dzień lipca 1944 r. al-  
bo w pierwszy dzień sierpnia. Wszyscy nałożyliśmy biało-czer-  
wone opaski i naszym zadaniem było pomóc im w wykonywaniu zadań  
czyli wskazywać kierunki, nakarmić, napoić pokazywać kie-  
runki wycofywania się Niemców. Miejsce naszych ówczesnych  
zbiórek była żyzna u zbiegu ulic: Granicznej, Wodociągowej  
i obecnej 1-go Maja. Na tym rozdrożu stał krzyż i tam właśnie



zbieraliśmy się: ja, Edek Kamiński, Broniek Kowalewicz, Lolek Wisniewski razem z synem, Anatol Ignatiew/jego ojciec został w Polsce po kampanii 1929 r./, Bolesław Gliniński. To byli wszyscy z tej samej drużyny.

Sowieci przeprawiali się przez Nerew przez rozlewiska <sup>z</sup>mano-ry na wysokości wtedy jeszcze wsi Bociany. I wtedy ci pierwsi szli ulicą i doszli do krzyża, gdzie już czekaliśmy na nich. Ubrani byli różnie. Wielu było w cywilnych ubraniach. I jak spojrzeli na opaski zobaczyli nas, pytają się: kto wytakuje?. - Z tonu i ich zachowania natychmiast wyczuliśmy, że są do nas wrogo usposobieni. Wtedy ten Ignatiew, tak jakby go coś tknęło mówi: My od Wandy Wasilewskiej. - Eee, etc żadna, znaczy my sajużniki" - odpowiedział Ruski i tak się rozstaliśmy, bo inaczej to oni może by i nas aresztowali. Przekazaliśmy im gdzie Niemcy, oni jeszcze ze zapalili te swoją machorkę i poszli.

Po dwóch czy trzech dniach przyjechało dwóch oficerów berlingowców i koło tego "czerwonego" związku ustawili stoliki i zrobili zebranie ludzi. Po kolei wchodzili na stoli i przemawiali. Przyszło z kilkaset osób. Mówili, że będą zakładc starostwo w Wysokiem, magistrat, zarząd miasta, milicję i będzie pobór do wojska. A już wcześniej był wydany przez nasze władze, rozkaz ten przekazał nam dowódca kompanii, rozkaz, żeby iść ~~xx~~ do administracji komunistycznej i obejmować jakie tylko się da stanowiska. Więc ja razem z kolegami zgłosiliśmy się do milicji. Razem ze mną poszli: Tadeusz Wojno, Józef Popławski, Jurek Dzielnik, Łepiński Janek 15-ty /numerowaliśmy ich, bo czasami to nawet imiona ich ojców zgadzały się, a tych Łepińskich Janów to w Łepach było chyba ze dwudziestu; w zakłady

kładach na 2000 pracowników to samych Łepińskich Stanisławów było chyba 285, nosili więc kolejne numery/. Kacper Kretowicz, drugi Kretowicz, Szulc, Jurkian Mikołaj, Henryk Zelczak. Złap poszło nas chyba z 50-ciu.

O tym rozkazie o wstępowaniu do milicji i urzędów poinformował nasz dowódca właśnie wtedy pod krzyżem, gdy spotkaliśmy po raz pierwszy sowietów. To było nasze ostatnie już spotkanie. Dostaliśmy rozkaz, żeby się rozejść i ~~już więcej~~ więcej już nie spotykaliśmy się.

Zakłady zostały przez Niemców zniszczone. Została się z ~~nią~~ nich tylko hala wagonowa. Była ona postawiona w 1937 r. na miejscu malarni, która doszczętnie spłonęła po pożarze. Hala tę budowała jakaś belgijska ~~firma~~ firma. Słupy, na których opierała się konstrukcja były tak solidnie zbudowane - były tak grube, że trzeba było dwóch chłopów, żeby ~~ich~~ objąć taki słup - że ładunki umieszczone wokół nich, pomimo, że zdetonowały, nie naruszyły ich konstrukcji. I ta hala wytrzymała a reszta to był sam gruz. I gdy komunisty zwrócili się z apelem do ludzi, żeby przystępowali do pracy, to przyjęli na początku tylko 200 czy 300 ludzi, którzy w zasadzie wykonywali tylko prace porządkowe, odgruzowywali.

Potem sowieci zaraz przystąpili do budowy prowizorycznego mostu przez Narew, bo stały był zniszczony, i wtedy my na rozkaz organizacji chodziliśmy im pomagać przy budowie tego mostu. Pracowaliśmy tak przez cztery dni, ale gdy Niemcy namierzyli spod Sokół ten most i kupnęli raz i drugi to daliśmy już spokój tej pomocy.

W październiku, jako że nie było żadnej możliwości pracy, a był ten rozkaz o wstępowaniu do milicji, zgłosiłem się tam.

Przyjęli mnie bez trudności. Początkowo, przez dwa-trzy miesiące<sup>e</sup> pracowałem w MO Łapy. Było dużo skarg ludzi na drugich, że ich okradli, albo napadli. Wielu ludzi, którzy mieli spalone budynki to szli do lasu i rąbali drzewo i nie patrzyli czy to las państwowy czy prywatny - aby drzewo miał na dom. UB czy NKWD jeszcze tu nie było więc był spokój.

W grudniu 1944 r. przenieśli mnie do powiatu w Mazowiecku. UB tu też jeszcze nie było. Dopiero zaczynało się organizować. Tu też miałem do czynienia z podobnymi sprawami jak w Łapach. Ale już komendant powiatowy Kania mówił nam na naradach, że w okolicy działa partyzantka. Potem już spotkałem się z nim w innych nieco okolicznościach. Nie chcieliśmy go zabić tylko porozmawiać a on dureń nie posłuchał się, nie uwierzył. Przecież Huzar mówił do niego: Panie poruczniku, niech pan wychodzi. Nie chcemy panu zrobić krzywdy.

Myśmy stali wtedy koło Szepietowa i dostaliśmy cynk, że Kania jest ulajewskiej. To były wdówka i on do niej zachodził. Zaraz więc poszliśmy tam. Zastukaliśmy raz i drugi ale cisza. Nikt nie otwiera. W końcu Huzar mówi: Panie Kania, wiemy, że pan tu jest. Chcemy tylko z panem porozmawiać. - W odpowiedzi na to przez drzwi padło kilka strzałów z pistoletu. Huzar powiedział wtedy: Panie Kania, nie chcemy panu zrobić krzywdy. Chcemy tylko porozmawiać. - Ale Kania strzelał dalej. Wtedy jeden z chłopaków wywalił drzwi kopniakiem. Kania uciekł na strych, bo chyba skończyła mu się amunicja a my weszliśmy do domu. Było nas 10-ciu czy 12-tu. Sprawdziliśmy w jednym i drugim pokoju. Nie było go. Znaczą na strychu. Jeden z nas, świecąc latarką ostrożnie poszedł po schodach na górę i zdołał zauważyć, gdzie leżał Kania. Wówczas "Bystry" Czesław Bączkowski



poszedł do pokoju na dole i w ~~niektórych~~ <sup>sufit</sup> gdzie miał leżeć na strychu Kania posłał serię z karabinu. Gdy weszliśmy na strych okazało się, że Kania leżał w kałuży krwi. Był martwy, a więc seria była celna.

W milicji w wysokim Mazowieckiem ~~niektórych~~ zajmowaliśmy się też tak jak i w Łepach kradzieżami, skargami mieszkańców. Gdzieś w pobliżu operował Huzar i na przełomie marca i kwietnia Grupa Operacyjna z PUBP, złożona wyłącznie z Rosjan, pojechała na akcję do wsi Moczydły, ta Szepietowo i tam, chyba ~~nie~~ właśnie z Huzarem się sterli.

W areszcie milicyjnym siedziało po dwóch trzech ludzi. To <sup>dwóch</sup> był mały areszt. Raz nawet to wypuściliśmy tych aresztantów, którzy siedzieli za organizację. bo przecież my wszyscy byliśmy akowcy i naszym zadaniem była pomoc ludziom a nie szkodzenie im. Stefan Rosak np. też był akowcem.

Na wiosnę posypały się posterunki MO. Rozbito je w: Kowalszczyźnie, Sokołach, Poświętnem.

Czasami milicjanci jeździli do Łep, więc któregoś razu powiedziałem jednemu, żeby zaszedł do mojej siostry i wziął od niej harmonię. Została się ona u nich z czasów, gdy kwaterował tam Kscap, który uciekając przed Niemcami ~~z~~ w 1941 r. zostawił tę harmoszkę. I, żeby zabić czas wolny grałem na tej harmoszce. Oczywiście wódka też była, bo ludzie, żeby załatwić jakąś spr<sup>a</sup>ę zawsze przynosili samogon.

W końcu jednak trzeba było wisć. Miśkiem brata ciotecznego. Nazywał się Władysław Marciniak. Mnie, to było w kwietniu czy maju, przenieśli razem ze Stefanem Rusłanem, Staśka Kisielewskiego, Jerzego Wnorowskiego przenieśli do nowopowstałego PUBP w Wysokiem Mazowieckiem. Tam pełniliśmy służbę wartowniczą.

Wszyscy byliśmy oczywiście z AK. Temu ostatniemu przewróciło się jednak w głowie. Jak dostał pistolet, to myślał, że nie wiem co znaczył. Po-czuł się strasznie nobilitowany, bo karabin to było nic, ale mieć pistolet to już prawie jak officer. Zaczął się odnosić się do aresztowanych. A przecież, skoro my wszyscy byliśmy z AK to każdy fakt popchnięcie aresztowanego, uderzenia go czy naubliżania mu w godzinę później docierał do tego, co powinien, i któregoś razu gdy poszliśmy do pewnej wsi Wnorowski już nie wrócił z nami. Gdzieś między chałupami dostał w łeb.

W tym czasie mój brat cioteczny, ten Władek Marciniak i jego kolega Witold Strzyżewski, który w czasie okupacji mieszkał przez płot, obok nas, poszli do wojska. Oczywiście oprócz nich także wielu innych chłopaków z Łep poszło do wojska. Oni dwaj w każdym bądź razie znaleźli się w Siedlcach, gdzie organizowano jedną z dywizji II Armii Świerczewskiego. A tam już NKWD i UB zaczęło męcać członków AK. Robili to w ten sposób, że nasyłali prowokatorów, którzy organizowali w wojsku nową konspirację. I Marciniak i Strzyżewski wstąpili do tej organizacji. I z jednostki raptem zaczęto wzywać na UB po dwóch, trzech jednego dnia na przesłuchania, z których nie wracali. Marciniaka tknęło to, że brali tylko tych, z którymi oni się stykali. Wiele nie namyślając się nawisli z jednostki. Oba znaleźli się w oddziale "Dziadka" - Perkowskiego, który działał w powiecie Wysokie Mazowieckie.

I któregoś dnia trzymałem ja wartę przed budynkiem UB. Był to podpiwniczony dom, tuż obok - o jakieś kilkanaście metrów - od ulicy. Chodzę tam i z powrotem, gdy nagle słyszę: Edek,

Bdek - ktoś cicho zawołał. Rozglądam się a z małego okienka tuż nad ziemią, zza krat wygląda mój brat Marciniak i ~~xx~~ nasz <sup>Eugeniusz,</sup> wspólny kolega ze szkoły Oksitowicz - już chyba nie żyje. A ich jak się okazało zaskoczyła w nocy grupa operacyjna/sowiecka/ i wzięli do niewoli i tutaj w areszcie trzymali. Daj zapalić - powiedział Władek. - Rosejrzałem się powoli. Z pudełka od zapalek oderwałem kawałek maski, wzięłem cztery zapalniczki, kilka papierosów, rękę schowałem za plecy i ~~xxxx~~ stojąc tyłem do nich lekko ugiąłem nogi. Wtedy, nadal rozglądając się włożyłem nieostrzegalnie rękę między kraty i w ten sposób podałem im ~~xxxxxx~~ przesyłkę. Dzień czy dwa później Władek powiedział mi, gdy miałem wartę, że ten dureń Oksitowicz powiedział na śledztwie, że jestem tem kuzynem Władka. W tej sytuacji nie miałem już wyjścia i musiałem jak najprędzej uciekać stamtąd, bo mogli mnie aresztować w każdej chwili. Poczekałem do wieczora i uciekłem do Szeptowa. Tam wsiadłem do pociągu i pojechałem do Łap. Zaraz tu spotkałem Białego Kruka - Konopkę i ten powiedział mi gdzie jest oddział. Miałem co prawda jeszcze gdy wstępowałem do milicji podany kontakt w jednej ze wsi pod Wysokiem Mazowieckiem, na który miałem się zgłosić, gdybym musiał uciekać i tam też dali by mi kontakt na Huzara. Woląłem na razie z niego nie korzystać, gdyż to był kontakt alarmowy.

Akurat tej samej nocy oddział Huzara przyszedł do Łap. Spotkałem komendanta na stacji i tam od razu dał mi pierwsze zadanie. To było chyba 9 maja. I wtedy też pojawił się mój kuzyn Marciniak. Nie mogłem go, gdy uciekałem, uwolnić, bo nie było warunków a musiałem szybko uciekać. Okazało się, że chyba tego samego dnia przewieziono go do więzienia w Białymstoku, które jeszcze tego samego dnia, właśnie 9 maja, zostało rozbite. I Marciniak



znalazł się wśród tych, którym udało się uciec. Marciniak podszedł do mnie wtedy i powiedział: Czas już. Musieliśmy wykonać wyrok na jednym współpracowniku UB. Znałem go. To był już starszy gość. Dostałem szmajsera. W naszej gwarze nazywaliśmy to likwidacją. Weszliśmy do środka. Wszyscy byli. Żona pewnie nie wiedziała kim jesteśmy ale mąż zdawał już sobie sprawę. Oczywiście najgorszy moment to była chwila, gdy go zlikwidowaliśmy. Goś wtedy ścisnęło mnie za gardło. Gdy wyszliśmy ręce mi drżały. Później już tego nie było. Ale ten pierwszy raz był najgorszy. Potem podobne rzeczy były w Sokołach, Czyżewie. Żydów jednak nie likwidowaliśmy, ~~xxx~~ za to że byli Żydami a za współpracę z NKWD i UB. Oczywiście byli też i tacy, którzy starali się wykręcać od takich akcji, ale rozkaz jest rozkazem. Gdybym nie wykonał go, to ja byłbym kolejnym na liście. Może to był taki sprawdzian na początek. W każdym bądź razie ~~xxxxxxx~~ jeśli ktoś szedł do oddziału, to nie powinien mieć takich wątpliwości. Chociaż różnie było.

Gdy wróciliśmy do oddziału po wykonaniu zadania, chłopaki właśnie ganiali Sowietów po rynku. Właśnie ich eszelon stał na stacji. To była dzicz, motłoch. Pamiętam ~~xxx~~ w maju albo czerwcu. 1945 r. To był dzień targowy. Rynek był wtedy na placu na przeciwko dworca, w miejscu gdzie do niedawna stał Nowotko. Chłopi sprzedawali tam swoje świniaki, mięso, masło, sery. I wtedy przyjechał na stację eszelon wojska sowieckiego. Chyba że stu ich wysiadło i dawaj wywracać stragany i chować za pazuchy co popadło. Jednym słowem zaczęli rabować ile wlezie. W międzyczasie dwóch mongołów weszło do sklepu na rogu tego rynku, ~~xxxxi~~ gdzie stoi dziś sklep "Hermes", - tego budynku już nie ma. W środku był oczywiście właściciel i kilku kupujących. Te dzikusy jak tylko weszli zaraz rzudli się na półki i zaczęli rabować

towar. Wtedy właściciel wybiegł przed sklep i zaczął krzytać: Rabują!. A jak raz oddział nasz właśnie wszedł do Łap. Ludzie przybiegli do nas i wołają o pomoc. No to pogoniliśmy tę dzicz. Wiele z nich nie miało broni zadane mieliśmy więc ukotwione. Kilkunastu z nich zginęło. Pochowaliśmy ich na terenie zakładu tak, że nikt tego nie widział. ~~Powrócił do domu~~ Reszta uciekła do wagonów i zaraz rozległo się: Odprawiaj pociąg - i pociąg odjechał. Wtedy przestaliśmy strzelać.

Po kilku dniach przyjechał na stację taki jakby wagon pancerny tzn. był to zwykły wagon, tyle, że ściany miał wyłożone workami z piaskiem. Aresztowali wtedy komendanta posterunku MO w Łapach, naszego członka, Piotra Kierca. Oficerowie UB to oczywiście przyjechali samochodem a nie tym pociągiem. Trzymali go w budynku "czerwonych" związków, ale że był bystry chłopak to uciekł im. Gdy przewozili go samochodem wyskoczył to go chyba tylko drasnęli w czasie strzelaniny. Powiedział im, że w lesie ma ukrytą broń i ci uwierzyli mu i właśnie gdy wieśli go żeby ~~zinn~~ pokazał im gdzie jest ta broń, uciekł im. Wcześniej nie mógł tego zrobić, bo pilnowało go dwóch kaczepów.

W czerwcu 1946 r. pod Masowieckiem zatrzymaliśmy ciężarówkę 3/4. Kierowcę wysadziliśmy i Huzar powiedział: A teraz pojedźmy sobie. Było nas 8 czy 9. Pojechaliśmy do Łap. Prze ulicę: Przejazd, Listopadową i pod kościół. Akurat było chyba czerwcowe nabożeństwo. Obok był sklep pana Gęsowskiego więc spytałem Huzara, czy pozwoliłby mi skoczyć tam i kupić papierosy. Wsiadliśmy z samochodu a w tym czasie ludzie zaczęli wychodzić z kościoła. Wśród nich była matka, która zobaczyła nas, jak wychodziliśmy z tego sklepu. Podeszła do nas i zaczęła nas obcałowywać wołając: O, to oni mi Piotrka, syna uratowali. - Wszyscy byli za-



zadowoleni. Machali do nas rękami. - Oczywiście nie jeździ-  
liśmy po terenie tak sobie w ciemno. Huzar codziennie otrzymy-  
wał meldunki z całego terenu o sytuacji. Jeżeli np. z Białego-  
stoku wyjechała o godz. 13 grupa operacyjna to już o 15 Huzar  
o tym wiedział. Tak, że jeżeli robiliśmy coś takiego, to zna-  
czy, że teren był czysty. Siatka wywiadowcza pracowała bardzo  
dobrze ale też w jej skład wchodziły setki ludzi. M.in. w wy-  
wiadzie pracował mój brat stryjeczny. Był w KP MO w Wysokim  
Mazowieckim. Został aresztowany i dostał 12 lat. I teraz jak  
czasami rozmawiamy, to mi mówi: Ty wiesz, że pania wiedział, że  
kim ja jestem, bo nieraz jak jechaliśmy willysem w teren to  
nigdy nie brak kogo innego jak mnie. I czasami jak go pytałem:  
Stasiu, ty tak nie boisz się jechać tylko ze mną w teren to od-  
powiedział - z tobą się nie boję. Tak jakby wiedział o tym, że  
mój brat jest w AK. Brat nazywał się Hieronim Dziemianowicz.

W oddziale była szkoła podoficerska. Szkolenie odbywało się  
co jakiś czas. Prowadzili je - przyjeżdżający do nas - por. Bil  
zastępca dowódcy obwodu, ludzie z siatki, których wtedy nie  
znałem i sam Huzar. Konczyło się to egzaminem i w wypadku zda-  
nia go otrzymywało się awans.

W maju albo w czerwcu 1945 r. aresztowano mego brata stry-  
jecznego Leona Dziemianowicza - brata młodszego Hieronima -  
przypuszczając że to jestem ja. I na UB w Wysokim Mazowiecku  
brat został zamordowany. 10 lat temu Hieronim dostał zgodę na  
ekshumację zwłok Leona. Zgodził się pomóc mu w tym jeden z ko-  
legów, który miał jakieś znajomości wśród ubeków i pomógł od-  
naleźć szczątki brata. Hieronim poznał go po uzębieniu cha-  
rakterystycznym. Szczątki pogrzebane były ~~xxxxxxx~~ pod bu-  
dynkiem UB. Mój brat był na tyle zobowiązany temu koledze, że



gdy ten zachorował na chorobę Bergera i leżał w szpitalu to często zachodził do niego i golił go czy w inny sposób pomagał. Miesiąc temu ten człowiek zmarł. Nawet pogrzeb mu urządził.

Gdy w maju/czerwcu 1945 aresztowano w Łesach wielu członków AK ~~xxxx~~ Dziadek postanowił odbić ich, gdy będą przewożeni do UB w Wysokim Mazowiecku. Oddział Huzara, który liczył wtedy chyba 15-tu ludzi, pomagał mu w tej akcji. Mnie tam nie było wtedy. Słyszałem tylko, że po oddaniu srebrki z karabinu samochód z ubekami zatrzymał się a ci wyskoczyli na szosę i poddali się. Aresztowanych nie było z nimi, gdyż chyba wywieziono ich innym samochodem, inną trasą. Potem nawet Hieronim ~~xxx~~ pytał się mnie z wyrzutem: To nie mogliście odbić Leona.

U dziadka było wtedy chyba ze dwudziestu. Ja zostałem przydzielony do sekcji Ponurego. Sekcja liczyła 6 + 1 żołnierzy. W połowie 1946 r. Ponury awansował na zastępcę Huzara, był po nim najstarszym żołnierzem oddziału, a ja zostałem dowódcą sekcji na jego miejsce. Dowódcą pierwszej sekcji był kuzyn Huzara - Franciszek Łapiński i dlatego Huzar najczęściej przebywał razem z tą sekcją. Ponury to był przedwojenny zawodowy podoficer i chyba tuż przed wojną był w policji. Zginął w 1949

Po tej wyżej wspomnianej akcji oddział odskoczył do Daniłowa. Tam natknęliśmy się na chłopów, którzy masowo wycinali drzewa w lesie. Już tak zdziwili, że nie chcieli im się nawet uklęknąć, żeby sciąć drzewo przy korzeniu, tylko cięli ~~xxx~~ na tej wysokości jak stali. To kładliśmy takiego chłopca na pieńki i dostawaliśmy na tyłek parę batów. Jak tylko wyszliśmy z lasu to ci co stali najdalej zdążyli uciec, ale ci co byli najbliżej już nie zdążyli. Wiedzieli co to będzie. Kontrybucji

nie nakładaliśmy na nich.

Zołąd dostawaliśmy w wysokości 500 złotych z tym, że nie był on wypłacany regularnie. Zwykle był wtedy gdy byliśmy blisko komendy obwodu. Było to sporo bo paczka papierosów kosztowała 3-4 zł a pudełko pasty do butów 5 zł, a to były artykuły, które najczęściej kupowaliśmy, bo jedzenie najczęściej pochodziło przecież od gospodarzy. Jak byliśmy samochodem w Łapach wtedy koło kościoła, co matka Piotrka poznała nas i tak dziękowała, to wtedy kupiłem, nie pamiętam za 150 - czy za 100 zł. - 10 paczek papierosów "Bałtyk". Oczywiście płaciliśmy wtedy, gdy mieliśmy pieniądze, a jak nie było ich to czasami i trzeba było nie kupić a wziąć z takiego sklepu. Oczywiście tylko państwowego, nigdy prywatnego.

Jak rozbijaliśmy posterunki to nie braliśmy od nich broni bo głównie mieli tylko zwykłe kabki a my byliśmy uzbrojeni w broń automatyczną więc te rupiecie nie były nam potrzebne. Często wśród tych milicjantów, a czasami były to całe załogi, byli nasi ludzie. Jak już raz rozbiliśmy taki posterunek to nam nie powstawał z tych samych milicjantów. Albo wstępowali do naszego oddziału albo wyjeżdżali na zachód a na ich miejsce z Białegostoku przysyłali jakichś Białorusów.

W Sokołach czy Czyżewie nie mieliśmy najmniejszych kłopotów. W ostatniej miejscowości to dodatkowo zlikwidowaliśmy kilku Żydów, chyba z 9-ciu i 1 czy 2 informatorów UB. Z posterunkiem MO też nie mieliśmy żadnych kłopotów. Podobnie było w Kosowie Lackim. Gdy o szarówce wchodziliśmy do tej miejscowości to już milicjanci - posterunek był w drugim końcu Kosowa - wiedzieli o tym i gdy weszliśmy na posterunek to już nikogo nie było.

Milicjanci uciekli zostawiając na stołach broń. My tej broni nie ~~wzięli~~ braliśmy bo kabki nie były nam potrzebne. I ta broń tak tam została i chyba ktoś ją w tym czasie, przed powrotem milicjantów ukradł bo potem w sądzie chcieli na zrobić rabunek. Gdy wracaliśmy z tego posterunku rozbiliśmy jeszcze spółdzielnię, z tym, że jak już coś braliśmy to tylko to co nam było rzeczywiście potrzebne a więc: pastę do butów, pastę do zębów, baterijki do latarek, które powinien mieć każdy partyzant, papierosy i to było wszystko. Oczywiście ludzie ten fakt wykorzystali i rozgrabili tą spółdzielnię a potem nas obciążano tym.

W mojej sekcji byli: Ponury, ja, Bzaron, który był amunicyjnym ekszemisty Zbyszka - ten zaś był sądzony razem z Huzarem i chłopak z Wysokiego Mazowieckiego o imieniu Olek ale pseudonimu nie pamiętam.

We wrześniu 1946 r. byliśmy w Sokołowie Podlaskim. Tam było koło Sokołowa lotnisko. Pilnowało go kilkunastu sowietów. Rozegnaliśmy ich. Trochę postrzelali i pouciekali.

Gdy odskoczyliśmy w pobliskie lasy zatrzymaliśmy się w lesniczówce i gajówce. Wtedy właśnie mój brat stał na warcie i wystrzelił z karabinu na alarm. On stał od stodoły, w której kwaterowaliśmy jakieś 20 metrów. To był tylko jeden posterunek. Więcej posterunków nie było. Jak potem opowiadał mi brat, to było tak, że oni podeszli do niego od strony lasu na jakieś 20 metrów i zaczęli go po cichu walczyć. No to wtedy udało się im gdyby brat alarmu nie podniósł. Miał pepeszę, puścił serię w nich. Nastąpiła strzelanina. Odskoczyliśmy od nich, przeszliśmy szosę i weszliśmy na skraj puszczy. W czasie tej strzelaniny jeden z naszych został ranny. Zraz go opatrzyliśmy i



wsadziliśmy na konie - mieliśmy przecież sekcję konną. Pod przeskoczenia szosy, gdy znaleźliśmy się na skraju puszczy, Huzar powiedział: Tu na nich zaczekamy. - Położyliśmy się. Każdy zajął dogodną pozycję. Podpuszcziliśmy ich na jakieś 100 metrów i otworzyliśmy do nich ogień. Oni z kolei zaczęli ostrzeliwać nas z granatnika. Leżałem wtedy obok Huzara, który ostrzeliwał ich z Bergmanna. Leżał na ziemi w pozycji strzeleckiej z rozrzuconymi nogami. W pewnym momencie usłyszałem: Ziuuuuuu i pęc. Pocisk z granatnika upadł między nogami Huzara i nie wybuchł. Ta sztrzelanina trwała chyba z jakąś godziną. Potem odskoczyliśmy w głąb puszczy. Tam natknęliśmy się na zabudowania gościa, który zbierał żywicę w lesie. Napiliśmy się tam wody. To był już zmierzch. Huzar wziął od któregoś z żołnierzy sowiecką płaszcz-paśćkę, nakrył się nią na głowę i wtedy poświecił na mapę latarką i zorientował mapę z terenem żeby wiedzieć w którym kierunku mamy iść. Gdy ruszyliśmy w drogę, na lesnie ścieżce napotkaliśmy chłopca, który jechał furmanką. Wiązał siemniaki. Szedł obok fury trzymając w ręku lejce. Ohwyciłem się burty, bo byłem już solidnie zmęczony, zamieniliśmy z nim parę słów i nie zdążyliśmy ujsć 200 metrów gdy nagle usłyszałem z boku: Ognia!. Pamiętam tylko jak koń stanął dęba - widocznie dostał - i ten gospodarz zginął. Pomimo tego że zasadzka znajdowała się tuż przy drodze i zaskoczyli nas zupełnie mając nas tuż pod lufami swoich karabinów nikogo nawet - poza tym gospodarzem - nie drasnęli. Oczywiście natychmiast odskoczyliśmy w puszcę i znikliśmy w ciemnościach. Gdy oddalaliśmy się z tego miejsca słyszeliśmy ~~głuchy~~ jak jeden do drugiego krzychał: Łapaj bandytę, na drzewo włącz. To jeszcze krzyknąłem do nich: Pocałujcie mi w dupę, pachołku bolsze,

wicki. Ja szedłem wtedy albo w drugiej albo w trzeciej grupie. Pierwsza doszła do wioski, do której jechał ten gospodarz i tam też natknęli się na UB i jakoś się przedarli. My natomiast po ostrzeleniu nas na tej drodze odskocziliśmy w las i poszliśmy w rozsypkę. Te dwie grupy podzieliły się na kilka mniejszych. Kierowaliśmy się na Bug. Przekroczyliśmy go w pław koło Mura. From to był chyba w Kamieńczuku.

Zbyszek, erkaemista z mojej sekcji dostał pewnego razu ur-  
lóp. Kilka dni wolnego na odwiedzenie rodziny. Pochodził ze  
wsi Kostryehoski i tam został postrzelony przez eneszetowców  
w koleno. To przywieźliśmy go do ~~szpitala~~ <sup>i leżał tu w szpitalu</sup> i tu  
się leczył. Nie wiem dlaczego ci z MSZ-tu to zrobili. Czy by-  
ła to osobista zemsta czy co innego.

Udy innym razem byliśmy w Łepach Huzar dał mi i Kropce roz-  
kaz zlikwidowania Pogorzelskiego - pracownika UB. Powiedział  
nam, że jest on w parowozie na stacji. Razem z nim był jeszcze  
jeden żołnierz. Mieliśmy na sobie ruskie kożuchy a pod nimi  
polskie mundury. Rękę wsadziłem pod kożuch. Przymakłem w niej  
pistolet. Kropka też miał schowany pistolet. W ruinach budyn-  
ku stacyjnego stało nasze ubezpieczenie, którym dowodził Pirat  
Od niego do nas idących po peronie było może z 5 metrów. Od  
razu podeszliśmy do parowozu. W tym czasie pozostali chłopcy  
przeszukiwali pociąg. Do nas z kolei podszedł dyżurny ruchu  
i powiedział: Poszewka ~~jest~~ <sup>siedzi na</sup> w parowozie. /Ten dyżurny ruchu  
jeszcze żyje/. Kropka wszedł na stopień, pchnął lułą pistoletu  
orzwiaczki do parowozu i zobaczywszy postać w mundurze zaczął  
do niej strzelać. Po oddaniu chyba trzech strzałów krzyknął  
do mnie: Dostałem, strzelaj ty! i wycofał się. Wtedy ja wsko-  
czyłem na stopień i oddałem do niego chyba z 5 strzałów

Pogorzelski już do mnie nie strzelał bo został wcześniej ranny przez kropkę, który z kolei dostał od niego w rękę. Natomiast żołnierz, który miał osłaniać Pogorzelskiego po prostu uciekł. po pierwszych strzałach. Potem ~~xx~~ ludzie, którzy przyglądali się temu powiedzieli nam, że żołnierz wyskoczył i uciekł. Pogorzelski dostał chyba cztery razy w nogi, dwa razy w szyję i raz w klatkę piersiową. Jak potem na naszej sprawie zeznawał ten Pogorzelski, bo jak się dowiedzieliśmy, nie zabilismy go wtedy pomimo tylu trafień, maszynista pomógł mu zejść z parowozu i sam doczołgał się do ściany spalonego dworcowego budynku i tam przeleżał, aż znalazło go wojsko czy milicja.

Po naszej stronie Bugu, w południowym rejonie powiatu Wysokie Mazowieckie, mieszkał w jednej ze wsi - Koce jakieś tam - nasz człowiek, komendant siatki, który zszedł na złą drogę. Zaczął robić jakieś akcje, czyli rabować. Został na niego wydany wyrok. Dowiedzieliśmy się, że jest w sokołowie Podlaskim. Właśnie dlatego aż tak szybko poszliśmy, na teren Okręgu Lubelskiego, bo szukaliśmy go. Czy nie lepiej było wysłać kilkucobowy patrol nie wiem. Huzar wiedział lepiej. Nie znaleźliśmy tego człowieka. Potem, gdy już wyszedłem z więzienia w wy-~~xxxxxxxxxxxx~~ stosunki rodzinne układały się tak, że stałem się jego dalekim, dalekim kuzynem. I kiedyś spotkaliśmy się na imieninach stryjenki a on był jej bratem. Jak sobie podpił zaczął opowiadać, ~~xxxxxxxxxxxx~~ że był w organizacji. Chwalił się kim to on był. W pewnej chwili doszło między nami do małej scysji. Ja mówiłem swoje a on swoje. On miał pseudonim Burek. W końcu pomyślałem sobie, że powiem mu że go znam i mówię: Panie Burek, ja to znam z innych trochę okoliczności. - I w tym



W tym momencie zrobił się tak czerwony jak prawdziwy burak. Wtedy też zorientował się, kim ja jestem, że to ja byłem jednym z tych, którzy szukali go. I potem, ilekroć kontaktowałem się z tamtą, moją przecież, rodziną zawsze starał się być ode mnie jak najdalej.

Z Wołkun to pamiętam tylko tyle, że gdy w jednej z chałup dopadliśmy dowódcę tej grupy operacyjnej, to już w piecu <sup>które wyciągał z sctówki</sup> były się jakieś dokumenty, których nie chciał oddać w nasze ręce. To wtedy sekcyjny trzeciej sekcji Grek - następca Wira - rozbroił go. Wziął jego pistolet: zobaczę co to za broń - powiedział i nacisnął na spust i jednym strzałem wykotłował cały magazynek. Ty dziedzie - krzyknął do tego dowódcy - to ty taki pistolet nosisz? Chciałbyś się nim bronić na przykład wykotłowałbyś za jednym razem cały magazynek a potem co? - dziwił się. Coś z tym pistoletem musiało być nie w porządku. Z niego to musiał być jakiś twardzie chyba bo jeszcze zaczął nas przekonywać: Co wy robicie? Co z tego będzie. Po co wy to robicie? - Ty lepiej zamknij dziób, bo jak chcesz żyć to lepiej mów coś innego, a nie to w czasie dostaniesz i będzie po krzyku - powiedział któryś z chłopaków.

Wielkanoc 1946 r. spędziliśmy w jednej ze wsi koło Łep. Zajęliśmy 5 - 7 domów. Gospodarze byli dla nas bardzo mili. Starali się jak mogli, żeby te święta były dla nas jak najlepsze, żebyśmy czuli się jak u siebie w domu, co oczywiście nigdy nie było możliwe, bo własnego domu nie da się zastąpić. Tym gospodarzom, u których kwaterowaliśmy pozwoliliśmy pojechać na rezurekcję. Inni mieli zabronione. Warty pilnowały, żeby nikt nie wyslizgnał się.

Na krótko przed świętami poszliśmy całym oddziałem do Cho-

dybawa, do kościoła. Do wsi przyszlismy późno w nocy. Nie chcieliśmy sami budzić księdza więc poszliśmy najpierw do jednego z gospodarzy, któremu powiedzieliśmy, żeby poszedł po księdza i obudził go. I rzeczywiście zrobił to i przypro- wadził księdza. - Z tym gospodarzem to przypomniał się mi taki wypadek. Niedawno leżałem w szpitalu. Przenieśli mnie na salę, gdzie leżał starszy już - koło 80-tki, człowiek z Szepietowa. Szykowali mnie już do wypisania i w szufladzie szukałem kwitu depozytowego na ubranie. W czasie przewracania dokumentów wypadły mi na podłogę zdjęcia z ~~z~~ oddziału, które noszę zawsze ze sobą. I ten człowiek podszedł do mnie i pomógł mi pozbiierać te zdjęcia. Tak się złożyło, że na zdję- ciu, które znalazło się na wierzchu tych, które on trzymał w ręku, był Ruzar. I wtedy on mówi tak: Proszę pana, pan chyba zauważył, że ja panu się przez kilka dni przyglądam. A pan mnie pamięta? - Nie - A wyście mnie wtedy budzili, żebym ja księdza poszedł i obudził.

Oczywiście jak poszliśmy do kościoła to bron mieliśmy ze sobą, nie zostawialiśmy jej przed kościołem. Wtedy w spowie- dzi byłem po raz pierwszy od 1944 r. Oczywiście powiedziałem księdzu o wykonywaniu tych wyroków. Odpowiedział mi mniej więcej tak: To nie jest twoja sprawa. Życie tych ludzi brak na sumienie ten, kto wydawał rozkazy. Oczywiście my nie wie- dzieliśmy czy ten, który ginął z wyroku był rzeczywiście win- ny. Nawet Ruzar chyba nie wiedział tego na pewno. Po prostu dostawał rozkaz z komendy obwodu i musiał go wykonać. To było przecież wojsko. Tu nie było miejsca na rozmyślenia. Ale były też sytuacje, gdy musieliśmy sami decydować.

Staliśmy wtedy w Jabłoniach, ale których to nie pamiętam bo jest ich dużo. Posterunki były wystawione jak zwykle tylko przy drodze wylotowych ze wsi, bo przecież od strony pól czy lasów samochody nie mogły przyjechać. I ci z bezpieki pewnie wiedzieli o tym. Ten gość też. Przyszedł do wsi z samego rana, ale wszedł do niej jakąś polną dróżką, przez nikogo nie pilnowaną. I od razu zaszedł na naszą kwaterę. Zaczęliśmy pytać gospodarza: Zna pan tego człowieka? - Nie odpowiedział. Zawołaliśmy sąsiadów z jednej i drugiej strony: Zapytaliśmy ich o to samo. Żaden z nich nie znał go. Zawołaliśmy kuzera. Do kogo pan tu przyszedł? - pyta się go. Do kolegów. - A jak on się nazywa - Ja nie wiem - rozbrajszająco odpowiedział niezadowolony. Jak raz nie mieliśmy tej naszej "prawdy", więc znaleźliśmy inną i zaczęliśmy z nim "rozmawiać". I facet przyznał się, że jest z Białegostoku. Był w UB w Mazowiecku i z tamtąd wysłali go tutaj w teren. Na dodatek w czasie rewizji znaleźliśmy jego legitymację UB. No to koniec jego był smutny. To było chyba latem 1946.

Latem 1945 r. za Piatkowem, w lasach, w rejonie wsi: Bajki, Filipy, Godzieby, była koncentracja brygady Lupaszki. I myśmy tam wtedy byli. I m.in. byliśmy wtedy u tego Łukasiska, co to za Niemców kupowaliśmy u niego wódkę. Był tam wtedy pamiętam taki por. Żagiel, ~~xxxxxx~~ dowódca szwadronu ~~xxxxxxxxxx~~, który potem ożenił się właśnie z córką Łukasiska. No i wróciliśmy właśnie z tego spotkania. Szliśmy traktem na Piatkowo. W Osówce minęliśmy gościa w średnim wieku. Nie zwróciliśmy na niego uwagi. Gdy ~~xxxxxxxxxx~~ weszliśmy już między pierwsze zabudowania Piatkowa napotkaliśmy dwóch ludzi, którzy nas zaczęli: My wiemy kim panowie jesteście. Czy widzieliście takie-



goście - lat czterdzięci parę, na ramieniu niosą skrzynkę. - Tak widzieliśmy. - Gdzie? - W Osowce. - Panie to szpicel. I za raz dali nam dwa konie i ja z kolegą wskoczyliśmy na nie i na oklep dogoniliśmy tego gościa. Dostał w czepę. ~~xxxxxxxxxxxxxxxx~~ Po zlikwidowaniu go przeszukaliśmy go i znaleźliśmy przy nim legitymację UB. To za to dostaliśmy pochwałę od Bile - zastępcy komendanta obwodu.

Miedźgo po świątach Wielkanocnych 1946 r. oddział znalazł się w Łapach-Osse i Huzar pozwolił łepiakom na odwiedzenie swoich rodzin. Razem było nas kilkunastu. Następnego dnia, z samego rana - około 4-5-tej wracaliśmy do oddziału. Po wejściu do wsi zauważyliśmy przed jednym z domów samochód, wokół którego kręciło się kilku żołnierzy. Jeden z nich zauważył nas i ruszył w naszym kierunku. Satnąłem - byłem wtedy w mundurze majora - i pytam się go: Co wy tu robicie? - A, przyjechaliśmy "na zdjęcie" - odpowiedział żołnierz w gwarze wojskowej. Czyli przyjechali aresztować tu kogoś. A wy skąd? - zapytałem. - Z Bialegostoku jesteśmy - odpowiedziałem. Cały czas mówięm do niego po rusku, bo znam ten język. A gdzie wasz dowódca? - zapytałem. O, w tym domu - pokazał ręką żołnierz. I rzeczywiście z domu wyszedł ~~na~~ ~~xxx~~ porucznik i podszedł do nas. Oni owa nie urządzili się, bo przy drodze, na skrzyżowaniu dróg właściwie, w środku wsi, był ustawiony erkaem. Wołaliśmy erkaemis tę ale nie chciał podejść. Porucznik zameldował się i mówi, że przyjechali aresztować kilku ludzi, których część mieli już na ciężarówce. Wtedy Huzar, który był w mundurze polskim, z dystynkcjami porucznika, powiedział do niego: Proszę dać rozkaz erkaemisście, żeby zszedł z posterunku. - Porucznik kiwnął najpierw na niego ręką, wreszcie zawołał na niego i erkaemista

podniósł się, erkaem założył na plecy i podchodzi do nas. Wtedy Huzar mówi do tego porucznika: Zawołajcie resztę ludzi, trzeba zrobić naradę, jak przeprowadzić całą operację dalej. I rzeczywiście z tego domu wyszło ich 10 czy 12-tu. A my w tym czasie tak już rozstawiliśmy się, żeby wziąć ich w kółko. Wtedy Huzar mówi do porucznika: A czy wy wiecie kim my jesteśmy?. - Porucznik rozejrzał się powoli dookoła i mówi: Już teraz wiemy. Co panowie z nami zrobicie? - Nic - odpowiedział Huzar. - Gdzie jest ten wasz cały dowódca? - <sup>grupy operacyjnej</sup> W domu. - Był na tyle cwany, że do tej pory jeszcze nie wyszedł. A on był właśnie z bezpieczki. W końcu jednak wyszedł do nas. Był w cywilu. A żołnierze w tym czasie sami zaczęli zdejmować pasy, ~~xx~~ rzucać karabiny, płaszcze. - Po co nam to - mówimy do nich, bo przecież co z tych płaszczy, jak mamy swoje. Co dwa będą na ramieniu nosić. Z karabinów powyjmowaliśmy tylko zamki. Nawet pepesz nie braliśmy, bo wszyscy mieliśmy. Będziecie w tej wsi do tej pory, dopóki my tu będziemy. - Powiedzieliśmy do nich. Potem zawołaliśmy sołtysa i mówimy do niego: Panie sołtysie proszę podzielić ich na grupy i dać do bogatszych gospodarzy, żeby dali im jeść ile chcą i pić. A sami poszliśmy do drugiej części wsi, oddzielonej od pierwszej olszyną, gdzie kwaterowała reszta oddziału. Huzar był z nami, bo był też w zapachu i stamtąd wrócił razem z nami. Zjedliśmy tam ~~wkąd~~ obiad. Zaczęło się tam ściemniać gdy usłyszeliśmy nadjeżdżające samochody. To były dwie ciężarówki wojska przysłane dla wyjaśnienia sytuacji z Mazowiecką, gdzie już pewnie zaczęli się niepokoić, co stało się z tą grupą operacyjną, którą rozbroiliśmy. Zarsz więc ogłoszono alarm i zajęliśmy stanowiska w tej olszynie. Żołnierze rozsypani się w tyralierę i zaczęli

do nas strzelać. Po jakiejś półgodzinnej wymianie ognia uznaliśmy, że dalsza walka jest bez sensu i wycofaliśmy się. Przekroczyliśmy torę i po przejściu 5 kilometrów rekwaterowaliśmy się we wsi. Na drugi dzień rano słyszamy, że w Brzozowie strzelanina jak cholera. A to że nami ruszyła już duża grupa operacyjna, która natknęła się na zasadzkę urządzoną przez oddział Burego, który na wieść o pojawieniu się ich w terenie, postanowił ich zlikwidować. Całą tę grupę operacyjną wziął do niewoli i spośród nich wybrał milicjentów i funkcjonariuszy bezpieki. Było ich 17-tu. Ustawił ich w szeregu i każąc oddać broń. Oni oddali a Rekin zaczął rewidować ich. I jeden porucznik, Żyd, trzymał ręce do góry a w rękawie miał pistolet - a jeszcze wcześniej ci oficerowie jak jechali samochodem na akcję to żartowali sobie, że jadą na obiad do Burego i żołnierze zaraz o tym powiedzieli Buremu - i gdy Rekin sprawdził tego Żyda, ten wyjął błyskawicznie pistolet i strzelił Rekinowi w pierś. Rekin upadł na kolana. Bury się wściekł: Jechaliście do mnie na obiad, to zrobimy wam teraz czerwony barszcz i tych wszystkich 17-tu skosił. Po tej akcji oddział Burego odskoczył aż w Łomżyńskie, ale wtedy za nim ruszyła obława z prawdziwego zdarzenia. Nawet panczerki tam były. To zagnali ich <sup>na</sup> aż x Prusy. Rekin na początku wieźli na wozie, potem nie wiedzieli już co z nim robić to przywiązali go na ręce i nogi koniu i tak jechał dwa dni i ten koń - proszę sobie wyobrazić ani razu nie poszedł w wojsko.

Tego szefa grupy operacyjnej wtedy w Ossach to oczywiście zlikwidowaliśmy. Jak mówił wcześniej był ponoć z kieleckiego. A tych aresztowanych przez nich, po odskoku wypuściliśmy.

W Mazowiecku jednego razu zlikwidowaliśmy 5czy 6 Żydów/??



Jeden z nich nazywał się bodajże Wójcik i był współpracownikiem bezpieki.

mieszka gdzieś w lubelskiem

Wir został zlikwidowany przez Greka, na rozkaz Huzara za i został w jakiejś wsi. To przecież można było potraktować jako dezercję. I by- może tak właśnie było. nigdy nie tolerował. Zawsze bardzo dbał o opinię oddziału, a o niej świadczyły i zachowanie się chłopaków i ich wygląd. Sam zawsze bardzo dbał o siebie. Codziennie ~~dnxx~~ był ogolony, buty świeciły się wyglansowane. I tego też żądał od nas. Jeżeli ktoś miał płaszcz rozpruty czy coś takiego to od razu mówił: Będziemy tu i tu. W tej wsi jest krawiec. Masz się u mnie zameldować po wozycie u krawca. - Wojsko jednym słowem nie mogło wyglądać jak żajzy. Był wymagający od siebie i od nas. Był też niesamowicie wprost opanowany. W sytuacji największego nawet zagrożenia, gdy był bezpośrednio zagrożony, zawsze był bardzo spokojny. Śladu zdenerwowania po nim nie było widać.

Jeśli chodzi o nasze stosunki z NZW to nie były ani wrogie ani przyjacielskie. Z tym, że jeśli chodziło o nas, żołnierzy to przecież jeżeli miałem u Burego kolegę Gołębia, to mi nic musiałem go zarsz nienawidzieć. Był dalej moim kolegą. Wydaje mi się, że dla nas żołnierzy to nie miało większego znaczenia czy ktoś jest w NZW czy w WiN. Wzajemna <sup>wydaje</sup> niechęć szła raczej od góry, ze strony dowództwa. Z tym, że ~~wyjął~~ mi się, chociaż nasze cele były ~~xxx~~ takie same i tak samo je chcieliśmy je zrealizować to jednak jak wydaje mi się oni byli bardziej bezwzględni w ich realizacji i właśnie jeśli chodzi o wykonywanie zbyt pochopne wyroków na ludziach, którzy okazali się potem niewinni, to raczej oni takich mieli właśnie najwięcej. Poza tym nasi dowódcy to byli ludzie wykształceni i inteligent-

oni a oni raczej opierali się na elemencie ze wsi. Ale najczęściej wzajemnej niechęci to brało się stąd, że członkowie ich siatki, niektórzy oczywiście, zajmowali się rabunkiem a myśmy przecież to surowo zwalczali i tych złodzieki zlikwidowaliśmy. Od tego momentu oni mieli do nas pretensje, że myśmy zabili ich członków.

Była taka jedna duża szajka konikradów. Było ich chyba z 15-tu. Mieszkali w Boćkach, Płonce-Matyskach, Bojarach, Złotkach jednym słowem na terenie całego powiatu i tu prowadzili swoją działalność. Powoli, po kolei, wyłuskiwaliśmy ich. Byli tacy, co popadli się nam w ręce w terenie a byli i tacy, do których jeździliśmy. Bo mieszkańcy wioski wiedzieli jak ktoś przyprowadził do gospodarza konia i chciał mu go sprzedać, to ludzie zaraz wiedzieli czy to koń był kradziony czy nie i zaraz nas powiadomiali o tym. I jeden gospodarz pewnego razu też przyszedł do nas i powiedział, że pokaze konikrada. Z kolci w Takiej wsi Michałki, przed Czyżewem, była wróżka. I przychodzi któregoś razu gospodarz do nas i mówi, że w nocy uprowadzono mu dwa konie. - No dobrze ale co pan może więcej powiedzieć? - Ja wiem panowie, gdzie oni mieszkają, ale trzeba dowiedzieć się gdzie oni trzymają te konie. Wiecie panowie co pojedziemy do Michałek, do wróżki. Ona może powie nam gdzie są te konie. To był większy kawałek drogi do tej wróżki, ale o-  
płacało się tyle jechać. Rzeczywiście. Wróżka nie powiedziała dokładnie gdzie są te konie a ale wytłumaczyła tak, że gospodarz, który świetnie znał ten teren wiedział od razu: Tu jest kapliczka, tu stoi drzewo, od drzewa pójdziecie prosto, tu są rozstajne drogi, tam leży kamień. Za tą drogą 200-300 metrów jest kolonia. Szukajcie na tej kolonii. To za to, że

nie ten człowiek kożuch uszył. Zabił 5 czy 6 owiec, za to, że pomogliśmy mu te konie odzyskać. Byłem w tych Michałkach z kolegą. Wzięliśmy furmenkę i pojechaliśmy na tą kolonię. Odpowiednio wcześniej zsiadliśmy z fury i na miejsce podeszliśmy pieszo. Był już wieczór. Pies zaczął szczekać ale spokój nikt nie wychodzi, czyli nikogo nie ma. Możemy śmiało iść. Stodoła zamknięta była tylko na haczyk. Znalazłem patyk i podważyłem nim haczyk. Otworzyliśmy wierzeje. I rzeczywiście, w sąsiedku stały konie gospodarza, który przyjechał z nami. Od razu poszliśmy do domu. Gospodarz był i nie widział jak weszliśmy, bo do stodoły weszliśmy od tyłu. Pytamy się: Skąd te konie są? Kto je przyprowadził? i gospodarz bez żadnego przymusu powiedział nam nazwisko złodzieja. Ta cała historia to wyglądałaby tak: złodzieje kradli te konie oczywiście w nocy i jako, że świt się zbliżał musieli te konie ukryć w jakimś sekretnym miejscu, bo przecież na wsi wszyscy znali jak kto ma konie w promieniu 5 kilometrów, więc nie mogli ich tu sprzedawać, tylko musieli przerzucić na drugi teren. Przyprowadzili więc w nocy do tego gospodarza na kolonię, pomachali mu pistoletem przed nosem i kazali karmić te konie przez, np. dwa dni. Potem miały być odebrane. Kto je przyprowadził? - pytamy się. - Panie - odezwał się "nasz" gospodarz - ja jego znam oni tu grasują już od dłuższego czasu. Oni te konie podobno prowadzą spod Białegostoku aż pod Warszawę. - Tego co te konie przyprowadził poznacie panowie po tym, że nie ma dwóch palców u ręki. - I po dwóch dniach chyba zachodzimy do tej wsi z której pochodził nasz gospodarz i zachodzimy do jego sąsiadów i pytamy się, czy widzieli takiego i takiego. A tak, był Szedł przez wieś. A gdzie on teraz może być? - On ma tutaj



narzeczoną. - A gdzie ona mieszka? - Gospodyni wyszła z nami na ulicę i pokazuje: O, ten dom. - Zschodzimy tam. Dziewczyna rzeczywiście niczego sobie. Był u pani? - Był. - Dawno poszedł - A jakieś piętnaście minut temu. - Nie wie pani gdzie? . - Nie, nie wiem. Ale mówię, że zajdzie do sołtysa. - Idziemy więc do sołtysa. Znaleźliśmy dom z tabliczką z napisem: sołtys. Powinien więc tu być. I był. Kazałem mu podnieść ręce do góry. Rzeczywiście. Nie miał dwóch palców. Zachowywał się spokojnie. Dostał w czapę. Inni to różnie zachowywali się. Wyrwali się, szarpali. Ten był spokojny. Jednego złodzieja z tej szajki to nie udało nam się złapać. Kilka razy nam się wymykał. I chyba żyje do dziś.

Potem okazało się, że ci złodzieje są jednocześnie członkami NSZ. A więc ci ostatni zaczęli ~~xxx~~ traktować jak wrogów. Był taki Cygan, ~~łapiąxk~~. Chodziliśmy razem do szkoły. Jego siostra jeszcze żyje. Kiedyś stoimy na kwaterach. Nie pamiętam już gdzie to było. Taka chłapanica, ciemno. To było w parę miesięcy po tym jak zlikwidowaliśmy tę szajkę latem 1946 r. Moja sekcja miała wtedy służbę. Posterunków jak zwykle były dwa. Moim zadaniem było je sprawdzać. Stały przy wlocie i przy wylocie drogi ze wsi. Szedłem właśnie od jednego do drugiego, miałem może jeszcze ze 100 metrów gdy nagle usłyszałem: Stój! Ręce do góry! - Pewnie kogoś zatrzymuje - pomyślałem sobie. i pobiegłem w kierunku wartownika. Co jest? - krzyknąłem zdyszany - i oświetliłem intruza światłem latarki. Oczywiście poznałem go od razu. Chodziliśmy przecież razem tyle lat do szkoły. Był w mundurze tylko nakryty ~~xxxxx~~ i ~~xxx~~ czapkę. Podeszedłem do ~~xxxxx~~ Cygana, rozchyliłem pelerynę, wyjąłem mu

zsa pass pistolet a z ramienia zdjąłem automat PPS. On oczywiście nadal nie wie kto ja jestem, bo przecież świecę mu latarką po oczach a sam jestem niewidoczny. Pistolet wsadziłem do kieszeni, automat zarzuciłem na ramię i mówię do niego: Idziemy. - Gdzie mnie prowadzisz? - Do komendanta na kwaterę. Zaszliśmy na pierwszą sekcję, gdzie zwykle był Huzar, puścikiem Cygana przodem i melduję dowódcy, kto to do nas przyszedł w cel w odwiedzin. Cygan słucha i przypatruje się mi: Edak to ty? - spytał zdziwiony - O ty to wyrok masz u nas. - Jasiu, na razie to ty jesteś w naszych rękach. Nie wiadomo jeszcze jak to może być. Huzar wypytał go trochę co i jak. Okazało się, że szedł do swojego oddziału, który niedaleko gdzieś tu kwaterował. Oddał komendantowi pistolet i automat Cygana. Huzar powiedział mu: Pójdiesz stąd ale dopiero na drugi dzień wieczorem, jak my stąd będziemy wychodzić. , Wtedy Cygan zaczął się rzucać - bo to był nerwieniec, dureń - to mówię do niego: Ty Janek nie podskakuj, bo nic tu nie zwoljujesz. Komendant mówi; że puści to puści i tak było. Wieczorem na drugi dzień wychodziliśmy i puściliśmy go. Broń oddaliśmy tylko amunicję wyjęliśmy z magazynków. No i ten dureń miał wtedy czelność powiedzieć, że oni na mnie wyrok wydali, toż ja mogłem mu wtedy w łeb palnąć i nic mi by za to nie było.

Ale raz było tak, że uprosiłem u komendanta życie dla chłopaka. To było w Surazie na wiosnę 1946 r. albo latem 1945. Chłopci z Suraze jeździli na targ do Bielegostoku i na tej trasie, gdy wracali już z targu zasobni w pieniądze byli napażeni przez bandytów, którzy terroryzowali ich pistoletami i zabierali pieniądze. Huzar ~~xxx~~ zaczął o tym dostawać meldunki i ke-

zał wywiadowi sprawdzić je. W końcu tych meldunków zbierało się już trochę. W końcu dowiedzieliśmy się gdzie dwaj ci rabusie mieszkają. Jeden z nich był pracownikiem poczty w Surszu. Poszliśmy do niego. Zapukaliśmy w okno. Słyszemy, że w środku jakiś rumor, rwetes. Stałem pod oknem i słyszę ~~xx~~ taki dźwięk, jakby ktoś fejerami po piecu ciągał. Natychmiast zaświeciłem latarką przez okno do środka i widzę, że gość coś wrzucił do pieca. i dopiero teraz idzie otwierać drzwi. Weszliśmy a ja od razu idę do pieca i patrzę w środku leży pistolet - parabelka. Ubieraj się - powiedziałem do niego. On już wiedział co go czeka: Panowie, jam mam żonę, dziecko - zaczął prosić. Rzeczywiście żona wstała, wyszła do nas i płacze jak choroba. Koło nóg płata się dwu-trzy letnia dziewczynka. Ale ja dalej mówię: Ubieraj się. No nic. Gość ubiera się, ręce mu się trzęsą. Wzięliśmy go między siebie i idziemy. W tym momencie jakoś Księżyc wyjrzał zza chmur i gość zaczął się nam przyglądać. Najpierw poznał mojego ciotecznego brata Marciniaka, bo w łapach najbliższej siebie mieszkali - on mieszkał w takim baraku kolejowym a Marciniak jakies może 100 metrów dalej. I zaraz mnie poznał: Edek ratujcie mnie, nie dajcie mnie zabić A to był chłopak, z którym chodziłem do szkoły. Szkoda mi się jego zrobiło. Było nas chyba 15-tu. Huzar był z nami a reszta oddziału była w innym miejscu. I ja i Pirat zaczęliśmy prosić Huzara: Panie komendancie, my tego chłopaka znamy dobrze bo on z nami do szkoły chodził przecież. - I wtedy ten chłopak upadł przed nami na kolana: Ratujcie mnie, bo przecież mam małe dziecko. - Panie komendancie - mówię znowu - może jakoś dało by się ~~zix~~ to jakoś inaczej załatwić. Huzar myślał, myś-



łał i w końcu mówi: Dobrze, ale pod takim warunkiem - jutro ma ciebie tutaj nie być, bo jeżeli sprawdzimy a będziesz to już nikt ci życia nie wyprosi. - Chłopsk jak to usłyszał to aż mnie w rękę pocałował: Wy już odchodzicie? - zapytał. - Nie, jeszcze nie. - To poczekaście chwilę na mnie ja tylko do młynarza skoczę tylko i zaraz przyjdę. Po chwili przyniósł z 10 kilo wiejskiej kiełbasy i 2 litry samogony. - Nie samogonę to zabierz - powiedział Huzzar - Kiełbasę to owszem, możecie wziąć - i zaraz wziąłem takie długie pęto, złamałem na pół i wsadziłem do kieszeni. Dzięki temu chłopak żyje do dziś. Jego brat mieszka na Ossach i czasami tam zachodzę jak robię zakupy Kiedy spotkałem go i pytam się: Stasiu a gdzie Janek się obraca? - Okazało się, że aż na Śląsk wyjechał.

Innym razem latem 1946 r. przechodziliśmy przez wieś Dąbrowa Wielka. Duża, kościelna wieś. I jeden z chłopków mówi do Huzara: Panie komendancie. Sklep jest to może byśmy kupili trochę papierosów, tego...? No dobra, to idziemy - zgodził się. Wchodzimy do sklepu, w środku półmrok bo pali się tylko ~~xxxx~~ lampka naftowa, mocno przykrycona. Dobry wieczór - przywitaliśmy się - Dobry wieczór. Rozglądamy się - są papierosy. Zaczynamy kupować. W tym czasie Ponury zajrzał do drugiego, młodego po-koiku - bo mieliśmy taki zwyczaj, że jak gdzieś wchodzimy to chłopaki zaraz sprawdzają, czy w innych pomieszczeniach ko-goś nie ma przypadkiem, żeby nie zaskoczył nas a u tego gościa to i samogony można było dostać i zagrychę i wypić na miejscu - zaświecił latarką i nagle słyszemy okrzyk: Ręce do góry! - zaciekawiony też zaraz tam poszedłem. Świecę latarką i widzę, że w środku siedzi mój znajomy Tadek, w mundurze bezpicksi. A

niech to cholera. Przyszedł ~~xtan~~ albo wypić albo zrobić wywiad. Podniósł ręce do góry. Ponury podszedł do niego, wyciągnął mu z kabury pistolet, zapasowy magazynek. Chłopaki w tym czasie już obkupili się i wychodzą i zabieramy go ze sobą. Odeszliśmy od wsi może z kilometr i stanęliśmy. Wzięliśmy go w kółko. Stoi w środku i obraca się dookoła bezradny i patrzy na nas przestraszony. Czuje po prostu, że to już koniec dla niego. Ale mnie znowu zrobiło się żal chłopaka: Panie komenda - cie - mówię do dowódcy - Ja się z tym chłopakiem w piasku bawiłem, bo mieszkaliśmy przez ulicę tylko. Jego matka była matką chrzestną mojej siostry. Szkoda mnie jego. Na-prwdę. - Wtedy Tadek obejrzał się i poznał mnie. Huzar pomyślał chwilę i pyta się go: Co ty tu robisz?. - No przyjechałem tu, bo mam tutaj informatorów. - Kto? - Tadek podał ich nazwiska. Huzar zamyslił się i mówi do Ponurego - Wuj - bo tak też go nazywaliśmy - daj ten pistolet. Jednemu z nas zdjął czapkę i wyłuskał w nią naboje z magazynków. Pusty magazynek ~~xxxxxxx~~ wsadził w pistolet i oddał go razem z pustym Tadekowi mówiąc: Więcej nie stercz się z nami spotkać. I Tadek zwolnił się po jakimś czasie. Po zwolnieniu z więzienia spotkałem się z nim w Łapsach w zakładach. Był na kierowniczym stanowisku. I któregoś razu musiałem pójść do jego gabinetu i coś wyjaśnić a ten do mnie chociaż nikogo w pokoju nie było zaczyna mówić przez pań. Zeskoczył mi tym niesemowicie, ale nic nie powiedziałem. Udałem że wszystko jest w porządku i wyszedłem. Potem z kolei była taka praca, którą musiałem wykonać w ciągu ~~jednego dnia~~ 24 godzin. Sprawa oparła się aż o dyrektora, który wysłał do mnie kierownika, żeby spytał się mnie, czy nie zechciałbym

przyjść do pracy w nocy, żeby wykonać to zadanie. No zgodziłem się. Pracę wykonałem w terminie. Kierownik przyszedł podziękować mi i razem z nim był ten Tadek. Gdy byliśmy tak trochę na uboczu powiedział do mnie: Ty się na mnie nie gniewaj, że ja do ciebie wtedy pan powiedziałem, ale tak musiałem. Nadal jesteśmy kolegami. - Dobra jest. Nie ma sprawy - odpowiedziałem. I teraz ile razy spotykamy się mówię do niego cześć cześć, on tak samo odpowiada i mijamy się. Nawet dziękuję nigdy nie powiedział. I tej sprawie powiedziałem kiedyś ~~swemu~~ swemu kuzynowi: On by ci tego nie zrobił - odrzekł na to. ~~Wtedy~~ Wtedy tak sobie pomyślałem o nim. Przypomniałem sobie jego cechy charakteru i pomyślałem sobie: Rzeczywiście, masz ty rację brachu. On by mnie nie pomógł.

Z naszych lekarzy w Łapach to byli: dr Prus, Strebejko, <sup>n</sup>~~xxxxxx~~ felczer Radziuk- fajny chłop, to ten co mi ten palec załstwił za Niemców - czy później pomagał nam to nie wiem - i dr Mróz, który pochodził spod Wołkowyska. Dostał 15 lat za współpracę z Niemcami. Chodziło o to, że był lekarzem w wojskowym szpitalu Niemieckim w Wołkowysku albo koło tej miejscowości. I kacapi zaminowali ten szpital i chcieli go wyszadzić. Wtedy dr Mróz postąpił zgodnie z przysięgą lekarską, tak jak mu nakazywało sumienie i powiadomił władze niemieckie o tym fakcie. Niemcy odnaleźli te ładunki i unieszkodliwili je i za to właśnie dostał taki wyrok - to tyle wiem ze słyszenia. Siedział chyba w Rawiczu w latach 50-tych.

W 1947 r. to już nie było żadnych akcji bo zaczęło się mówić o amnestii a wojsko z kolei i milicja miały rozkaz nie zaczepiać nas. To było tak w jednej wsi, już nie pamiętam gdzie



myśmy wchodzili z jednej strony a oni wychodzili z drugiej strony i doskonale widzieli nas. Na wszelki wypadek było ustalone hasło: Sprawa Orwida, dzięki któremu mieli zostawić nas w spokoju w razie przypadkowego spotkania. Wykorzystywaliśmy ten fakt, dzięki temu mogliśmy uniknąć wielu niepotrzebnych potyczek. W końcu Huzar nas zebrał i mówi: Kto ma chęć, komu już nadojadło to życie, to proszę bardzo. Nikogo nie zatrzymuję. Wcześniej jeszcze była odprawa z Witoldem.

Do tej pory karmieni byliśmy obiecwanym wybuchem trzeciej wojny światowej. Ciągłe na nią czekaliśmy, ale w 1947 r. coraz bardziej było widać, że to chyba nic z tego nie będzie. Ale to nas nie dotyczyło specjalnie bo to była już polityka a my byliśmy przecież żołnierzami i jaki dostaliśmy rozkaz taki wykonywaliśmy. Gdyby był rozkaz walczyć dalej walczylibyśmy. Jeśli nawet ktoś miałby jakieś wątpliwości, to nie odważyłby się ich powiedzieć, bo za to mogła być czapa. Owszem był jeden wypadek dezercji w oddziale latem 1946 r., ale miał on inne podłoże. Człowiek ten nie mógł ścierpieć, że Huzar, mimo tego, że ten miał stopień ~~yxxxxxxx~~ <sup>rz</sup> sierżanta podchorążego, ~~xxxxxxx~~ <sup>plutonowego</sup> dążył większym zaufaniem ~~xxxxxxx~~ <sup>z</sup> niż jego. A tanten po prostu był z Huzarem jeszcze od 1940 r. nic więc dziwnego, że Huzar miał do niego większe zaufanie. Ponadto ten właśnie nigdy nie pił. I sierżant uciekł ale szybko go złapaliśmy i niestety się dostał w czapę. Gdy kiedyś napił się to właśnie wobec nas powiedział to, że Huzar darzy większym zaufaniem plutonowego niż jego sierżanta. Rzucił graty na ziemię i poszedł. Po godzinie znaleźliśmy go. Daleko nie poszedł.

Jak później opowiedzieli mi koledzy, którzy byli z Huzarem

po ujawnieniu to w oddziale zdarzali się konfidenci nasłanian przez bezpiekę. Z likwidacją oddziału czekano dlatego tak długo bo chciano poznać wszystkie maliny, współpracowników, magazyny broni - bo myśmy przecież mieli mnóstwo meliniarzy. Tak mogliśmy zniknąć na pewien okres w terenie, że musieliby przekopć cały powiat sztych przy sztychu, to wtedy może by znaleźli.

Jeśli chodzi o tego sierżanta to był to Rybak. To było gdzieś tak w lipcu-sierpniu 1946 a nie tuż przed ujawnieniem. ~~Kxxxxx~~Moje sekcje i jego stały wtedy obok siebie. Rozmawialiśmy wtedy. Widziałem jak wychodził. To była sprawa raczej zbyt wygórowanych ambicji. Jego starszy brat zginął za Niemców w obozie a siostra zmarła niedawno. Nie mogła mi zapomnieć, dlaczego jak byłem w Łapach u niej, już po tym fakcie, dlaczego nie powiedziałem jej o tym. A nie powiedziałem jej o tym, bo nie wolno było. I nie mogła mi tego darować aż do śmierci. Bedyl, od Dziadka /?/, zszedł potem na złą drogę. Zaczął rabować i źle skończył. Spotkaliśmy go chyba zimą 45/46 r. Dwa lata temu w Kramiku Regionalnym ukazało się jego zdjęcie. Było w prawym dolnym rogu. Dobroński dopytywał się, czy ktoś wie o nim coś więcej.

Ujawnialiśmy się w Warszawie, dlatego, że jako funkcjonariusza milicji - dezerters - amnestia nie obejmowała mnie i gdy bym w Wysokiem Poszedł ujawnić się, gdzie mnie przecież wszyscy Ubecy znali to pewnie nie wyszedłbym już z tego ujawnienia. Ujawniłem się razem z Szarym, co to kiedyś był ranny. Już nie żyje. Nie zdaliśmy żadnej broni bo zatrzymał ją Huzar. Zostało się z nim przecież kilku chłopaków, m.in. ten Zbyszek, erkaemista z mojej sekcji, którego pod koniec roku wynosiken

rannego na plecach z obławy.

Oczywiście każdy z nas coś sobie zostawił na "pamiątkę", bo mogło się to przydać w każdej chwili. Na UB w Warszawie ujawniłem się tylko z tego, że należałem do oddziału Huzara. On na koniec powiedział nam: Wy jak chcecie, ale ja nie ujawniam się. I tego Zbyszka sądzili potem razem z Huzarem w Łapach i wyrok wykonany.

Po ujawnieniu wróciłem do Łap na krótko, ale w domu nie nocowałem. Najwyżej zachodziłem tylko w dzień i to na chwilę. Nocowałem u sąsiadów. Liczyłem się z tym, że w każdej chwili mogli przyjść po mnie. Ojciec w tym czasie był już na Śląsku i postanowiłem dołączyć do niego. Pracę podjąłem w Kłodzku. Papiery miałem prawdziwe. Na swoje nazwisko. Trochę później dołączył do nas mój brat, który też ujawnił się w Warszawie. Na święta Bożego Narodzenia ojciec pojechał do domu i zostałem się sam. Znudziliłem się tam śmiertelnie i też postanowiłem pojechać na święta do domu. Ale też zaszedłem do ~~znanym~~ <sup>znajomych mieszkających na skraju Łap</sup>, do którego jak "chodziliśmy" to czasem zechodziliśmy. Tam się zamelinowałem. Rodzice nic o mnie nie wiedzieli. Tam były przedzielone korytarzem dwa domy. Domu, w którym ja byłem, były tylko dwie kobiety: jednej mąż został w Anglii i nie wrócił a drugiej mąż zginął w obozie. W domu chciałem poszeć się dopiero na pierwszy dzień świąt. Zrobić taką niespodziankę rodzicom.

Ten dom stał od domu moich rodziców jakieś pół kilometra. I tak się złożyło, że Huzar także chciał spędzić święta u tego samego gospodarza, bo to była taka na uboczu Łap kolonia. Już spaliśmy, gdy usłyszeliśmy pukanie w okno. Kobieta wstała i otworzyła. Do środka wszedł Huzar, Zbyszek i Krakus i Ponury.



Ponury poszedł spać do gospodarza po drugiej stronie korytarza a Huzar, Zbyszek i Krakus zostali z nimi. Okazało się, że Huzar zaprosił w to miejsce również Młota. Młot zostawił swoich ludzi gdzie indziej i przyszedł tylko z Wiarusem, który znał Łapy, ponieważ stąd pochodził. To był fajny chłopaczek. Zginął bodajże w 1946 czy 49 r. Był z nimi zdeje się jeszcze jeden, którego ja nie znam. Przyszli do nas kilka godzin po Huzarze. Okazało się, że zmyli trochę miejsce. Bo Huzar dał Młotowi kontakt na tego Jana, ~~xxxxx~~ u którego właśnie byliśmy ale Młot miał mapę z podziałką 1 : 500 000 - nie była więc za dokładna i zamierz trafić do Jana trafili do Oksiutowicza, co to jego syn powiedział na przesłuchaniu w Wysokiem, że mój aresztowany z którym on siedzi to mój brat i dlatego musiałem wieść. I wtedy, gdy Młot przez pomyłkę zaszedł do Oksiutowicza spytał gdzie mieszka Jan i ten wstał i pokazał im.

No i rano te panie poszły do pracy. Jedna pracowała w Białymstoku a druga w Łepach, a mój chłopak - 12 -13 lat, który był z nimi, poszedł do szkoły, tak że od rana nikogo, poza nami nie było w domu.

Dom ten miał jeszcze dobudowaną jakby sien, też przedzieloną na połowę. Miała dwa wejścia oddzielne do każdego mieszkania. I w tej sieni mył się Szwed - wstaliśmy o jakiejś 9-tej rano, a to była może 10-ta. Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich oficer, chyba dowódca całej grupy, która nas tam otoczyła. Szwed stał schylony nad miednicą, a z tyłu, za paskiem na plecach miał wetknięty pistolet. Jak zobaczył, że to wojskowy to już nie pytał się kto ty jesteś tylko od razu wygarnął do niego z tego pistoletu i wojskowy przewrócił się. Szwed nocował też u tego gospodarza Jana, tak że nie wiedzieli

co się dzieje tylko usłyszeliśmy strzał. Nie wiedzieliśmy o co chodzi. Zaraz po tym strzale zerwała się strzelanina. Skoczyliśmy do okien a tu ogień idzie taki, że nosa nie można pokazać. Szyby poszły natychmiast. Pocisk trafił w szklaną nóżkę podstawki do tortów, która stała na staroswieckiej komodzie. Brząk był niesemowity. Papierosy, które leżały na niej - Ten mały chłopak Czarek kupił 8 paczek poprzedniego wieczora na moją prośbę - rozsypały się po podłodze. Rzuciłem się nakołana i zacząłem je zbierać, bo palić trzeba będzie przecież. <sup>doostałem.</sup> ~~Res-~~tem usłyszałem zduszony okrzyk: O Jezu!. Zbyszek stał przy oknie i trzymał się za brzuch. Wziąłem od niego erksem, lufą wymiotłem z ramy resztki szkła i zacząłem strzelać. Jakies 20 metrów ode mnie leżał w śniegu żołnierz. Ja, Huzar i Krakus strzelaliśmy do niego przez dłuższą chwilę i żaden z nas nie trafił go. Miał szczęście. Widziałem jak koło tego żołnierza ziemia tylko kotłowała się od naszych serii. Ale ogień ich nasilał się. Huzar powiedział: Wycofujemy się chłopaki bo wytłuką tu nas. Pobiegnę do drugiego pokoju, którego okno wychodziło na tyły domu, wyjąłem podwójne okno z ram, to jeszcze Zbyszek trochę mi pomógł, i wypchnąłem Zbyszka za okno. W tym czasie Huzar i Krakus strzelali z drugiego pokoju osłaniając nas. Po Zbyszku ja wyskoczyłem na dwór, potem Huzar i Krakus. Dokładnie w tym czasie zerwała się taka śnieżycą, że na wyciągnięcie ręki nie było nic widać. Zbyszka wzięłem pod rękę a jego erksem zarzuciłem na ramię. Przed nami majaczyły już tylko sylwetki Młota, Ponurego, Wiarusa, Szweda. Wycofaliśmy się wcześniej od nas i nie dali nam znać o tym. Dookoła trwała potężna strzelanina. Łomot jak cholera.

Był z nami jeszcze jeden chłopak, którego nie znałem, gdyż

dołączył do oddziału już po naszym ujawnieniu. Gdy tylko padł pierwszy strzał zerwał się i wyskoczył przed drzwi a tam oczywiście już leżeli żołnierze i dostał serię. Padł martwy pod drzwiami. Pochodził z ~~z Kłunki~~ Lupianki

Podszedłem ze Zbyszkiem może z 10 kroków, szedł kulejąc i trzymał się za brzuch, gdy odezwał się Huzar: Czerny poczekaj. Podeszedł do mnie. Odwróciłem się do niego plecami a Huzar położył mi na ramieniu erkaem i pociągnął jeszcze po obławie ~~par~~ kilka serii. W tym momencie nogi pod Zbyszkiem ugięły się i usiadł na śniegu: Nie pójdę dalej - wystękał. Dławaj ten erkaem - powiedział Huzar do mnie. Wziął go i mówi: Bierz go na plecy. Zrzuciłem go na <sup>ramię</sup> ~~plecy~~ i ruszyliśmy przed siebie. Śnieżyca była tak potworna, że przeszliśmy tuż obok leżących w śniegu żołnierzy a oni nas nie zauważyli. Przeszliśmy linię obławy szczęśliwie. Do Dębownicy mieliśmy z 1,5 kilometra. Cały czas niosłem Zbyszka. Pod koniec to już myślałem, że serce mi wyskoczy z wysiłku. Przed nami, w odległości jakichś 50 metrów majaczyły sylwetki grupy Młota. Doszliśmy do szosy Łapy - Piaskowo, Daniłowo. Tuż przy samej szosie zaczynały się zabudowania wsi Dębowna. Jakiś gospodarz wynosił z domu worki i ładował je na furę. To były worki ze zbożem. Zwalaj pan to - powiedziałem do niego. Ale panie, ja na młyn jadę. - Dobrze jest, potem pojedziesz. Zwalikłem Zbyszka na te sanie i mówię: Duj pan na Suraż, on powie panu resztę dokąd jechać. Zawróciłem i przez Dębownę, Szkołajdy poszedłem do domu. W Szkołajdach ludzie już byli podekscytowani, bo wszędzie słychać było strzelaninę. Tam przy bramce ogrodzenia swego domu stał mój znajomy Dworakowski Stasiek - już nie żyje. Edek jak ty wy-



glądasz? - ~~krrykrny~~ zdziwił się głośno. Spojrzałem na siebie - wojskowe, buty kawaleryjskie i kurtka spodnie miałem całe we krwi, która uchodziła ze Zbyszka. Chodź tutaj - powiedział Stasiak i zaprowadził mnie za dom. Tam zacząłem czyścić ubranie śniegiem i trochę wyczyściłem. On też mi pomagał, to jeszcze w kurtce zauważyłem z jednej strony ramienia dziurę i taką samą z drugiej strony drugiego ramienia. Kula weszła i wyszła. Wepchnąłem do środka wystającą wstę i doprowadziłem kurtkę do jakiegoś takiego wyglądu. O godzinie 1-iej byłem w domu. Mama jak mnie zobaczyła zemdleła. Toż ty miałeś być w Kłodzku - powiedziała gdy ocknęła się. Ojciec był wtedy u siostry - ubrała się więc czym prędzej i poleciała po niego. Ojciec przychodzi i mówi: A po cholere tyś tu przyjeżdżasz, nie widzisz co się tu dzieje? - I jeszcze tej samej nocy poszliśmy na stację, tylko nie wiedziałem w Łepach a poszliśmy na Osse. Tam wsiadłem do pociągu a ojciec wrócił do domu.

Wróciłem do Kłodzka. Znowu poszedłem do pracy. Wiedziałem, że prędzej czy później dobią się do mnie, nie mogą tego na ryzyko zrobić bo takich jak ja są skutki. Zebrało się nas tam kilku kolegów z oddziału i postanowiliśmy uciekać przez Czechosłowację do Austrii. Jeden z nich Mietek, miał kolegę w Legnicy, który prowadził sklep z częściami żelaznymi. Pojechaliśmy tam i umówiliśmy się na konkretny termin, na rano. Przewodnik był już wynajęty. No i ja z bratem spóźniliśmy się. Pociąg spóźnił się. Na miejsce dotarliśmy dopiero o 11-tej. Czy jest Mietek - spytałem się. Ja wiem, kto wy panowie jesteście. Mietek mi mówił. Nie mogli na was czekać. - I tak skończyła się ta historia. Mietkowi udało się. Do dzisiaj siedzi w Australii. Kolega, z którym wtedy spóźniliśmy się na ten punkt w Legnicy nazywał się Zygmunt Łepiński Boruta. Zmarł przed ~~kim~~

kilku laty.

W Kłodzku pracowałem na kolei. Najpierw na parowozie jeździłem potem pracowałem na biurze aż do aresztowania w lipcu 1949. Przyszli wieczorem To była bezpieka z Wrocławia. Pan Dziemianowicz? - Tak. - Pan pójdzie z nami. Wyszedłem tylko w krótkich spodniach bo to było przecież lato. Ja wtedy nie dałbym się im wziąć, bo w otworze wentylacyjnym, do którego zimą wkładano rurę od takiego fajnego piecyka, który latem wystawiano na balkon, miałem schowany pistolet. Ten otwór wentylacyjny był zamknięty taką pokrywką, odciągana za pomocą drutu. Gdy ubecy kazali mi się ubierać wszedłem do drugiego pokoju i ubek stanął jakieś dwa metry od progu drzwi. Nie wszedłem do Brodka bo i tak wiedział, że z tego mieszkania nie ma ucieczki, bo to było na piętrze. Stałem wtedy na krześle tak, żeby on mnie nie widział i sięgnąłem ręką po ten pistolet. Ale uczyniłem to tak nieostrożnie, bo byłem zdenerwowany, że tylko trąciłem ten pistolet i poleciał w głąb tego otworu. I po robocie. Już wtedy trzeba było się poddać.

Rodzice oczywiście nie wiedzieli o tym pistolecie. Jak już wyszedłem na wolność to powiedziałem o tym ojcu. No to byś nam wtedy narobił. Ty może i byś nie poszedł siedzieć ale ja to bym poszedł - powiedział. Tak, że może i dobrze że tak się stało. Przewieźli mnie najpierw na UB we Wrocławiu, a potem do więzienia. To było więzienie poniemieckie. Wszędzie czyściutko. W każdej celi kibel i woda. Po trzech czy czterech dniach zaprowadzili mnie na dworzec i przyjechałem do Bisłogostoku.

Spisał Jerzy Kubiak

Pod Monte Cassiano zginął mój kolega Wacław Kazuro. Jak i ja mieszkał w łapach. Uczył się w gimnazjum im. Zygmunta Augusta w Białymstoku (w tym samym budynku mieści się dziś liceum) a ja uczyłem się w gimnazjum im. Piłsudskiego. Trochę dalej.

No i gdy w 1939 r., gdy przyszli kacapi to mój ojciec musiał uciekać do GG no i ja zostałem tak~~o~~ jak jakby głową rodziny. Musiałem iść do pracy. Na stacji kolejowej kacapy wybudowali magazyny zbożowe. Najpierw to pracowałem w takim urzędzie, który ustalał wysokość podatków w naturze i oni te podatki ściągali. Wysyłało się nakazy do gospodarzy i oni przywozili zboże do tych magazynów. No i właśnie któregoś razu Kazuro mówi do mnie: Chodź pracować do magazynów zbożowych. Będzie lepszy zarobek. - I w taki sposób poszedłem pracować do tych magazynów. Oprócz nas dwóch pracował tam jeszcze taki pijaniuszka Roszkowski. Całym kierownikiem był kacap Zabłotny. W magazynach tych było też laboratorium, które badało wilgotność zboża, która nie mogła przekraczać 16%, gdyż powyżej tej granicy zboże pleśniełoby. Kierownikiem tego laboratorium był kacap Bogrow.

Kazuro to jeszcze sprzed wojny kanarki chował. Miał dwa. Jak odwiedzałem go w domu, to śpiewały zawsze. No i później już trudno było tej karzy dla kanarków dostać.

Ten magazyn miał ze 100 m długości. Był otoczony zasiekami z drutu kolczastego. W poszczególnych przegrodach leżały owies, jęczmień, pszenica, żyto. I kiedyś gospodarze przywieźli kilkanaście ton pszenicy. Przyjeliśmy ją a ja miałem klucze od tych "zasieków" i któregoś razu Kazuro mówi: Daj mi klucze, bo nie mam cholera czy kanarków karmić. - Gniotł to zboże, bo oczywiście kanarki nie mogły by jeść tych grubych ziaren. Któregoś dnia wydarzyło się nieszczęście. Zwykle o godzinie 11-tej chodziliśmy na obiad Kazuro miał już przygotowaną teczkę. Dałem mu klucze a on poszedł



otworzył sobie i w tę teczkę nasypał sobie. Miał ze 3 czy 4 kg tej pszenicy. Zamknął drzwi. Przyszedł do mnie i oddał mi te klucze, a teczkę oparł o drzwi magazynu. To była gdzieś ze 15 minut 11-ta i czekał już, że jak zadzwoni to pójdzie i zanieśli tę teczkę do domu.

Okazało się jednak, że Bogrow, kierownik laboratorium, widział jak Kazuro wchodził z pustą teczką, a teraz ona jakby już przybrała na objętości. I chyba powziął podejrzenie, bo na kilka minut przyszedł do nas, oparł się o ścianę i widzę, że jego wzrok skierowany jest na teczkę. Też spojrzałem na nią a w niej była w samym rogu mała dziurka, z której co chwile spadało na ziemię tworząc małą kulkę, ziarenka pszenicy. O Jezu kochany, już coś tutaj będzie - pomyślałem sobie. No i już 11-ta. Żyd Żobkowaki, który był tu stróżem, zadzwonił kawałek zelaza w szynę no i na obiad trzeba wychodzić. Kazuro podchodzi i bierze za tę teczkę a Bogrow do niego: A nu, nastójcie Kazuro, szto u was tam w partfiele. - I zaraz milicja. Dochodzenie. Prokurator Keniejskaja to chyba ze 12 razy wzywała mnie na przesłuchanie. Tyle razy mnie maglowali. Dom, w którym odbył się sąd nad Kazuro to jeszcze stoi. Jak z ulicy Głównej skręcać w Białynian, to na przeciw stoi.

Na rozprawę Kazuro przywieźli z więzienia w Białymstoku na i mnie na świadka. Ja byłem na wolności. Na rozprawie nie zeznałem bo Kazuro przyznał się do wszystkiego, bo to przecież świadectwa było. Za rękę go złapali. No i za te parę kilo pszenicy dostał 6 lat więzienia. To było straszne. Matka jego i siostra były na rozprawie. Od rozumu odchodziła szczególnie matka.

Powieźli go do Białegostoku a stamtąd badając do Mińskax i dalej. Potem matka jego i siostra starały się coś tam załatwić, ale guzik z tego. Rozmawiałem z jego siostrą.

No i ja jeszcze przez kilka dni chodziłem do pracy ale któregoś

dnia przyszedł do mnie ten Żyd Żróbkowski i mówi: Edek ty usie-  
każ, bo milicja przyszła po ciabie. - Czyli że był to porządny  
chłop chociaż Żyd. Więc ja nie czekając skoczyłem za magazyn  
i między domami na wygwizdanie poleciałem. Pojechałem do Ciechan-  
owca. Tam była rodzina mojej mamy. Tam już byłem do czasu  
przyjścia Niemców.

---

Płoński, ps. "Dąbek" był na siostrze. Zajmował się sprawami wy-  
wiadu. Jak było trzeba to kontaktowaliśmy się z nim w Rkwwkxxxx  
w Pionce-Strumiance. Nie wiem czy on tam mieszkał czy rodzinę  
miał. I spotkałem się z nim chyba już po ujawnieniu w Warszawie  
na ul. Wiatracznej.

Kilka dni po świątach Bożego Narodzenia, kiedy to w Łapach  
była ta walka w której wziął udział to drugi oddziałek, ten  
co to w Łapach był w drugim mieszkaniu, zszedł na malinę do  
wsi Jabłoń-Dąbrowa. Siedzieli w stodole. No i wpadł gospodarz  
i mówi: Siedzicie cicho bo wojsko jest we wsi - a oni tu jak sza-  
leni jeździli po całym terenie i szukali wszędzie. I jeden jed-  
nak zdenerwował się i wyszedł x a jego kolega został w stodole  
i przeżył, a tego pierwszego tak zszatkowali, że miazga była.  
To był "Szwed" Łapiński Franciszek z Łap.

Edward Sztajnert to działał w AK w okresie okupacji. Był or-  
ganistą w młw kościele w Łapach. W Kościele za ołtarzem radio  
mieli i od czasu do czasu słuchali sobie. Potem z tego różne ko-  
munikaty z tego ukazywały się w piśmie podziemnym. Był szefem  
wywiadu na Łapy. Kierownik Zygmunt też coś miał wspólnego z wy-  
wiadem i za Niemców i później. Ostatni raz widziałem go zimą 46  
roku. Wtedy jeszcze trochę czasu mieliśmy, jak siedzieliśmy u nie-  
go to w karty pograliśmy. Za Niemców to pracował w zakładach a  
mieszkał na Osseni w tych kolejowych domach. Bańkowska też była  
z Łap. To była ładna dziewczyna. Za Niemców to jej mąż był tłu-

maczem u Niemca, kierownika wydziału w Zakładach Naprawczych w Łapach, na którym to wydziale ja pracowałam. Pracowaliśmy razem na kotłarni. Niemcy aresztowali go ~~już~~ jednego z pierwszych w Łapach. Po nim wzięli Staśka Roszkowskiego. Jego brat może dużo o nim powiedzieć. Stanisław Roszkowski był dyżurnym ruchu gdzieś za Białymstokiem. Może w Czarnym Bloku. U niego był punkt przerzutowy ludzi, którzy uciekali spod sowieckiej okupacji do GG. Stamtąd przychodzili do Leśnik, gdzie mieszkali Roszkowscy i potem już dalej. Jego brat nazywał się Władysław i mieszka w Łapach na Leśnikach.

Jeśli chodzi o to co mówił Płoński na śledztwie o jakimś "Czarnym" to na pewno nie chodziło o mnie. Może był jakiś drugi "Czarny", o którym nic nie wiedziałam. W każdym bądź razie nigdy nie byłam w Jeleniej górze, nie załatwiałam Płońskiemu pracy. Po ujawnieniu widziałam się z nim tylko raz w lipcu albo sierpniu w Warszawie. W śledztwie mnie o niego, w ogóle nie pytali.

Tadek Wojno "Raszyn" to siedziałby zaraz po ujawnieniu. "Muzar" po prostu starał się utrzymywać z nami - ujawnionymi - kontakt. Mierzał, gdy pojawiał się w Łapach, to przez łącznika powiadał nam o tym. I tak było jednego razu przyszedł do Łap i Lutka Janiškowska zaniosiła do Tadeka kartkę - matka Tadeka mieszkała wtedy jeszcze na cmentarnej. No i po całej tej dracie 23 grudnia 1947 r, gdy Lutkę aresztowali - nie wiem czy ją tam bili, dość, że powiedziała, że nosiła kartkę od "Muzara" do Wojny. No i od razu za tyłek go wzięli i do Wysoko Mazowiecka zawieźli. To była zima. W celach zimno. Na korytarzu był tylko piec, w którym wartownik palił drewno, ale do celi to ciepło nie dochodziło. Gdy wartownik ~~był~~ był jakiś ludzki chłopak to więźniowie prosili go, żeby puścił ich ~~na~~ na trochę do tego pieca i on puszczał. Wojno siedział wtedy w celi ze starszym człowiekiem. Nawet mó-



wił mi jego nazwisko ale nie pamiętam. Tadek kombinował jak by tu trochę się pogrześć koło tego pieca. Jak ja poproszę strażnika - - myślał - to może mnie nie wypuścić ale jak poprosi ten stary to może i się uda. I tak było. Wartownik otworzył celę. Pokucali przy tym piecu, zapalili papierosy: i nagle telefon dzwoni w pomieszczeniu wartownika. Chyba dostał polecenie przyprowadzenia na górę któregoś z aresztowanych, bo powiedział do nich: Idźcie do celi. - Wojno z Dziadkiewiczem weszli do celi a strażnik zamknął za nimi drzwi. Tadek patrzy się na nie i: cholera - opowiadał - nigdy nie było widać przez drzwi łuny z pieca a tu tym razem przez szparę w drzwiach prześwieca się czerwona poświata. Podszedł do drzwi i pchnął je. Otworzyły się. Tadek wysunął się na korytarz i szybko skoczył do drzwi celi po drugiej stronie korytarza, gdzie siedziała Jamikowska: Lutka - krzyknął do niej - zastanów się co ty robisz. Zgubisz i mnie i siebie. Odwołaj to wszystko. No i potem - jak ona opowiadała Tadekowi - dostała jeszcze parę razy po głowie ale odwołała to wszystko i jego zaraz wypuścili. Później to już brali wszystkich a że on był dezertorem z milicji to i jego wzięli.

Tadek miał chyba 12 lat gdy zmarł jego brat. Zabrali go do szpitala i zmarł chyba na jakąś zakaźną chorobę. A w takim wypadku nie wydawano zwłok rodzinie, więc jego matka wpadła na taki pomysł, że wynajęła Żyda z dorózką. <sup>Zwłoki</sup> ~~Ważna~~ syna wyszli z szpitala, posadzili go w dorózkę jak żywego i w ten sposób dostarli do domu, gdzie mogli go przetrzymać i pochować. To było jeszcze przed wojną. Tadek jako jedyny z kuzynów rodziny chodził do szkoły. Jego młodszy w (drugi) brat był niezbyt ciekawy.

Jak jeszcze mieszkaliśmy po drugiej stronie torów to koło nas mieszkał taki Żydok, to był okropnie, ale za względu na to, że ja jego ojca bardzo dobrze znałam - ojciec to był taki porządny

chłop - a to młody chłopak, poszedł do DRMO i był tym psem. I oczywiście zawsze klaniał się, gdy mnie widział. W okresie stanu wojennego ponakładali już mundury. Któregoś razu idę do miasta koło ośrodka zdrowia patrząc: idzie cała banda, chyba z 5-ciu. On był z nimi. Przeszedł obok mnie i nawet na mnie nie spojrział. Następnym razem spotkaliśmy się już gdy zniesiono stan wojenny. Wracalem właśnie ze starego kościoła, bo nowego jeszcze nie było. Schodziłem właśnie ze schodów a on wchodził na most. Dzień dobry panie Dziemianowicz - odezwał się. - To teraz już mnie znasz - odrzekłem. - Panie Dziemianowicz, niech pan się nie gniewa, ale mógłbym mieć nieprzyjemności, gdybyś wtedy do tej znajomości z panem się przyznał. - Takie to były czasy piekiselne..

Myśmy mieli wtyczki nawet w szkole ubeckiej w Lublinie. Tam byli Ignacy i Edmund Dłoczykowie. Nasi ludzie. Potem siedzieli za te sprawy. Mieszkają koło Wrocławia. U nich to możnaby się dużo rzeczy dowiedzieć. Oni brali udział w wielu sprawach. To byli chłopcy z ikrą. Często spotykali się z "Karasiem"\*, "Huzarem". Wtedy "Huzar" miał pseudonim "Gryf". To jego piecwozy pseudonim. Dłoczykowie uciekli z milicji albo tuż przede mną albo tuż po mnie. Później poszli do "Huzara". Jeden z nich był "Zawisza". Jeszcze w 1941 r. wstąpił do organizacji. W 51 r. spotkałem go w więzieniu w Białymstoku na spacerze, gdy wygnanieli po kilka cel razem.

Jak pracowałem w narzędziowni we Wronkach - to był już czerwiec 56 r. - wypadki poznańskie - to razem ze mną pracował Tadek Wojno. Pracował tam też taki Granel, Czech z pochodzenia. To był drań kuty na cztery nogi. Udawał głuchoniemego, to usprawiedliwiało fakt, że zawsze trzymał w ręku zeszyt i pisał. W sąsiednich celach siedzieli moi koledzy: Puławski, Stasio Gzostak (mieszka w Warszawie) Rdzawski to oczywiście "Gołąb" od "Burend", Minc -

taki chłobak z Krakowa. Innych już nie pamiętam, choć, że było nas  
8-ciu w jednej celi. To była duża cęła. Ten Granel to z nami w  
celi rozmawiał, ale już na zewnątrz to udawał głuchonięganę. O-  
czywiście robił to w porozumieniu ze "sosem". Stasio Szostak -  
to był naprawdę kryształowy chłobak - to nawet z tym Granalem nie o-  
chciał rozmawiać w celi. Na a ten Granel jakoś tak właśnie sobie  
sobie upodobał do różnów. Początkowo chłobaki przyglądali się  
na to dosyć spokojnie, ale po pewnym czasie zauważyłem, że jakoś  
odsuwają się powoli ode mnie. Dosyć długo trwało, aż w końcu  
Stasio Szostak powiedział mi: Muszę ci powiedzieć, że uważałem,  
że Ciebie Granel przeraził i chce cię do siebie przeprosić, że  
to, że podejrzewałem Ciebie o to. - Myśla, że to co go przekonał  
o mojej niewinności, to był fakt, że ja przecież nigdy nie cho-  
dziłem na rozmowy do kierownika Wydziału, czy wychowawcy w więzieniu.  
Pisanie meldunków w celi to niemożliwe było, bo każdy by  
widział.

Ja z Tadekiem Wojno chodziłem razem w oddziale. Razem nas po-  
wieźli do Wronek. Tu siedzieliśmy w jednej celi na I oddziale, na  
skrzydle B. Potem razem nas przenieśli na skrzydło C, cęła do-  
dajże 459. Do roboty też poszliśmy razem. Ci co pracują to siedzą  
w innym pawilonie. Tam też siedzieliśmy razem w jednej celi. A  
przecież to było nie do pomyslenia, by ludzie z jednej sprawy ra-  
zem siedzieli. Tak, że razem to chyba ze 4 lata spędziliśmy.

Pamiętam, że zdarzali się tacy, co siedzieli z nami dwa czy  
trzy miesiące i przez ten czas nie odezwał się do nas słowem,  
tak był przestraszony, żeby broń Boże w trakcie rozmowy jakieś  
słowo nie padło, że które potem można jakieś konsekwencje ponieść.  
Bali się ludzie jak choroba.

Spisał z taśny w styczniu 1992 r. Janusz Kuźak.



Urodziłem się drugiego listopada 1924 roku w rodzinie chłopskiej rolniczej. Od tego zydziestego dziewiątego roku ojciec pracował na kolei myśmy mieli gospodarkę. W czterdziestym pierwszym roku przyszli Niemcy. Ojciec umiera, zostajemy we dwójkę z bratem. Brat starszy, dwadzieścia rocznik - i tak prowadziliśmy gospodarkę aż do czterdziestego czwartego roku.

Myśmy byli pod Sowiecami. Pierwsza wywózka, i największą była u nas w czterdziestym roku, dziesiątego lutego. Wtedy wywieźli do Archangielska ojca mojego brata. On tam umarł, została tam rodzina jego, żona i dwoje dzieci - nie wiem, gdzie oni są teraz.

W czterdziestym pierwszym roku przyszli Niemcy, Sowiety uciekły. Oni uciekali bez paniki. A myśmy wszyscy się cieszyli, bo w Mścibowie, to było takie miasteczko, pod koniec ich panowania oni nakładali co miesiąc takie podatki na kościół, że ksiądz już się nie mógł wyprzeć - i chcieli zamknąć kościół. Więc jak Niemcy przyszli to ludzie się cieszyli. Nawet dawony dzwoniły. Ludzie nie myśleli, że Niemiec potem tak będzie postępować i u nas.

Myż zbieraliśmy broń po nich. Jak oni uciekali to u nas, w Mścibowie i w Wołkowysku, w Ogródnikach i w Białymstoku. Był front. W Ogródnikach i w Mścibowie całe trzy dni był front, oni stali, Rosjanie następowali dzień i noc. U nas byli Niemcy i oni byli w panice, chcieli uciekać, a Rosjanie szli z całą siłą. Nawet kawaleria przez pierwsze linie przeskakiwała na koniach. Potem rzucali konie, tam była taka cegielnia, potem w ogóle szli a w nocy to tylko były jakieś rannych Sowieców. U nas dwadzieścia czterech Niemców zbili, a Rosjan - jak to nawet w tej piosence: "Po czterdziestu dziewięciu nie odojamu zawałali". To straszne. Tam jak wyszło siedem rosyjskich czołgów to Niemcy w ogóle byli w panice, nie wiedzieli, co robić. Jeden czołg zatrzymali. Mówili, że pięćdziesiąt tonowy, taki już, lufa taka, że ludzka głowa w ogóle wleziła. A jak oni w ogóle uciekli, to szosa Białystok-Wołkowysk cała zawałona była po obu stronach powalonymi samochodami, koło nas były dwie ruskie tankietki czy czołgi.

Ja Jak to ludzie potem stworzyli to tam były na wet ~~ruskie~~ ruble. Potem z tych czołgów ludzie robili pługi i to wsz stko różni, półki Niemcy... A z gąsienic robili wielozębne koła, na pół przecinali i obręcze robili. Lemieszki robili. Z tych czołgów w czasie okupacji wszystko robili- jak już Niemcy byli. Bo nie było żelaza, a ludzie na gospodarce musieli orać, siew i wszystko.

Jak jeszcze Rosjanie byli, to ludzie od nas chodzili do Warszawy, mieli polskie pieniądze, srebrne. dziesięciozłotowe, pięcizłotowe i kupowali i z powrotem przychodzili. Trzech ludzi od nas Rosjanie złapali, dali po trzy lata, wywieźli. Po wojnie jeden z tych trzech był w Anglii, jeden został w Rosji a jeden zabity.

Jak Niemcy przyszli pociągi jeżdżyły: i z Warszawy i z Prus. My my po prostu handlowali. Oni przywozili nam drżdzy, my im jajki dawaliśmy. Bo myśmy mieszkali w kuracie koło samej kolei. Węgiel i węgiel nam wrzucali. czasem.

Brodź pozostawioną po Rosjanach ludzie chowali gazie mogli, ale Rosjanie przeważnie tę broń niszczyli, odbijali kolby.

Jak Rosjanie uciekali to było pełno cukru. I tych szyneli od czołgistów - to było bardzo dobre, kombinaczony przerabiali potem na spodnie, z ich płaszczy robili kurtki. Butów była masa <sup>poł</sup> między Wisłoczą a Wołkowyskiem naz szedł cały samochód ruskich ubrań. Samochód zepsuł się, oni wyszli, podłali benzynę i podpálili, ale ludzie zaczęli i tak rozdrapywać: przypalone, nie przypalone. Z opon ludzie robili zelówki. Bo za Niemca nic nie było, a na wioskach trzeba się było w coś ubierać, obuć się. Taka była prawda.

Z Warszawy do nas przywozili jakieś broszury czy ulotki, ale to było strasznie tajne. Żeby nikt nic nie wiedział. Do całą inteligencję przeważnie brali, rozstrzeliwali. Na. et. u nas książkę Burak był, patriota straszny. Bo jak Rosjanie w trzycim dziestym dziewiatym roku szli i Polacy odstępowali to on potrafił wyjść na szosę i zatrzymywał żołnierzy, żeby nie rzucali broń a trzymali się, bo tam Anglia i Francja ustąpili...



A żołnierze jak wracali to opowiadali, że w Grodnie przepuszczali jakiegoś generała na Litwę, tam bili się w Grodnie z Rosjanami i z domów rzucali butelkami z benzyną na ich czołgi.

Niemcy przyszli w czterdziestym pierwszym roku. Po dwóch czy trzech miesiącach zaczęli brać do Niemiec na roboty. Na początku brali od tych u których było więcej synów czy córek i od tych, co mieli małe gospodarstwa. Na wiosnę czterdziestego drugiego zaczęli brać dwa roczniki: dwudziesty czwarty i piąty chłeba. Ja sam nie miałem być wywieziony do Prus. Ale załatwiło się z komisarzem, <sup>z sortysem</sup> dało mi się wódki i pół wieprza. U nich w Niemczech sortys to był tak jak Bóg. To on mnie przydzielił do takiego majątku Szusciki, tam mogłem chodzić. Pochodziłem do tego majątku tak ze trzy miesiące, a potem rzuciłem to. Żandarmerią przyjeżdżała po mnie, szukała mnie, ale powiedzieli że nie ma nikogo no i dali spokój.

Wtedy tu się już zamieszali z tą konspiracją. W czterdziestym drugim roku była taka przysięga do AK. Był taki kapral, przed wojną służył w lidzie, był mechanikiem przy samolotach. On wrócił do domu i tam po znału zawiązywaliśmy się. Ulotki nam przywozili zaufani zwiadowcy z Warszawy. Myśmy czytali od czasu do czasu, zbieraliśmy się, czasem u nas, za jak ojciec umarł i zostałem ze starszym bratem. Czytaliśmy po cichu, tak żeby nikt o niczym nie wiedział.

W czterdziestym drugim roku wysadzono dwa pociągi niemieckie. Olgierd był dowódcą, <sup>Orkan</sup> Tam wtedy byłem ranny w policzek, w Szuscikach, w Malinie skryli nas i felczer nas leczył.

Przez cały ten czas byłem związany z tą organizacją i brałem tam udział. I w Rosi/??/.

Szpicełów likwidowaliśmy, ale to nie było takie proste. Ile było zasadzek, oni uciekali, trudno było ich złapać.



I tak było do czterdziestego czwartego roku. Już na końcu było strasznie. Niemcy nasilali presję, potem na okopy brali. Jak Niemcy uciekali to pozabierali krowy, świnie, ~~my~~ konie. Już rpsyjskie samoloty leciały a oni u anas z trzech wiosek za bierali całe bydło. Prawdopodobnie <sup>/?</sup>gdzies tutaj na Jakówku oni popalili to nawet, nie zdążyli uciec z tym ~~kar~~ krowami, z tym całym dobytkiem. Oni po mału odstępowali, zrywali wszystkie keleje, słupy, mosty, jak szedł ostatni pociąg to wszystko zrywali, nic nie zostawiali jak Rosjanie nadchodzili.

Rosjanie przyszli do nas w lipcu. Jeszcze my nawet jeszcze zboża nie kosili. Rosjanie jak do nas przyszli, to po dziewięciu dniach zro bili taką mobilizację żeby iść do ich armii. Oni już aż do Białegostoku podeszli. I tu poszły słuchy, że Wołkowysk ma być po stronie rosyjskiej. Wtedy naród się zjednoczył. Bo u nas wtedy byli Polacy i Białorusy. Mało ich było, w gmienie prze ważnie tylko kilka wiosek białoruskich. I ~~Rusasy~~ myśmy nie zdali borni i nie wydaliśmy się im /~~świszk~~ dwóch tylko poszko, jedno bez ręki a drugi ślepy - i zabrano ich do ~~świszy~~ wojska, jednego z nich do Orszy wywieźli, kartofle tam obierał czy coś/ A my zaczęliśmy kopać wszędzie jamy, takie bunkry robić, i w stośle, i w chlewach, takie jamy, żeby się chować. A oni po tych dziewięciu dniach zaczęli po prostu prześladować: gdzie kogo złapią to albo zabijają albo przywożą do Białegostoku. A jak ktoś przyjechał do Białegostoku, to patrzy- a tu nic polskiego tylko wszystko rosyjskie. To z powrotem uciekali. To oni potem do polskiego wojska brali,. Ale ludzie widzieli, że nasze ziemie przyłączają do Rásji i nie chcieli. służyć. Do nie chcieli oddać ziemi.

Myśmy na nich nie ~~napadali~~ napadali ani nic, ale oni nas i żywcem palili. Koło Swisłoczy w jednym miejscu było siedmiu lu-

dzi, bunkier mieli w mieszkaniu, ale coś głupio go zrobili, bo tam nie było wyjścia, tę chatę spalili i oni się tam żywcem wszyscy popalili. Tego nikt nie wie i nikt nie udowodni, z tym jest trudna sprawa.

Długo oni wojnę prowadzili to wy'azy się tak chowali. Kto miał czterdzieści lat, spuszczał broń i mówił, że ma sześćdziesiąt lat, sześćdziesiąt pięć - aby nie iść do tej armii. I nikt nie szedł. Ale jak wojna się skończyła - to było w czterdziestym piątym roku, -~~xxxxxxxxxxxx~~ Rosjanie wycofywali się na front japoński, to rosyjscy żołnierze szli u nas frontem. Snopy stały a oni szli, gdzie kogo wypędzą. Bo dżiekali, taka panika.

Oni: "Dokumenty"! Zepędzili nas na te dokumenty, tam stał jakiś pułkownik czy major i mówi: "wam teraz to daruję, wszystko wolno, wojna się skończyła, ale wszystko jedno, wezmę was za miękkie miejsce" - i pokazuje na dupę.

Jak Rosjanie przyzali to ci co byli cwani lub nie bali się - to wyjeżdżali. Na samym początku można było wyjechać tutaj na Zachód, tam gospodarkę dostać czy coś - ale jak wojna się skończyła, to było trudniej, już legalnie nie można było wyjechać. Musieli się ludzie kryć, żeby nie iść do ich armii czy do wojska polskiego. A ile tam zabitych, żywcem popalonych, to nikt nie wie! A na tej granicy, k na linii Kiersona, ile tantrupów! Tam nie można było przejść pojedynczo. A ludzie i ze wschodu przechodzili i od Niemców uciekali.

W czterdziestym piątym roku, jak już Rząd Londyński się rozwiązał było wycofywanie z tamtych wschodnich terenów akowców na polskie tereny. Pierwsza grupa od nas poszła we wrześniu czy w październiku~~apra~~, ten dowódca też poszedł. Potem już było gorzej, zaczęły się wsypy, ludzie zaczęli wydawać, bali się strasznie tej Syberii, człowiek coś nie tak powie i oni zaraz wywozają.



W tej pierwszej grupie która przeszła był mój kolega, on potem pod zmienionym nazwiskiem pisał do mnie z Pomorza, mówił, żebyśmy przychodzili. Potem przyszło do nas z Polski pięciu, dowódca, z dokumentami, to aż było spod tej Zelby. To już był czterdziesty szósty rok.

Tam wtedy było głosowanie. Oni zaczęli domy rozbierać, żeby do głosowania nie dopuścić. Chcieli, żeby te tereny zostały pod Rosją .

Potem już było tylko jedno wyjście: przechodzić do Polski. Nas było trzydziestu pięciu. Przechodziliśmy pod dowództwem Pabisa, to pseudonim. Myśmy <sup>(jedną noc)</sup> byli koło Jarłówki w Biełowcach, tam na kolonii, potem <sup>koło</sup> w Swisłoczy jeden dzień, w Haławie <sup>stycznia</sup> i dwudziestego dziewiątego wyruszyliśmy przez granicę. Koło Swisłoczy przechodziło dwóch Rosjan, pograniczników. Zabraliśmy ich ze sobą. Oni nas strasznie prosili, żeby ich nie bić. Daliśmy im bandaż. Oni całą noc szli. W Jarłówce świtem przeszliśmy przez jakąś polanę <sup>na odpoczynek</sup> do szkoły, tam nam dali na dwóch, na trzech po pół litra samogonu, trochę polskich pieniędzy. A pod wieczór przykatują i mówią: trzeba stąd uciekać, bo Rosjanie na nam tu deptają po piętach.

Myśmy więc poszli przez kolej na Waliły i naskoczyliśmy na czujki rosyjskie: dwóch Rosjan. Oni szli z jakiejś wioski. To była ósma czy dziewiąta wieczorem. I jak myśmy się położyli, to oni krzyczeli: "Do my swoje, swojej ziarno i idiomy". Kiedy myśmy się poderwali ~~oni~~ i zaczęli uciekać, to oni otworzyli ogień. z karabinów. Myśmy nie odwracali się do nich i nie strzelali, tylko lecieliśmy ileśmy mogli, aż do samych Walił. Dwóch tam zostało w krzakach- czy ich postrzelili, tego nie wiem. A oni tam już całe szosy obświetlili, już byli na tropie.

To też był chyba duży błąd dowództwa. Oni nas chyba nie



wzieliby żywcem, bo każdy wiedział, czym to paclmie. Ale p  
sia siedliśmy w Walikach, położyli my broń i czekaliśmy na pociąg  
ciąg. Do zaraz miał pociąg na Białystok odchodzić, . . . siedliśmy  
wskoczył do pociągu i do Białegostoku. . . Białymstoku tylko  
dość dokumenty. Myśmy tam siedzieli godzinę, pomarzialiśmy, bo  
mokre było to wszystko, a jak tylko siedliśmy do pociągu, jak  
tylko zamknęliśmy wagon to już do nas zaczęli bić z automatów.  
A myśmy mieli tylko pistolety, a całą broń ukryliśmy na kupie  
koło jednej chłupy. Jak później przywieźli broń to Rosjanie  
chcieli pokazywać, która to broń .

Jednego zabili, drugiego ranili w rękę. Rosjanie otworzyli  
wagon i kazali nam wychodzić pojedynczo. I szeszajem, jak między  
sobą mówili, że koło Grodna przechodziło około osiemdziesięciu  
ludzi i oni tam przeszli, szli gdzieś na Augustów.

Kazali wychodzić i kraść się na ziemi. A tam była woda,  
Jeden rękę mi związał  
chyba od parowozu. I nas wiązali. ~~aka xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx~~  
kablem telefonicznym, to drugi przychodzi i mówi: co tak słabo?  
I wiąże rękę drutem. A potem jeszcze mnie kołbą po głowie, krew  
mi leci. Leżeliśmy tam godzinę czy dwie i pozamarzialiśmy. Jak  
potem kazali się podnosić, to nie było jak. Ja się spróbowałem  
podnieść, ale nie dało rady. To on mnie wziął ze kołnierza i  
oderwał kołnierza. Ten kołnierz przymarzał.

Podstawili samochody. Brali nas po czterech za ręce i nogi  
i wrzucali tam. Bez szapek, nie mieliśmy w ogóle nic przy sobie.  
W samochodach było nas po sześć-ciu chyba i wozili nas do Bg brow  
nik, gdzieś koło granicy i dali nas do jakiejś piwnicy. A tam  
ani powietrza... Jak myśmy tam przetrwali, to nie wiem. Czy myś  
my tam byli dzień czy dwa - nik nie wie, bo cały czas było c  
ciemno. Ani jeść nam nie dawali. Tam było jeszcze kilku kolejs  
rzy, zaczęli ich badać, potem chyba puścili. A nas zaczęli po  
czterech wyprowadzać i na samochody. Ich było czterech i mieli

Nas po czterech łądowali do tych samochodów i zaczęli wywozić do Rási/?/. To za granicą, to Rosyjskie pagraniczniki - tam był ich cały sztab.

Tam nas oni spisali, co masz - i wyprowadzali do piwnicy. To był jakiś majątek i tam zsypywali kartofle, a po środku było zabetonowane i tam ciekła woda. Tam prowadziły schody. Na górze stało chyba ze dwóch- pamiętam jednego: chyba Tatar, bo taki duży łeb i oczy skośne. Oni bili w kark takimi dużymi kłocami do drzewa, do palenia. I człowiek leciał z tych schodów. Bił głową, bo było ciemno. Tam były takie wahadłowe drzwi, to uderzał w te drzwi i padał. Jednego kolegę przede mną cucili wodą- przynieśli wodę i polewali. Potem za nogi i na prycze rzucają. Prycze, takie kajuty, cztery metry szerokości, sześć- lub osiem metrów długości. Tam glina prawie po kolana była. I na takiej pryczy. Tam nic nie było tylko deski, ~~Rz~~ tych pryczach. Rzucają i mówią: "O, ban dyty".

Wszystkich było tam osiemdziesiąt, je szcze ludzie spod Grodna. Wszystkich zbili, ludzie leżeli bez przytomności, i nikogo nie wypuszczali. A na około to wszystko było ogrodzone i chodziło tam po dwóch czekistów.

Nasza sprawa była dla nich jasna. ~~Kixk~~ Zarobiliśmy na pewno na wyrok. Ale jeszcze trochę chcieli wyciągnąć od nas. Jeden chłopak był chory na tyfus, dali go do szpitala to od nich uciekł, potem go złapali i wozili, żeby on pokazał, gdzie jest breń. Więc to śledztwo trwało około dwóch miesięcy. Głód straszny. Konwój nam przynosił chleb, ale myśmy przez szpery widzieli, jak oni jeszcze sobie kilka bochenków zabierali.

A my codziennie, jak tylko wstawali my, zaczynali my walczyć z wszami. Było tyle wszy, że na ziemi nie ma tyle piasku! Chłopakom na tych pryczach w głowach się kęciło, bo tam ani powiet-



rza nie było ani nic. Nie wypuszczali nigdzie, że by nikt nie wiedział, gdzie się znajdujemy. Za własną potrzebą też nie wypuszczali. W naszej celi ~~xxxx~~ było zakratowane okienko. My wyrwaliśmy gwoźdźcia i chcieliśmy uciekać, ale to w ogóle bez sensu. Jednej nocy już ~~xxxxxx~~ umówiliśmy się, że uciekamy. Widzimy przez to okienko, jak czekiści chodzą dookoła. Chcieliśmy wyjść jak oni przejdą i ich zadusić, a potem wszystkich wypuścić. Ale akurat jakiś Rosjanin uciekał z Polski do nich, przechodził granicę, dąpnęli go i do nas rzucili. Myśmy, myśleli że to szpicel i daliśmy sobie z tym spokój.

Innym razem pod ścianą rękami, żeby z kolegami zza ściany można było rozmawiać. Ale czy im kto doniósł? To dawaj nas kolbami bić, bo po pierwsze, zrobiliśmy dziurę, a po drugie w ogóle nie wolno było przez ścianę rozmawiać.

Ludzie dowiedzieli się, że myśmy wpadli i ~~przyjmować~~ przynieśli paczki. Oni paczki przyjmowali, ale nikomu nie wydawali. <sup>coś tak jak oni chcieli</sup> Jak ktoś powiedział, ~~xxxxxxx~~ to dostał kawałek chleba. A jak nie - to nie.

Sledczy, Golikow, mówił, że im szybciej skończy tym będzie miał większą premię. Bo od każdego siedemdziesiąt rubli miał czy coś takiego, dodatkowo. Materiału na to wszystko starczyło.

Potem wypędzili nas do łaźni w Rosi. A to zawszone ubranie wkładali do beczek, palili. Bo to był straszny brud. Coś nieludzkiego. Nie można wytłumaczyć i nie można uwierzyć, że takie coś.

I oni nas już szykowali do sprawy. Chcieli nas wieźć do Grodna. Jednym samochodem powieźli dwóch czy trzech, ale w ogóle ich nie przyjęli, przywieźli z powrotem.

Potem, chyba po tygodniu przyjeżdża Wajenny Trybunał z Rosi do nas. A jeszcze przedtem tłukli nas, żebyśmy mówili, który miał broń. Bo przywieźli całą furę naszej broni.



Najgorzej było patrzeć na tych ludzi, u których myśmy przedtem byli. Na przykład w Barawie nie zchłiwimy w jednym gospodarstwie. Co ci ludzie winni? Oni nic nie winni, bo oni musieli. Oni ich nie wypuscili, cały dzień trzymali i potem do nas wzięli. To rozpacz w ogóle była! Oni musieli wydać: tyle ludzi! Gdzie byli, gdzie zetrzymali się - nie mogło być inaczej. I tych ludzi też sądzili i też tyle samo im dali. Strasznie było na tych ludzi patrzeć. Bo my, to my. Ale oni niewinni.

Ci dwa Rosjanie, co myśmy ich ze Lwisiłoczy wzięli też byli na sprawie. Ale już kax nie jako wojskowi ~~tyks~~. Może ich i sądzili, bo jeżeli jakiś Rosjanin oddał broń czy coś to już musiał siedzieć. Ale oni zostali żywi, chyba się na et wyprowadzili potem do Polski? Gdybyśmy ich kropneli wtedy to ... ale myśmy tak nie postąpili. Puściliśmy ich wtedy w lesie. I wtedy Rosjanie byli na jeszcze większym tropie - gdzie się znajdujemy, na jakim kilometrze.

Najenny Trybunał. Zaczynało to być trzech ludzi: sędzia, prokurator i chyba ten co pisze. W ciągu portora, doby wszystkich nas osadzili. Na początku mówili, że nam się należy najwyższy wymiar kary, kara śmierci - strasznie - bo występowali my z bronią w rękę. Ale ponieważ wojna się skończyła - to na białe niedźwiedzie. I dawali nam jeszcze punkty: sześćdziesiąty trzeci osiemdziesiąty, warożonyj bagietis i siedemdziesiąty szósty - to agitacja - i dwadzieśty czwarty. Było tego dużo, ale jak sądzili, to dawali tylko jeden paragraf. Najstraszniejszy w Rosji jest sześćdziesiąty trzeci, punkt pierwszy: izmiennik rodziny. To była punktacja białoruska.

Oni ni chcieli nas nazywać Polakami, mówią, że jesteśmy Białorusy i że to ich ziemia. My mówimy, że to nasza ziemia, że urodziliśmy się w Polsce - a oni, że to ich ziemia.

Wywozili nas do Wołkowyska. Byliśmy wiązani po sześciu, jednym sznurem. I dwóch tych bajców w siedziało w kabinie a dwóch przy nas. I mieliśmy taką myśl: chcieliśmy ich udusić. Bo można było rozluźnić ręce. Ale tam samochód za samochodem szedł. Takie myśli - to chyba jakaś wyższa siła na nas nasyłała.

Wieźli chyba z pięćdziesiąt osób. I nie zdecydowaliśmy się uciekać. Nie było szans na ucieczkę, ale też nie było szansy do życia

Jak przyjechaliśmy do Wołkowyska to tłum ludzi się zebrał. ~~Impraz~~trzasnie było na nas patrzeć. Wszystko powiązane... I po tem co dzień paczki nam przynosili. Byliśmy tam chyba tylko z dziesięć czy dwanaście dni. Potem popędzili nas do pociągu. Dookoła nas pełno Rosjan, jeden koło drugiego, z psami, na koniach nawet. Wsadzili nas do takiego wagonu, oni to nazywają stały-pińskij - do przewozu więźniów. Ja tam miałem jeszcze pół worka sucharów, trochę słoniny, każdy tak coś miał, a tam w tych wagonach, to jak ju'si, wlezie, to ani się nie można ruszyć.

Po dwóch dniach przyjechaliśmy do Orszy. I tam każdy chciał, żeby mu kawałek chleba dać. Ja pierwszy dałem. A skąd oni wszyscy byli? To Rosjanie przeważnie. Z Charkowa... Bo tam w Orszy był zborny punkt. Pieriesyżka. oni mówią. I tam proszą, który rozerżnie.. A , to mnie cholera, zgniewało, poszedłem za róg, wyciągnąłem zza pazuchy kilo słoniny, rzuciłem w błoto, oni to rozdrapali... A jak czekistom dasz z kilo czy dwa kilo słoniny, to oni trochę odpędzą, żeby nam nie zabierali... Byli tacy, co w Wołkowysku siedzieli miesiąc, dwa czy ileś, to oni mieli nie wiadomo ile tej słoniny.

Błatnych było mnóstwo. ~~xxxxxx~~ Tam prawie każdy ruski błatnyj. Jak oni od samego dzieciństwa prawie po dziesięć lat w więzieniu... Myśmy w Orszy byli dwa czy trzy dni. Ale kto wiedział to mógł być tam i miesiąc. Rosjanie na przykład wiedzie



li kiedy, gdzie jaki etap idzie i chowali się. Wiedzieli, gdzie się schować. A wyży od razu poszli.

Jak nas nabierali, cały transport, to wsadzili do jednego wagonu czterdzieści osób. Przedtem pędzili nas do tych wagonów z psami, i jak kto był z boku, to te psy, spuszczone, całe ubranie mu porwały. Czterdzieści osób wsadzili do takiego mniejszego wagonu. A do tych dużych, pulmanów to i po osiemdziesiąt os wchodziło. Cały transport miał około tysiąca ludzi. Jechaliśmy też kuchnia, ale tylko raz dziennie im dawali jeść. W dzień przeważnie staliśmy, a jechaliśmy w nocy. Jechaliśmy tak dwadzieścia dni. Jak ktoś dobrze stanał to mógł przez zakretowane okienko zobaczyć wschód słońca. Widzieliśmy też, już za Orsz. jak ktoś zbierał kartofle, takie zamrznęte, już po ziemi. I to było niesamowite: bo człowiek, starszerek, trzymał pług, a cztery baby ten pług ciągnęły. Dlaczego oni nie kopali tych ziemniaków? A może to było specjalnie? Bo to było blisko kolei. Może to było po to, żeby ludzie widzieli?

Nas przywieźli do Moskwy. Tam staliśmy z dobrą. A potem w Nowosybirsku zapędzili nas do łazni. To był koniec kwietnia. ~~bo tam była jeszcze łaznia wojskowa~~ Przewieźli od razu cały transport do Kijowa. A tam ani szosy, ani nic. Błoto po kolana.

Oni wiedli akta każdego z nas. To były takie grube książki. Jak nas gdzieś zawieźli to potem cały samochód tych rzeczy wyładowywali.

Jak nas dalej wzięli to jak mroz uderzył to myśmy mało nie zmarli. Bo tam ani ogrzewania, ani nic.

Co noc przechodzili po kilka razy i liczyli nas. Młotki mieli zawsze drewniane i w czasie liczenia każdy tym młotkiem musiał dostać.

Dowieźli nas na taki cars. To było około piątego maja. Było to tylko <sup>d</sup>ogrozone drutem na około a na tych wyżkach stali



i pilnowali nas. Zimno tam było, były pałatki, z karmieniem też  
I tak pracowaliśmy  
marno. Do końca września, od maja do września wszyscy poszli na  
op. Bo ludzie tak podochodzili. A jak się rozpozna takiego, co  
szkodził doszedł? Każdy głupi człowiek zobaczy tylko na tyłek  
. Jak już mech na tyłku u człowieka obrosnie, to on już w ogóle  
ledwie łązi, ledwie żyje. I wtedy oni ich rozwozili na około  
po łagrach. Tam były takie podsobnyje chazjastwa, takie kolcho-  
zy ~~na~~ urodzaju. Tam trochę lepiej było, ale tam nie tego.

Ja byłem w takiej- nazywała się sztabnaja. Tam byli ci  
jeszcze z trzydziestego piątego roku  
co odsiedzieli już te swoje sroki /choć byli też i tacy, któ-  
rzy nie mieli sroków, siedzieli bezterminowo, ale ich zwalniano  
i tam dawano/. Ale tam już było lepiej. Bo tam, jak kapustę wy-  
cinali to całymi dniami kapustę jedli. Marchew też. Cały dzień  
żujesz tę kapustę. Jak uderzysz kijem - rozwała się. Ale sęd-  
ka była. Nawet cebulę też wybierali i cały dzień jedli. Pomidory  
też zbieraliśmy. Choć były zielone, ale za to takie <sup>edz</sup> urzdajne,  
że z jednego krzaka był prawie kosz pomidorów. Choć były  
niedojrzałe, zielone, to oni je przeważnie solili .

Na każde przedsiębiorstwo- bo tam i domy stawiali, i w le-  
sie pracowali- to jeździły brygady podkonwojnych z jedzeniem,  
obiadami. Do nas na końcu przywozili. I jak przewidzieli, że są  
tacy, co podochodzili, to tym najwięcej dawali tej kaszy owsia-  
nej- miskę czy ile... "Podochodzili" to znaczy najbardziej wy-  
nędzniali, tzw. dochadiagi.

Jeden lejtnant chciał koniecznie, żebym ja poszedł do  
niego - miałem być cieślą chyba w jego przedsiębiorstwie. ~~On~~  
napisał sobie moje nazwisko, ale po tygodniu przychodzi i mówi:  
wiesz, nie mogę cię wziąć. Bo masz takie punkty /paragrafy/  
że nie mogę cię wziąć do siebie.

Po dwóch miesiącach, jak poczułem się trochę lepiej- znowu

do tej szeto.

A jeszcze o tym Carzie. Centralnyj Artromentnyj Zawod. Oni przerzucali fabryki, warsztaty ze ~~Kaniingradu~~ Stalingradu. Z Ja ponii też tam przysyłali. To była sama tajga, dookoła lasy. Ale zaczęli budować tam domy. Była tam taka pięćdziesięciosobowa brygada z Taszkientu- takie żółte. Rzeali słomę i glinę, ubijali to nogami, to podsycało, składali to i potem murowali. Ja sam to murowałem. I jak po wieczór zaczął deszcz padać, to to w wszystko się rozpływało. Nie wiem, czy to w końcu zbudowali, bo mnie potem stamtąd wywieźli.

Przyjechał naczelnik uprawienia i krzyczy, że nie chcemy pracować i że nas będzie tylko karmić byczkami - to znaczy takimi malutkimi rybkami. Mówił tak do tysiąca osób. Po kilku miesiącach cała ta grupa doszła. <sup>tych, co nie umarli,</sup> ~~Te~~ ich porozwozili ~~maximalkix~~ "na padesonnyje chaziajstwa". Ja nie wiem ile osób z tego mojego transportu umarło. Bo tam jeden o drugim nic nie chciał wiedzieć. Tylko głód- i kawałek chleba. Ja sam - nie wiem, ~~sk~~ - zjadłem kilę śledzi, zgnikłych, z głowami. I sam na pryczy leżałem i jeszcze eplnowałem, żeby nikt nie widział, że ja jem. Ludzie jedli lebio dę z solą. ~~z~~ z głodu. Często puchli z głodu i umierali.

Na tym Carzie nie było dnia, żeby nie było pabieli - żeby ludzie nie uciekali. Kiedyś jednego bajca chcieli kropnąć - trz trzasnęli go cegłą- , potem przyleciał cały garbizon, bili go, bili i nieprzytomnego rzucili pod wyżkę - pod wieżę strażniczą. Na drugi dzień przychodzą - a ~~sk~~ nie ma go. On oprzytomniał i uciekł.

Tam codziennie uciekali z obozu. ~~dziana~~ W jednej ucieczce brało raz udział pięć osób, w tym jeden Polak. Zrobili to tak

Tam wywożono beczkę z gównem, otwarte były wrota i oni w tym czasie umknęli, ale w tym momencie zmieniała się warta. I ich- dwóch czy trzech- zastrzelili, a resztę zkapali.



Te ucieczki nie kończyły się powodzeniem. Bo tam w pobliżu Urełu oni mieli takie strategiczne punkty, tam obstawione to wszystko było. Nawet powiaty towarowe z węgłami kontrolowali, żeby nik się nie przidostał. Ale nawet jeżeli ucieczka się uda - uda się uciec parę kilometrów czy nawet sto kilometrów, to jeżeli do koczowca czy do jakiejś wioski jakiś patrolowy człowiek się zamelduje to dają mu puł mąki. A obcy nie powinien się nigdzie ruszać.

Pamiętam jeszcze jedną ucieczkę. Oni z tej kapturki - to jest taki magazyn - skradli we trzech jakieś krupy, podszykowali się i uciekli we trzech.

Jak kogoś złapali - po miesiącu, dwóch, trzech - to przywożą do tego samego łagru i dają śledczy wyrok.

Jak tych trzech uciekło to ich potem przywieźli - przywieźli dwóch i rękę trzeciego. Bo oni go zjedli a tej ręki nie zjadł zjedli. Wszyscy się na nich patrzyli i pytali, a oni powiedzieli, że jednego chcieli <sup>i zjeść</sup> zabić żeby żyć. Ale tam tej tajgi nie było jak przejść. Irkucka Oblast to ~~jakxxxxxxx~~ trzy razy większa niż Polska: same lasy, tajgi, to w ogóle nie do przebiecia. Zwierzyna tam może i była, ale dalej. Jak są ludzie to z zwierzyną ucieka.

Po kartoflach, kapuscie marchwi i pomidorach zaczęliśmy mieć grykę. Myśmy mieli i potem przynosili do baraku w workach. Sypało się do melonów i tak szło się z kilometr.

W tej zonie miałem dwóch kolegów - żydów. Oni pracowali na bazie końskiej, karmili konie i przynosili do baraku to mięso dla koni. A ja przynosiłem grykę. Oni mieli taką maszynkę, obdzierali tę grykę i gotowali z tym mięsem. I tak kilka tygodni tym żyli.

A ja jeszcze przynosiłem marchew. I kiedyś tak było, że nam przez cały miesiąc nie dawali cukru. A potem dali osien-



set gram. I jednego wieczoru zjedliśmy osiemset gram cukru i marchew. To wszystko zjadło się. I człowiek nie zachorował, ani nic. A ten cukier był żółty i do tego mokry. Bo stawiano worek cukru obok wiadra wody i ten cukier w ciągu nocy wyciągał całe to wiadro wody, nasiąkał wodą i był cięższy - i o to im chodziło.

W połowie października marchew zaczęła się w tych <sup>pomieszczeniach</sup> magazynach psuć, myśmy przesyrywali ją do innych pomieszczeń, przesyrywali wapnem. To trwało całą zimę i myśmy całą zimę tę marchew jedli. Były też tam buraki cukrowe. Mieli my kociołki, czasem zdobyło się trochę drzewa i się upiekło te buraki. I jadło się.

To tak trwało do grudnia. W grudniu przerwali nas z tej sztabnej czterdziestej kolonii - tajszej. Nas było piętnastu dwudziestu ludzi - a tam tylko te płatnoje siedzieli i w karty grali. Wszystkie prycze były zajęte. Cała nasza brygada położyła się koło pieca. Ja zdjąłem kożuch i przykryłem się nim. Z godziny się zdrzemnąłem - budzę się, a już na mnie nie ma kożucha. Poszedłem na wachtę do tych bajcowów, że ukradli mi kożuch. Oni mówią: idziemy szukać. Poszliśmy do drugiego baraku, ja i ich dwóch - i szukamy. Oni po jednej stronie prycz, a ja po drugiej.

To był taki barak bez konwoju. Chodził Oni mieli mały srok, wypuszczali ich bez konwoju, chodzili do tajszej, ~~przez~~ jeździli koniami. Tamci mówią: zobaczy, czy to nie twój kożuch. A tam każdy jeden był już nakryty dwoma kożuchami. Ja mówię "Mój". Budzimy go - on nic nie mówi. Prowadzimy go do tego baraku, gdzie ja byłem. Tam go zaprowadzili, on zaczął tłumaczyć... A tam był taki Rosjanin Karolkin. Tak skoczyli do niego, to z jakimi polanami, jakieś osiemdziesiąt centymetrów długości. Jak zaczęli jego bić to stracił przytomność, leżał. Żeby on był ruski, to może by jeszcze nie tego. Ale to był Litwin. Na drugi dzień wapytatiel przyprowadził jego. On był ledwie żywy. Wapytatiel mówił, żeby jemu darowali. A tamci krzyczą: nam proku rator dziesięć lat

dawał i nie żałował - i jemu też. I wtedy zabrali go nie wiem gdzie. A ja kołucha dostawałem.

-e bliźnyje to takie diabelstwo, że jak masz coś lepszego - czy kołucha czy poćciel - bo tam poćciel mieli - to jak przegrają w karty to załóżają. A ~~xxx~~ do roboty nie wychodzili wcale, tylko karty grali. Było i tak, że w kartach przegrywali ludzką głowę przegrę - to takiego i takiego musi zarzącać.

Ja tam byłem od grudnia czterdziestego <sup>ie</sup> szóstego do marca czterdziestego siódmego roku. A jeszcze przedtem, jak myśle tę marchew przebrali to nas dali do budowy domów drewnianych. - na pół miesiąca. Był tam taki kolega - Pacukow. On od dziesięciu chyba lat siedział już w obozach. Prawie taki bliźnyj, ale z nim dobrze było. I był jeszcze taki jeden Serbał z Ukrainy <sup>naszej</sup>, chyba nie miał osiemnastu lat, taki chłopak-dusza. I jemu przysyłali średnie paczki i ja chyba też dostawałem dwie paczki. Tam w ogóle nie można było listów wysyłać - ale napisali i paczki przyszły. Szły chyba za trzy miesiące czy za pół roku czy ileś - ale doszły. Myśmy to jedli, a resztę chowali my do walizki - mieli my taką walizkę. Ale palamy, że ktoś nam bierze słoninę. Idziemy do tego dniewalnego - to stróż taki, sprzątał. Pytamy - kto był dzisiaj na terenie? Nikogo nie było, tylko on. Kto słoninę brał? On się nie odzywa. Pacukow doskoczył do niego, uderzył polanem, a on zaczął jęczeć i pod te pryce załaził i tam jęczy. Traf chciał, że przychodzi lekarz. "wyciąga go stamtąd, a jego rękę macha się. Was wyciągają do karclu.

To już było w marcu. Myśmy siedzieli w tym karclu ze ~~cztery~~ dni. Po trzech dniach wstał nas naczelnik łagru. Ja byłem Polakien, ale oni z tym Pacukowem dobrze się znali. I mówi: "Wiedziecie coś? Was was wysłę w tajgę. Bo tutaj was mogą sądzić, a tam już nikt o was nie będzie wiedzieć.



Chyba dwudziestego marca wyprowadzili nas w tajgę na Bratsk. Tam podjechaliśmy koleją chyba z osiemdziesiąt kilometrów za Tajset. Wzięli nas dwieście pięćdziesiąt osób. Cała kolonia po tam było. Tam już był jeden łagier i tam po wyjściu z tego pociągu myśmy nocowali. Tam była sódzosa i gomora. Te błatnyje już szły po nas. Ale my z tym Pacuką, nam było z nim dobrze, bo on jak tylko krzyknął na nich to oni od razu ustępują. Myśmy tam szli czy dwa doby i potemieszko: dawacie pięćdziesiąt kłodzi piesszo w walonkach. Kłode nam dali i sienniki. Na plecach mieliśmy taki worek: piąt, może dziesięć kilo najwyżej - sweter jeszcze jakiś, jakaś swoda koszula. Był tam jeden Chinczyk, on był chińskim szpiegiem. On był dochodzący, nie chciał iść. To prosto na niego puścili paw, szarpali go. Copotem się z nim stało - nie wiem.

Myśmy piesszo szli na dobę trzysta ci kilometrów, nie więcej. Odjeżdżaliśmy w koloniach. Tam były przeważnie kolonie japońskie, z jeńców wojennych japońskich. Nas tam prowadzili, myśmy się tam przesypiali i śalej. Ale jedź tam nam nie dawali. Dwa czy trzy dni szliśmy bez biesego - czasami wieczorem jakiejś zupy nam dawali na tych koloniach. To był koniec marca, śnieg było bardzo dużo i on był taki wilgotny, to walonki mokre, ciężkie, żydki w ogóle nie mogły się poruszać.

Na czwarty dzień dali nas wsi, stkich dwastupięćdziesięciu do jednej pałatki i powiedzieli, że rano będzie chleb. Jakie tam spanie było! Jak śledzie. Rano powiedzieli, że c leba nie ma, nie przywieźli, idziemy do drugiej. A my - nie pójdziem. Bo już nie mogliśmy iść. Bo w łagrach chleb to pośtawa. Żadnego mięsa. Nie te zupy - naszyn naki - to nie, tylko chleb. A Japońcom dawali - nie tak jak nam osiemset gram chleba, tylko czterysta gram chleba i czterysta gram ryżu.

Jak powiedzieliśmy, że nie, to te bajcy ~~xxx~~ wskoczyli na pa-



łatkę i nas tymi kolbami- żeby wypędzić z tego łagru. A my - nie. Oni z nami szaprali się, szar pali aż dali spokój. Przy - szedł naczelnik łagra. Czekaliśmy do dwunastej godziny. O dwunastej znaleźli gdzieś chleb, przywieźli go, dali go nam, zjedliśmy i dalej poszliśmy.

Tak mordowaliśmy się sześć dni. Doszliśmy do takiej kolonii, gdzie miał być łagier, ale tam tylko były narąbane drzewa. Były też pałatki. Myśmy przyszli zmęczeni tam, pod wieczór, ale zaraz zaczęli ludzie drzewo rąbać, raz-raz postawili szałas, naciągnęli pałatkę i położyli się na tych żerdziach czy drągach i tak przesnęli.

Na drugi dzień ludzie zabrali się, żeby sobie coś budować stawiać pałatki czy coś- żeby leżeć. A jeszcze zima, śniegu dużo! Przywieziona też tam już była taka kuchnia. Wody nie było - to śnieg topili. W tym śniegu dużo kolców, ale to witamina od cynki chroniąca.

U mnie był jeden Rosjanin. Kilka dni pobył i <sup>widzi</sup> mówi, że tu bieda. ~~Wiało wiało wiało~~ Miał dwadzieścia rubli. Dał mi te dwadzieścia rubli a sam wziął siekierę i mówi, że będzie wariata udawał. Bajcy na około mieli wartę, żeby pilnować, żebyśmy się nie rozła zili. A on z siekierą po tym lesie lata i pędzi, gdzie kogo popadnie. Oni go złapali, że wariat- u i z powrotem do Tajszetu odprawiają. „ A jemu o to chodziło, żeby mieć z tej tajgi. Bo tu już było nie do zniesienia. Śnieg, mróz, nic nie ma. Bo co ta plandeka daje? Jeszcze te plandeki amerykańskie były podwójne. Bo w pojedynczych to jak się pali drzewem w piecu, w beczce, to iskry padają i przepala się materiał, robią się dziury. Jak w takiej pałatce jest dużo ludzi i palą się trzy beczki to jak stoisz przy beczce to wydaje się, że ciepło. Ale jak się położysz, przytulisz do pałatki to włosy ci przymarzają. Wprawdzie kożuchy mieliśmy, ale jak ktoś miał dłuższe

wiosny to przymarzały. Bo w środku się sapie, a tu mróz - i po prostu namarza.

Przez miesiąc rabaliśmy ten las, stawialiśmy baraki z drzewa, można było polewać, dowozili chleba.

A Japońcy tam robili szosę z drzewa. O ni nazywali to leźniowka, . Waz spód kładło się kłose, a potem wzdłuż żerdzie, żeby samochód mógł pojechać. Zanim zaczęły dochodzić samochody to na koniach przywozili chleb i kaszę.

Kiedy przechodziliśmy obok tych japońców to ich konwój kazał im usiąść na tej szosie i odwrócić się do nas plecami. I wtedy Rosjanie - oni mieli takie nożyki, to im pociinali tymi nożykami menażki, okulary / przeważnie każdy japończyk miał okulary i dwa patyki do ryżu/. Jak Japońcy się odwrócili i to zobaczyli - co oni narobili krzyku! A konwój krzyczy: "Nie podchodzi!". Do jednych i do drugich. Do to mógłby być wielki bunt.

Tych japońców była straszna masa w tej tajdze koło Tajsze, w Irkucku i tam mówiono, że ich strasznie dużo uciekło do tajgi w Irkuckiej Obraści - cała armia. Oni wysłali, że uciekną, ale im się to nie udało. Wytkukli ich jak kaczki - i zpowrotem.

Te kolonia to był chyba sto osiemdziesiąty kilometr między Tajx Srejszewtem a ~~Krikskim~~ Bratskiem. Potem jeszcze jeden miesiąc spędziliśmy na <sup>drugiej kolonii</sup> ~~Krikskim~~ tam nas popędzili. Na tej drugiej kolonii też postawiliśmy palatki, inni ~~xxxxxxx~~ przychodzili na nasze miejsce, zajmowali, baraki rabali, na widok to oni zaczęli już koleje - taczkami wozili...

Na drugiej kolonii byliśmy chyba dwa miesiące, po czym zaczęli tam już baraki rabad z drzewa. Węgi wyrąbyali na okrągło. Lechu trochę dawa li. Całe kłose - dwadzieścia pięć centymetów - i z takich kłosew robili baraki.



Myśmy tam ponad pół roku nie widzieli żadnej kobiety. Po tem do nas przypędzili może z dwiescie kobiet i one miały specjalny barak. Te kobiety piłowały drzewo i podciągały dla nas sznurem. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć kobiet ciągnęło kłoc około <sup>30</sup> 25 centymetrów grubości - ciągnęły do 20 metrów, żeby to kłaść na te zręby.

Kobiety dochodzące strasznie wyglądają. Dziesiątnik chciał żebym ja był majstrem nad nimi. Dali mi dwadzieścia pięć kobiet, żebym im pokazywał w lesie jak się piłuje a potem domy buduje z drzewa. Poszedłem z nimi. Te kobiety ledwie żyły. Prawda, niektóre były zdrowe - te, co miały gdzie dostęp do kuchni, były młodsze - a te, które były starsze, to jak opuściły się, to były straszne. Chłop dochodzący - to jeszcze. Ale kobieta... Pomimo że byłem młody, to chęci z nimi nie miałem żadnej. Ale mnie tam było dobrze. Bo jak tam przychodziłem, to już jedzenia dawali a kuchni ile chcą. Bo każda chce sobie. Ale był tam taki Pacukow, brygadzysta, że bez niego ja nie mogę iść. A to było na trzecią kolonię. I tam zabrali mnie. Nazywała się Wichrołka. To był najgorszy odcinek, samo serce, samo złacze. Tam była góra chyba kilometra długości. Trzeba tam było kopać jamy dziesięciometrowe, a potem zerwać to dynamitem, żeby tam kolej przepuścić. Tę kolej ciągnęli od Łajszeta i od Bracka. Oni tam chyba walczyli z tym wsz stkim ze sześć miesięcy. Myśmy tam postawili te baraki, a oni taczkami ziemi wozili, nasy py. Bo tam były przeważnie niskie tereny. W jednym miejscu sam byłem nawet. Oni chcieli tam zrobić most. A tam takie trzęsawisko. Myśmy przez cały dzień przesuwali to błoto czy tę ziemię i nic nie zrobiliśmy, ona znowu zapływała.

Ściągnęli skądś takie coś co się "baba" nazywa. To waży osiemset kilo i kręciło się taką lebiodką, xxx i w ciągu pięciu



minut to podnosiło się do góry. I były tam słupy sześciometrowe. I tym się w te słupy waliło. Ile to czasu trzeba było żeby pięć razy uderzyć i żeby słup się zagłębił na pięć centymetrów? Nie byliśmy takimi frajerami: jak idzie wbijanie słupów, to idzie, a jak nie to się /górami?/ spiżuje, dawali na to takie homata, parę razy się stuknęło i w porządku.

Tak nas przypędzili do tej kolonii Wichrołka, to nie dali nas na dół, tam gdzie byli inni ludzie, ale na samą górę, to była wysoka góra. Tam nie było w ogóle nic. Myszmy tak się kładli. Nie było tam też śniegu, może dlatego nas tam dali na górę. Nie było nic i tylko myśmy się położyli i palili ogniska w nogach. To przez jedną noc prawie wszystkie buszłaty nasze zostały popalone. Bo to iskry leciały a paliło się jak proch. Na drugi czy na trzeci szień nie mieliśmy ani kotła ani nic. Trzeba było jechać sześć kilometrów po kotły. A ti już był koniec maja. W rzekach pełno było wody, śniegu mało było, i bardzo i całe zawałone drzewem. były rozlane. Te kotły trzeba było przewieźć rzeką. Pośleliśmy w sześciu ludzi - i dwóch w konwoju. Wzięliśmy dla siebie chleba na parę dni, wiadro grochu, żeby ugotować. Kiedy zaszlismy na miejsce zrobiliśmy takie jakby dwa płoty, żeby było na czym nieść te kotły, bo one strasznie ciężkie. Nieśliśmy też różne garnki dla ochry, dla tych, co nas pilnowali, pałatki. Tam nie można było ani koniem dojechać, ani niczym. Musieliśmy iść. Na nogach nie mieliśmy walonek tylko takie jakby sandały kręcone z opon. I pchaliśmy to przez wodę, po kolana w wodzie szliśmy. My w rzece, a dwóch tych bajców co z nami byli po brzegu szli. Wieczorem ogień paliliśmy, niby trochę się suszyliśmy, kładliśmy się na gałęziach i tak sześć dni się mordowaliśmy. Najpierw szliśmy wzdłuż małej rzeki. A potem wyszliśmy na większą rzekę, tę, co dochodziła już do naszego łagru, do Wichrołki, gdzie miał być łagier. Między nami był jeden Litwin

i jeden łotysz. Oni mówili, że są bosmanami. Zrobili wiosła i wyjechaliśmy na tych płotach na wielką rzekę. I tam jaknas fala schwyciła! To jeden płot od drugiego w odległości dwudziestu metrów! I potem takie wielkie drzewo zagrodziło nam w poprzeczek drogę, jeden płot wpadł na to drzewo, potem drugi, wszyscy znaleźliśmy się pod wodą, jakoś uchwyciliśmy się drzewa, nikt się nie utopił. Ja przepłynąłem na drugą stronę. Byłem sam~~xxxi~~ przez całą dobę. Mogłem uciec. Ale gdzie pójdziesz?

Jak iść do tego łagru bez niczego? Ale poszedłem. Dwa dni w ogóle głodny byłem, bez niczego. Nam na spotkanie wynieśli jedzenie, ale chodzili tak, żeby nas nie spotkać i sami zjedli. Przyszliśmy do tego łagru, a tam też nic nie ma - i głodny. A na drugi czy trzeci dzień - z powrotem brać liny i szukać kotłów. A człowiek się jeszcze dobrze nie wysuszył. Zbiliśmy kilka kłoców~~xxxxxi~~ i przepłynęliśmy na drugą stronę, zawiązaliśmy po jednej i po drugiej stronie a na środku szukaliśmy tych kotłów. Kotły znaleźliśmy prawie na miejscu, a resztę woda poniosła. Jakoś te dwa kotły wyciągnęliśmy i wyszliśmy wszyscy jakoś zdrowi. W końcu i tak dobrze się stało, bo jak zobaczyłem, jak to wygląda koło Wichrołki, to my byśmy się tam poozbijali jeszcze gorzej niż tutaj, bo tam takie skały były.

Już kilka miesięcy w tej tajdze nie było łaźni. Wszów! Brud był zimno. Potem zrobili z pałatki takie coś, że tak grzadrewnianych li wodę w kotle i dawali we widarach po pięć litrów dla każdego. A ubrania prażyły się w takiej beczce - i wszys owszem, przypalały się, to jakoś śmierdzące tym potem przejdzie i one poginą. Na jakiś czas.

Tak mordowaliśmy się do listopada. ~~xi~~ Im chodziło o to, że by na oktiabrsku połączyć Tajszew-Brats. To oni dostaliby pre



nie. Tam przyjechał taki inżynier z Moskwy, żeby odpalać, jak oni rozwalali tę górę. I on po prostu modlił się. Mówił: "Jeżeli ja tego nie zerwę, to posadzą mnie". Tam było dwadzieścia cztery samochody ~~pięćdziesiąt~~ dynamitu. I on zakładał tam dziesięć metrów tego najgłębszego odcinka i pod /bok?/. Potem nakładali tam ten dynamit, potem zakładali ten lont i zbijali takie deski, żeby ten lont szedł obok tego, żeby go nigdzie nie przebić, bo inaczej cały ich trud i nasz trud poszedłby na marne. Ale udało im się. A u nas roz waliło to na boki i ludzie zaczęli taczkami to wozić. A to trzeba było wotić jakieś pięćdziesiąt metrów. Tam były trzęsawiska, to trudno, a te taczki były drewniane, jedyny element żelazny w nich to kółka. ~~xxxxxxx~~ A tam normy były. Ludzie strasznie się męczyli.

Ludzie strasznie tam umierali, bo to ani higieny, ani dojedzone. Ale kto uwierzy? Ja sam teraz nigdy nie uwierzę, że tak może człowiek przeżyć. Najbardziej umierali Łotysze i Estońcy. To był naród najzdrowszy. Litwini trochę mniej, ~~xxxxxxx~~ trochę bardziej wytrwalsi, to już mniejszy naród. Żydzi, z nimi też nie tego. Najgorzej było z tymi Ukraińcami z naszej Ukrainy. Bo ta wschodnia Ukraina, która była pod Sowietami, to tam mało ich było, oni już na Syberię powywożehi, ruskich tam do nich nawieźli.

Najgorzej było z tymi naszymi Ukraińcami. U nas do trzydziestu tego dziewiątego dali im wolność. Oni chcieli swojej własnej Ukrainy. Ja im współczułem i wierzę. Do my całymi nocami z nimi rozmawiałem, jak oni walczyli, jak się potem połączyli z naszymi ~~ukraińcami~~ jak Rosjanie przyszli. Oni chcą żeby ta Ukraina była, o to się biją. Oni trzysta lat temu podpisali z Rosjanami. Nie wiem, jak to wyszło, że oni z Polakami nie podpisali tylko z Rosjanami. I Rosjanie w którym tam roku - pięćdziesiątym trzecim czy czwartym - obchodzili trzystulecie. I jak to



obeszli, to mówią, że Ukraina już niczyja tylko rosyjska przez przeszło trzysta lat. Ale Ukraińcy swojego po prostu nie chcą dać. Chcą, żeby Ukraina była Ukrainą. I oni z jednej strony mają rację. Każdy naród chciałby, żeby sam. A tyle lat oni po niewolach. Oni z Polakami nienawidzili się, chcieli żeby Polacy im dali Ukrainę, potem z Niemcami, że im dadzą. Hitler im poobiecował, ale to nic nie wyszło, potem w ogóle ten Bandera ich oszukał czy co, dość że tych Ukraińców do diabła poszło na tamten świat, jak poszli za Niemcami. Oni potem bili się i z Polakami i z wszystkimi. Chłopaki byli tam ze Stanisławowskiego, to opowiadali, że oni z wioski na wioskę napadali, po prostu wy-Taka nienawiść za Niemcami była. rzynali, dzieci po prostu piłami rozpiłowywali. To jest straszne, Nie chce się tego powtarzać.

Tam jeszcze była jedna rzeczka zamarznięta i tam ziemi nawalili na ten lód, żeby przepuścić pierwszy parowóz. Na październiku. Przepuścili, nasi ludzie robili z tyłu nasypy, natomiast Japończycy układali tory. Trzy kilometry na dobę. Tam byli specjaliści. Pamiętam, taki facet, bardzo grupy gość, to on dwa razy tylko uderzył w taki kostyr / to się do szpary zabijało / - i już. Raz uderzył, a drugi raz poprawił. To straszne. Oni mieli taki spryt. Strasznie szybko to szło. ~~o na wiosnę, jak ten lód się roztopił~~ Na i połączyli. No ale jak parę wagonów połączyli i lokomotywa jedzie - ale tam musowo było podbijać. A w listopadzie ziemia zamarznięta, nie można było wkuć w ogóle. Czym podbijać? W naszej brygadzie było chyba dwudziestu ludzi i to podbijali. Jak parowóz przejedzie, to podbijaliśmy. Ale nie dasz rady ukopać tego żwiru, - to śniegiem podbijaliśmy. Tak kładzie się równo, równo. Parowóz przejedzie i znowu to samo. Nie wiem co tam było na wiosnę, jak lód na tej rzeczce zaczął tajać i ten śnieg też...

Po tej oktybrskiej, ~~aż~~ jak już po łączyli to zaczęli ludzi rozwozić wszędzie, gdzie mogli. Ile ludzi było na tym odcinku- nie wie m. Jedni mówili że trzysta tysięcy, inni, że osiemdziesiąt ~~ixixix~~ tysięcy. Ludzi zaczęli wywozić do Mongolii, bo tam gdzieś tory trzeba było stawiać. Mówili, że trzy wagony z ludźmi z transportu do Mongolii się wywróciły. Co się stało z ludźmi- nie wiadomo.

Na przełomie roku czterdziestego siódmego- ósmego nas z tej Wichrołki zabrali i pojechaliśmy samochodem mi przez Bratsk /choć już wtedy do Bratska pociągi chodziły, to nas powieźli samochodami/ aż ~~do~~ na Zajarsk. Akurat w Nowy Rok w nocy nas posadzili na samochody, a samochody miały tylko plandeki. Aróż - jak diabli! całą noc nas wieźli. Bajcy o dwunastej w nocy zaczęli strzelać - a my zmarznięci, ledwie żywi. Za Bratskiem rano zawieźli nas do takiej szkoły, to był Nowy Rok więc nie było zajęć. Na drugi dzień /nie pamiętam, czy dali nam jeść, czy nie - chyba nie/ poprowadzili nas tam, gdzie miał być łagier. Było zaciósane- tu, tu i tu, i mieliśmy rąbać sobie na te pałatki, żeby było gdzie mieszkać. Tyle tam było ludzisko- dwiesście osób- to szybko się zaciągnęło te pałatki / bo pałatki już zawieszono były/, potem baraki zaczęliśmy robić - aż do marca. ~~My~~ zrobiliśmy baraki, a niektórzy to już kolej ciągnęli.

Tam się ciosało. To jak dobra siekiera- to dobrze ciosać. Tam dużo było do ciosania, ~~ż~~ te kłocy trzeba było ciosać. A jak niedobra to nie chciało się dać. Ja sobie wziąłem siekierę i ~~ch~~ <sup>(czy gdzieś podzuciłem -</sup> chowałem pod kłoc- nie zdawałem. Ktoś to podpatrzył i powiedzili, że ja chcę uciekać, pabiechę robić. Przeprowadzają nas do tej zony i od razu mnie wywożują i kajdanki na ręce: że pabiech chcesz robić. Ja nic nie wiem. Siekierę- owsze m, schowałem, ale to przecież nie było sensu uciekać. Żeby to jeszcze wiosną- ale to zima taka. Ale ja nie mam nic do gadania.



Mrpż okropny. Te kajdanki były amerykańskie, jak się ruszyło ręką to coraz głębiej zaciskały się. Samozaciskowe. Ale tam był taki Loszka, kucharz, on już dziesięć lat siedział, my z samego Tajszta razem szliśmy. On był bardzo dobry. I on wystąpił w mojej obronie: "On nie mógł tego zrobić - pojwada - ja znam go tyle i tyle". I mnie po jakimś czasie puścili. A tak mogli zastrzelić na miejscu, bez niczego. "Jak oni mówią" tej hapa horroru" - zabijają człowieka, tam nikt nie odpowiada. Bo w takich tajgach co kto może odpowiadać? Myślę, że to ktoś specjalnie musiał na mnie donieść.

Na tej kolonii spotkałem jednego Polaka, inżyniera, ale on już był z któregoś pokolenia zesłańców, z tysiąc osiemset które goś roku. Tam się mówiło o tych rozrzuconych Polakach. Oni jeszcze mieli taki swój honor.

"Myśmy tam pracowali, potem przyszła wiosna i nas dalej popędzili. Straszne. A naród słaby! Padali jak muchy.

Raz pracowaliśmy u takiej jednej kobiety. Ona była naczelnik łagier. Maria Markowna. Ona też z dziesięć lat prawdopodobnie odsiedziała, a potem zrobili ją kierownikiem. Tam każdy kombinował, żeby nie iść do pracy - a to buty porwane. To ona zawróci: "To idź, buty wymień", to śniadania nie zjadł - "To idź, śniadanie zjedz", a potem jak któryś tak kombinuje, raz, dwa razy, to mówi "A co jeszcze chcesz? Chcesz żebyś pojebał tobie dała?" Śmiechu było w ogóle...

Tam był kolega z mojej miejscowości, Józek. On doszedł nawet po jednej sprawie. On już taki, ledwie chodził, taki był dniewalnyj/?, dziesiątnik, jak oni mówią. I nagle przycho dzo rozporządzenie żeby nas - osiemdziesiąt ludzi - zabierać: "Z wieszczami", jak oni mówią. Nikt nic nie wie - gdzie, co. My do niej - do naczelnik łagiera. Ona w płacz: "Ja nic nie wiem".



Mnie najlepszych ludzi zabierają!". I prosi, żeby pisać do niej, gdzie będącymi.

To był czterdziesty ósmy rok, chyba czerwiec. Dali nam, jak oni mówią, suchi pajok, chleba dałi po bochenku, z półtora kilograma - na dwa dni. Dwa dni my spod Zajarska jedziemy do Br Bratsk. Do tego samego Bracka. Była taka legenda, że było trzech braci zesłanych i oni założyli ten Brack. W tym Bracku były takie stare baraki. Tak tych pluskwów było! Coś okropnego. One nas zajadały. Myśmy tam byli dwa tygodnie.

takiego prowizorycznego, drewnianego ~~krzyżostaw~~  
tam nas pędzili do budowy mostu, wbijaliśmy słupy nad rzeką Angarą, pięćdziesiąt metrów słup od słupa, a słupy trzydziestometrowe. Bo po jednej stronie góra i po drugiej stronie góra, a w dole rzeką Angarą, o szerokości 800 metrów. Oni kopali tak, że kładli kamienie tak jak się buduje dom, ~~żeby~~ żeby na dno postawić, w tym dniu trzeba było ~~kopnąć~~ dokopać się do skały, metra dwa i te słupy postawić na twardym gruncie, na skale. Straszna była ta robota. Tam człowiek w tej wodzie, gdzie kopali jamy pod ten fundament, więcej nie pracował niż dwie godziny, bo tam nie było powietrza, krew nosem leciała. ~~jak~~ jak tam chodziły te katiery, takie okręciki małe, kamienie podwiali. Tak ja tam przyszedłem to już tam jeden i drugi słup stał

Ale po dwóch tygodniach przyszło rozporządzenie, żeby iść do wagonów. Jak nas wieźli to cały transport był - nie wiem czy w Bracku doczepili resztę czy w Irkucku. Transport to przeważnie osiemset do tysiąca ludzi. Gorąco było. To był już lipiec. Jak się stoi to w tych wagonach placha się napali. A przeważnie w dzień się stoi, w nocy tylko wiozą. Żołnierze wieźli, wszędzie stali na tych wagonach, z boku, poobkręcani naokoło - żeby nikt nie uciekł. W hocy ciągle powierki i szukają, liczą, młotkami drewnianymi tłuką to po tobie, to po tych

~~przekazak~~ deskach.

Przywieźli nas z Iajszeta do Irkucka - to chyba było pięćset kilometrów. W Irkucku staliśmy dwanaście godzin. To piękna miejscowość. Tam ci nasz powstancy styczniowi z tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku budowali, tam prawdopodobnie polski kościół jest który oni tam dla siebie zbudowali. Tam opowiadali, jak oni kiedyś pracowali. A myśmy już teraz tylko jechali.

Nikt nie wiedział, gdzie jedziemy. Gdzieś nas wieźli przez jakąś żydowską stolicę, gdzieś, ~~kukukukukuk~~ jakieś żazy. Nie Magadan. Żydowska stolica w Rosji, można to było znaleźć na mapie ale zapomniałem nazwę, nie interesowałem się tym. Jechaliśmy

Jechaliśmy dwadzieścia dób. Dojechaliśmy do Amuru. Wjechały chyba trzy razy po trzy wagony na prom i on przepływał na drugą stronę. Tam stał parówóz i ściągał te wagony. Oni nie mogli na Amurze zrobić mostu bo tam bardzo wartki prąd był. Opowiadali, że w zimie, jak Amur zamarzał, to nalewali go i pociągi po lodzie przechodziły. Zawieźli nas aż na buchtę Wanin. To jest na przeciwko Sachalina. Sachalin można było widzieć gołym okiem jak słońce schodzi. Mówili, że to siedemdziesiąt kilometrów między buchtą ~~wanin~~ Wanin a Sachalinem. Góry takie sachalińskie.

Jak przyjechaliśmy na Buchtęwanin to wyładowali nas i nasze papiery - cały samochód. Jak nas tam wpuszczali to rozebrali do gołego, każdy łach musiał przejść przez ręce tych bajcowów i każdemu w dupę zaglądali. Ale dlaczego - to też nie wiem. Nasz jeden transport to rewidowali może ze trzy godziny. I puszczali do tej zony. To był punkt zbiorczy. Stamtąd przerzucali już na Kolumę.

Ma nami w tym samym dniu przyszedł drugi transport. Tam było od dziesięciu do dwudziestu tysięcy na Buchciewani. Każdego dnia przychodziły pociągi z ludźmi, ~~za~~ dwa ~~raz~~ razy w miesiącu od-



przeprawiali okręty na Kozymę.

Jak kiedyś pracowałem w Bratsku to chciałem, żeby przyszła do mnie jakaś choroba. Tu przyszła choroba: dyzenteria. Czy to tam w Bachtuani<sup>W</sup> woda była zatruta czy to już woda była morską - no bo od czego? Nic nie jadłem. Dwa tygodnie leżało się na gołych pryczach, tylko dwieście gram sucharów na dobę dawali i wodę gotowaną - więcej absolutnie nic. Tak było przez dwa tygodnie. Człowiek nie myślał już o żadnym życiu, po prostu żółty był od tego wszystkiego.

A tam w tym łagrze cuda się działy. Jeden drugiego zarzywał. Tak ktoś miał duży wyrok - a w czterdziestym ósmym to fawali już po dwadzieścia pięć lat to zabijał takiego, któremu już wyrok się kończył, ciało wrzucał do ustępu - to były takie jamy na dworzu - i przechodził na jego miejsce.

Tam były suki i błątnyje. ~~Suki to ci co już~~ Suki to ci co już byli nad tymi więźniami, a błątnyje strasznie się gryźli z sukami i odwrotnie. Bo suki kierowały, miały władzę.

Tam na tych wyżkach stali z tymi karabinami, ale idąc nie miało znaczenia, działy się rzeczy straszne. Raz jeden zaproponował mi, żebym zamienił z nim watówkę - moja była lepsza, jego gorsza, ale jak my wyjeżdżaliśmy z tego łagru, to mieliśmy dostać nowe watówki. I on powiedział, że da mi do tego kilo chleba czy pół kilo. Zdziemy tam do niego, żeby on mi dał tego chleba - a tam byli szewcy. Jak skoczyli do mnie z nożami, to ledwo uciekłem, bez tego chleba. Dobrze chociaż że starł watówkę wyrzucili. A nową zabrali i nic nie dostałem.

Stamtąd ludzi odprowadzali do Kazachstanu. Najgorzej mieli ci, których odprowadzali na Kozymę. Transporty bez przerwy przybływały. Ja te dwa tygodnie przeleżałem.

Karmienie było straszne. Strasznie dużo ludzi tam chorowało na tę dyzenterię, na tę biegunkę. Ludzie tam też umierali, ale



nikt nic nie wiedział i nikt nie widział.

Najgorsze transporty przychodziły z tymi błądnymi z Wotkuty. Ci błądnyje znali się po całej Rosji- te największe błądnyje. A te suki nie dawali się. Jak byłem na Kołymie już to słyszałem, że naj tej Buchciewani suki z błądnymi bili się. Noże mieli - skąd oni mieli? Przecież tam gołych wpuszczali! Bit..a skończyła się tak, że strzelali ci z wyszek i nikt nie mógł wyjść na dół. Potem przyjechało wojska parę tysięcy, to jak wskoczyli, rozpędzili to takiej masakry chyba nigdzie nie było. Tam nikt nic nie wiedział - tam bili się jak w kotle, wojskowych bili też, tam nikt nic nie wiedział. Z wyszek też strzelali do środka, tam ich setki nabitych było.

Wiedzą Tajszetem a Eratskiera widziałem, jak jeden człowiek położył sobie rękę na kłocu i obrąbał. Nawet nie zemdlął. Minęło tyle lat- a człowiek jeszcze teraz nie może skupić się, żeby to wszystko opowiedzieć. Po tylu latach nie można sobie wszystkiego przypomnieć.

Na Buchciewani byliśmy przez miesiąc. Jak wyszedłem z tego niby-szpitala to ledwie żyłem. ~~wnixkixkixkixkix~~ Tam ~~pxkxkxkixkix~~ ~~wnix~~ była komisja i mnie dali drugą grupę - tak jak wielu innym. I szykowali do okrętu ludzi. Pędzili do łazni ludzi i golili brzytwami głowę. Wszyscy byli czerwoni, pokaleczeni- to straszne golić głowę brzytwą. Do mycia nie dali wody- tak tylko człowiek rozmazał się i szedł. Dwa dni szykowali nas do okrętu. Okręt na Sachalin plynie i tam się załadowuje. Oni węgiel brali, chleb brali bo to się płynie sześć dób. Były dwa okręty: Buchciewanij i Nachodka. Jęlotysze mówią, że jeden z tych okrętów jest ich: zboże nim wozili, cielaki, tam ani okna nie ma ani nic.

Ja się położyłem na samym dole. Bo w ogóle ledwie żyłem, a okręt jak płynie to idzie tak jak gdzieś na jakąś górę, a po

Bez przyzwyczajenia <sup>32</sup> ~~włażka~~ można było w ogóle stać na tym ok  
ręcie.  
tem do dołu. Morska choroba. A jeżeli człowiek umrze to do nogi  
z ~~kazimiskim~~ numerem,  
przywiązują kawałek deski, nazywają to birka i wyrzucali od ra  
zu do morza. Nigdy nie wieźli trupa na okręcie. A deska dlatego  
że jak ~~xxixixixix~~ trupa gdzieś na brzeg wyrzuci, to jak go  
ktoś znajdzie, żeby wiadomo było kto on jest i skąd pochodzi.

Jechaliśmy osiem dób. Raz w nocy strasznie trąbił jakiś ok-  
ręt, chyba zepsuty był i oni go podczepiali żeby go ściągać, czy  
coś. Chleba mieliśmy na kilka dni. Zupy oni tam gotowali ale  
ja jej ani razu nie jadłem ze względu na to kiwanie. Jeden zny-  
jomy z mojej miejscowości dał mi kawałek cukru, miałem sól i  
tylko z tym przeżyłem całą tę podróż z Buchtywnii do Magadanu.

W Magadanie wyładowywali nas może pięć godzin. ~~xxx~~ To był  
październik 1948 roku. Ustawiali nas po dziesięciu i prosto  
pędzili do Magadanu do łaźni. Tam wszystko trzeba było zostawić,  
całe ubranie. Tam byli Estoncy, łotysze więźci prosto z domów,  
oni przyjechali z walizkami, tam mieli swetry, nie w swetry -  
wszystko musieli zostawić. A po drugiej stronie tam dawali albo  
watówki albo buszłaki. A zamiast walonków dawali takie watowane  
coś. Straszne. Bo to było zimne a zima nadchodziła.

Wak ja wtedy szedłem, to w oczach ciemno było. Byłem po cho-  
robie, tej dezynterii, poza tym tyle dni nie jadłem. To jak  
szedłem, to jednego stuknąłem, to drugiego.

Dali nam <sup>v</sup>czterysta gram chleba razowego. Był on hjak glina,  
ale zjadło się. Jak się dopało do wody, to piło się ile tylko  
było można. Tylko było je-dno pragnienie: napić się wody.

Kapaliśmy się i ubierali, to trwało pięć godzin. Dostaliśmy  
wszystko nowe. Ale sam łagier o d łaźni był jakies pięć kilomet  
rów . I tam nas popędzili.

Łagier miał może dziesięć hektarów. To wszystko drutem ok-  
ręczone, ~~xxxxxxx~~. W tym łagrze były dwa baraki jeszcze okręco  
ne drutem. W obu po pięćset osób. Jak nas przyprowadzili to da -



li nam takiej czerwonej słonej ryby, nazywali ją harbusza. Czło-  
wiekowi chciało się słonego, zjadł, a potem pragnienie- tylko  
wody. Dopóki woda była to jeszcze. Ale później woda wyszła. Krzy-  
czą: "Naczalnik dawaj wody!". A on mówi "Pojedziem jeszcze raz  
(po wodę) wypędzimy wszystkich na podwórko i po jednym <sup>cięcie, pięć</sup> będzie" /?/.  
Po dwóch godzinach przywieźli znowu beczkę. Wypędzili nas z  
tych dwóch baraków i ~~wszystkich~~ puszczają po jednym. Ja  
jak dopadłem do tej wody jako może dwudziesty, to wypić pięć l  
litrów wody. Miałem taką ~~miszkę~~ miskę zrobioną z amerykańskiej  
tuszonki, tam litr zupy wchodził, to wypić pięć tych misek.  
~~Wszystkich~~ myślało się: albo wykończy  
się szyciej, albo co? Ale woda była zimna. Ale nie czułem się  
po tym ani gorzej ani lepiej.

Na drugi dzień podchodzi do mnie taki Zacharow, jeszcze on  
był z Rosji /Rosi?/ i mówi: "Janek, czy chcesz iść do roboty do  
drugiej zony? Tam potrzebują cieśli". Ja mówię: "Jak chcesz, ale  
ja ledwie żyję". A on mówi: "To nic, ja ciebie zapiszę". I zapis  
sał nas dwunastu ludzi.

Na drugi dzień nas tam zaprowadzili w raboczny zonu. Pokoik  
tam był trzy lub cztery metry, mieliśmy tam spać i pracować.

Na Magadanie czy na Kołymie była kapusta- mniejsza niż nasza  
około dziesięciu centymetrów. Tę kapustę się obierało, zielone  
liście były dla ~~niektórych~~ więźniów, ~~buta~~ dla och-  
rany, dla wolnych. <sup>W</sup> Kapustę się ubijało ~~na~~ nogami i były takie  
silosy w których ona była. Kapusta była bardzo ważna bo tam  
chorowało się na cynge. Żeby się ruszały, nogi gniły, w nogach  
się robiły takie jamy. Na cynge dawali też taki wywar z takich  
krzaków, oni je nazywali skanek, to tak jak sosna, nawet zapach  
podobny miały. ~~Wszystkich~~ I obrywali to, gotowali i dawali  
ludziom po szklace przewiwko tej cyndze.  
Tam myśmy byli i pracowali ale tam już było o wiek lepiej.



Bo tam "tranzitka" nazywali. Bo tam bez przerwy samochodami wywozili w głąb Kołymy. A my tak jak już z roboczej zony..I prz chodzili jeszcze do nas i prosili żeby pracować w kuchni. W dzień tu się pracowało a w kuchni trzeba było nożami skrobać <sup>deski,</sup> podłogę, żeby była czysta. Pięciu nas skrobało. A potem na każd dy barak trzeba było policzyć śledzi, bo przeważnie na śniadania nie dawali śledzi.

W czasie letnim, nawigacyjnym, jak okręty chodziły to tam ybiko przeważnie dwanaście, piętnaście do dwudziestu tysięcy ludzi. Jednych przywozili, ~~na Kozymy~~ drugich odwozili z Kołymy. Ci odwożeni z Kołymy byli straszni- to "samoróby", ci co się samookaleczali, odrywali sobie rękę, nogę. Oni tak ratowali swoje życie. Zanim to się zagoiło, to leżeli w szpitalu, żeby tylko <sup>miesiącami</sup> nie pracować, żeby przeżyć, przedłużyć sobie przez ten szpital życie. Wyroków za te samookaleczenia chyba nie dodawano. Wywożono ich gdzieś w cieplejsze miejsca, ~~do Kazachstanu~~, mówią się "na macierik", do Rosji, z powrotem do Chobarska. A gdzie dalej to nie wiem, po całej Rosji w różwozili. Z tej Duchtywani wszędzie wywozili, i do Kazachstanu. Najzdrowsze / najzdrowszych? / to na Kołymę. Ix politycznych na Kołymę.

Tych samoróbów to sporo było Polaków. Znam jednego, młody chłopaczek, spod Lidy, to obwiązał sznurem i zapalnikiem nogę. Zapalił i całe palce mu oberwało. On po prostu ratował swoje życie.

W czterdziestym ósmym roku oni jeszcze nie rozróżniali politycznych i niepolitycznych. Zaczęli rozróżniać tych politycznych od złodzieiów w czterdziestym ósmym albo dziewiątym roku.

Tam byliśmy od września. Po ~~skoniec~~ ~~grudnia~~, zaczęły się już ~~przymrozki i zimno~~ | Jeszcze przed ~~grudniem~~ w stożowce, w roboczej zonie ~~poznałem~~ Polaków, którzy tam byli już po kilka lat. przywieźli z Workuty siedemdziesięciu profesorów. Z wy-

głodu każdy stary, z brodami. Ja siedzę koło stołu, jem, a oni mówią: "Ty znajesz, my tyle lat byli profesorami. Tyle witaminów jest w głowie śledził!" I oni całe te głowy jedli. No co mają mówić? Oni głodne. Z tego głodu. Takie ludzie. Oni byli sądzeni z trzydziestego piątego czy którego roku. I to <sup>takie</sup> inżynierzy i do czego dorobili się? Ale kto uwierzy jeżeli nie widział?

Tak to było do grudnia. A mnie prawdopodobnie już wcześniej gdzieś tam wzywali na wywóz do kopalni na te, jak oni nazywają, pryski, do kopalni złota czy uranu, ale nie mogli mnie tam znaleźć. Pod koniec grudnia znaleźli tę naszą brygadę, przylecieli i zaczęli ładować do samochodu. Ale kiedy ja przyszedłem oni już odjechali, innych wzięli a mnie nie. I od tego czasu już więcej nie odsyłali w głąb Kołymy.

W czterdziestym ósmym roku w grudniu oni zrobili bierkach, to był skrót od czegoś, taka nazwa. Oni nam wtedy dali numery. Ja miałem ~~XXXXXXXXXXXX~~ H-31. Od czego oni brali te numery? Może według tego jaki okręt przychodził? I wtedy odłączyli nas, jak oni mówią, politycznych, do oddzielnej zony. Tam było chyba pięćdziesięciu Polaków. Oni powiedzieli, że niepolitycznym będą płacić pieniądze, a nam, politycznym - nie. Ale za to my skorzystali. Całą zimę nas od grudnia...

Ja jeszcze miałem taką możliwość tam: chodziłem do kuchni i pracowałem. A jak do kuchni się pójdzie i popracuje to tam dadzą - - na pięćdziesiąt przykład - wiadro kaszy. Najlepiej jak była owsiana, bo owsiana to najgęściejsza - i wiadro herbaty. To tam już można było najść się do syta.

Numery mieliśmy na czapkach, na prawym kolanie / wyrzynane był w materiale na spodniach / i na plecach. To był taki numer pięćdziesiąt. Takie paski. To trzeba było przyszywać sobie tak jak Żydzi za Niemców nosili gwiazdę to my musieliśmy nosić to. Tam było najwięcej Polaków i Ukraińców - więzionych na tle



politycznym. Złodzieje co roku mieli amnestię, ale dla nas amnestii nie było. Jak osiem lat przesiedzuałem to żadnej ym amnestii u nich dla politycznych nie było.

Jak chodziłem na kuchnię, to jak były śledzie, ty kilka tych śledzi zjesz, nawet bez chleba, a potem wodę pijesz - i nic. W ogół od tej wody polepszyło się trochę. Tyle wody wypić.. Mogłem już trochę jeść. Ale jak chodziłem do kuchni dawać tych śledzi, potem patrzę - u mnie na nodze postawisz palca - dziura. Takie opuchnięte już nogi byłem. Rzuciłem już chodzić na tę kuchnię. Bo, myślę sobie, wykończę się szybko.

W roboczej zonie była stołówka. I nam dali takie talony - na obiad, śniadanie. Tam poznałem dużo Polaków którzy już tam byli rok czy kilka lat. Oni bez konwoju nawet chodzili do Magadanu i pracowali. Jak dowiedzieli się, że tego, to przynosili kaszy, jedzenia- tam, można powiedzieć, już ja żył. Tyle że to postne wszystko. Jesz- oczy jadłyby dalej. I głodny. Nie mógł najeść się.

Jak to wszystko zapamiętać? Gdyby człowiek jakieś notatki wtedy robił! Ale to niemożliwe. Bo gdziekolwiek się wychodzi- od razu przeszukują kieszenie, wszystko. Ale co by nie robili- to ludzie i tak jak te mrówki. Na wszystko jest ~~znajomość~~ sposób. Na przykład ktoś miał kozuch, wziął sznurek, worek, podwiązał worek kartofli sobie z tyłu, oni z przodu szukają a on z tyłu ~~znajomość~~ ma woreczek z kartoflami.

Ja jeszcze chodziłem żeby zapracować na kawałek chleba, na coś do zjedzenia. Dogadaliśmy się z tymi, którzy nas w tej zonie pilnowali, żeby nas wypuszczali do drugiej zony do pracy. I kiedyś tam przywieźli takich karczów, nie grubych, do rozładowywania. A mróz był chyba ze czterdziestu stopni i wiatr. I jak mnie schwyciło zapalenie w oku, strasznie kłóło, to po kilku godzinach mnie już za ręce przyprowadzili.



Za te ochotnicze wyjścia do pracy miałem tylko tyle, że mi kaszy dawali, bałandy. Bo człowiek głodny jak leży bez roboty, a chce się jeść...

Jak zrobili tej bierkacy, jak numery dali to wszystkich zamknęli do jednej specjalnej zony. W każdym z baraków ludzie leżeli jak śledzie. I pod komendą tylko można się było przewracać, bo leżeli bokiem. Na podłodze całej też leżeli. Tam, ubi kacje, te bec ki też stały w tych barakach. - tam po tej podłodze cały czas chodzili. Na tej podłodze leżał przeważnie naród albo najszabszy - Łotysze, Estońcy, Litwini. Ja sam leżałem na pryczach. Ale co z tego, ~~kaifx~~ kiedy jak wstaniesz, to w piersiach boli.

Z tym zapaleniem woku. Poszedłem do lekarza. Oni temperaturę zmierzili, miałem 39 stopni, położyli mnie w oddzielnym baraku i też na gołych pryczach. Dwa dni leżałem, ale nic. Ani lekarstwa mi nie dawali <sup>ani</sup> nic. Leżałem, leżałem, potem chyba jeszcze podniosła mi się temperatura, byłem prawie bez pamięci. Wzięło mnie dwóch pod ręce i zaprowadzili do szpitala. Tam był w tej zonie taki szpital wydzielony - kilka baraków. Zaprowadzili mnie tam i położyli. Ale co? Lekarstwa żadnego. Tam ludzie umierali ~~xx~~! Napatrzyłem się. Najgorzej było jak koło mnie leżał Łotysz i umierał i zostawił dwoje dzieci i prosił, żeby przekazali, żeby żona patrzyła o te dzieci, o te wszystko. A oni nie dawali żadnych leków, bo nie mieli.

Jak <sup>ego</sup> umarł ~~xx~~ wywozili za zonę w Magadanie to musieli ~~xx~~ go siekierą uderzyć w łeb, żeby stwierdzić, czy na pewno jest umarły. Bo zdarzały się wypadki, że zamiast umarłego uciekał zdrowy. Uciekał za zonę. Pewnie nigdzie dalej nie mógł, ale chociaż parę dni był na wolności.

Ja z tą chorobą leżałem cały miesiąc. Na zapalenie płuc. Na gołych deskach. Mało kto stamtąd już wychodził. Nie wiem czy mi dwa razy jakieś tabletki dali. Bez żadnych leków, bez żad-

nej opieki, na takiej desce.

Po miesiące mnie wypisują. To był już czterdziesty dziewiąty rok. Wtedy jeszcze nie oszczędzali ludzi, Ludzi była tam masa, im wcale nie zależało na ludziach, im nigdy nie zależało na ludziach. Oni mówili tak: "Nawet jak ukończysz srok to musisz się wykończyć. To wykończysz się później". Jak w czterdziestym dziewiątym zawieźli nas dwa i pół tysiąca ludzi do kopalni parę setek, to zostało nas po roku tak mało, że musieli drugimi turnusem nas uzupełnić. Nie było dnia, żeby tam nie było to zabitych to skaleczonych. Bo to żywą siłę brali.

Jak mnie po miesiącu wypisywali ~~tokxxx~~ wprawdzie czułem się trochę lepiej, ~~sk~~ gorączka trochę ~~wpadała~~ spadła, ale czułem się bardzo słaby. I zdawało mi się, że zjadłbym wilka. Nie wyobrażacie sobie, jak po zapaleniu człowiek jest głodny. Jadłby tylko.

A nas, bierzach zaczęli pędzić w góry po ten słannik, po te korzenie. Tam śnieg był do pasa. Ja raz taki słabiutki tam poszedłem. ~~ixkxwix~~ Trzeba było takie dwa karcze wziąć i nieść do stołówki i palić. To podobne do naszego jał owca.

Jak jeden raz tam po szedłem i na drugi raz ledwie przy szedłem, to się schowałem pod prycze, pod te nary. Nie ja jeden taki cwany byłem, inni też. Ja to ze słabości. Ale wszyscy też byli za słabi. I jak znajdą, wyciągną, za nogę ciągną, żeby szli i wypędzają.

Tam trzeba było chodzić codziennie. Chodzili my już dwa tygodnie, aż jeden Łotysz czy Estoniec - nie pamiętam, został i chodził gdzieś tam i zaszedł do naczelnika łagier, do mieszkania, żeby on dał mu jeść. Okazuje się, że on uciekł, a oni nie wiedzieli, bo liczyli i się zgadzało. Wtedy narobili szumu i ustalili, że nas, politycznych nie będą do tego wysy-



żać. Już nas nie brali tylko tych złodziei, tych co nie należe-  
li do bierżachów, nie mieli numerów. I tak nam się polepszyło.  
I byliśmy tam od tego grudnia do dwudziestego maja.

Tam byli Polacy. My wszyscy między sobą już się znaliśmy.  
Za nami był też taki łagier kobiecy. Tam też był taki łagier k-  
kobiecy, było tam kilkanaście Polek, były Ukrainki. Nasze chłó-  
paki tam zaczęli się przepisywać z Polkami, taka znajomość.  
Nie wiem czy katolicka czy grekokatolicka. Dość, że  
Była kiedyś Wielkanoc. ~~Kakizyxkxzax~~ X była zupa. Kobiety przed  
Wielkanocą nie jadły tej zupy i ~~xxxx~~ zaprosiły nas żebyśmy  
przysiali z beczkami do nich po tę zupę. Te biedne kobiety patrzy-  
ły jak my sobie ponalewaliśmy w miski zupy - chy ba po trzy miski  
tej zupy zjedliśmy. A potem jeszcze beczki od nich wzięliśmy. A  
one nic nie zjadły.

Na punkcie przerzutowym w Magadanie byliśmy oddzielnie od  
innych więźniów. Zrobili ten bierżach. W barakach mieszkało po  
pięćset osób. Było tak ciasno, że na podłodze też byli. Na  
dwór ludzi nigdzie nie wypuszczali tylko na ~~xx~~ śniadanie,  
obiad i kolacje. Tam i wody nie było, nie. Ludziom było tak  
ciężko, że po prostu krzyczeli, żeby gdzieś ich wywieść na  
roboty. Bo bezczynność była straszna. Jak położysz się, to ca-  
łe piersi duszą się, oddychać człowiek nie ma czym. Umierali  
z tego wszystkiego. Bo tam było straszne zagęszczenie, w ogóle  
nie było gdzie podziać tych ludzi. Maty - to były gołe deski.  
Pójdzie się na śniadanie i znowu się leży, Taka była cała zima.

Aż przyszedł maj czterdziestego dziewiątego roku. Oni  
wtedy zaczęli już organizować wywiezienie nas z Magadanu. Prze-  
rzucali samolotami. Do samolotu brali po dwadzieścia cztery oso-  
by. Ludzie siedzieli sobie między nogami, jeden między drugiego.  
Konwojstał koło pilotów, trzech bajców. A myśmy nie mogli po-  
ruszyć się, były okna z dwóch stron, ale myśmy nie mogli obró-



cić się do drugiego okna. Max widzieliśmy jak oni jeszcze żądowali kartofle dla siebie z Magadanu w głąb ~~Rusji~~ Korym.

Lotnisko było ~~w~~ aż w ~~Sikozanach~~ Siejczanach. To był maj, po dwudziestym maju. Nie można było inaczej niż samolotami bo rzeka Korym w maju jeszcze była zamrznięta, jeszcze lody nie ruszały, ani samochodami te ~~ż~~ nie można nas było przewieźć. Opowiadali że z Magadanu do Siejczanów jest siedemset kilometrów. Na to lotnisko odbywały się przerzuty z Ameryki i Kanady. Tam lądowali piloci amerykańscy i kanadyjscy, a w głąb Rosji już dalej lecieli piloci rosyjscy.

Ludzie opowiadali, że na Korymie jest strasznie, bo tam żadnej władzy - tajha prokurator - ale w czasie wojny tam jedli biały chleb. Z Ameryki. Całe zaopatrzenie było z Kanady i z Ameryki. Zresztą później jak pracowaliśmy w kopalniach, w wodzie, to mieliśmy amerykańskie kombinezony, zresztą podarte, bo już stare.

Ja słyszałem, że Ameryka po wojnie żądała, żeby Rosja oddała Korym na dziewięćdziesiąt pięć lat. Stalin nie zgodził się, na takie coś i oni wtedy zerwali stosunki. I jak z Ameryki raz przywieźli kartofle to Rosjanie wrzucili je do Morza Czarnego. O tę wyspę czy półwysep, Korym im chodziło. Bo na Korymie nie ma na ziemi uprawnej tylko góry. A w każdej <sup>jakieś</sup> górze ~~są~~ minerały. Najwięcej tam złota, uran i ten kałcielit.

W samolocie wymiotowaliśmy. Tam były takie dziury bezpowietrzne, nagle pięćdziesiąt metrów ~~ja~~ leciało się w dół. Tak tam ~~przylecieliśmy~~ przylecieliśmy to ciężarówka tam już stała i rozwoziła nas. Przeważnie bierząchowców, tych z numerami dali wszystkich na łazo.

Żazo to taka kopalnia kałcielit. A ~~szkawk~~ oprócz tej kopalni była fabryka, która przerabiała ten metal. Piryt, to ruda żelaza, to im było niepotrzebne i to wszystko z wodą spływa-

ko.

Jak nas przywieźli na kopalnię to widok był straszny. Ludzie w kopalni czarni, wymazani. Potem dowiedzieliśmy się, że tam nie było czym się umyć. Ludzie wychodzili z kopalni całi w tym piachu.

Zimą ludzie przynosili sobie drzewo do opalenia pałaków. W kopalni drzewa było bardzo dużo. Z drzewa robili takie razi-  
rieły w kopalni, drabiny. Łaziło się po tym. To się robiło tak, że młotkiem kuło się skałę, z jednej strony i z drugiej, zabiło się i nawet jak odstrzelivano potem rudę czy coś, to wiele tych drabin to przetrzymywało. Niektóre nie wytrzymywały, ale inne tak. Ci co chodzili za tym nazywali się krapilszczyki.

Weszcze przedtem, na drugi czy trzeci dzień po przyjeździe mieliśmy komisję- co, kogo, gdzie przydzielą, do jakiej brygady. Najzdrowszych robili wiertaczami, to się nazywało borusik. Taki borusik nie wytrzymywał przy wierceniu więcej niż dwa lata. Po dwóch latach u-mierali. Bo tam nie było żadnych masek i wiertacz połykał cały ten kurz. Bo ten kastaeryk jest szkodliwy na płu-  
ca. Pó-<sup>z</sup>niej, w ostatnich latach to oni zastosowali wodę, już później tego kurzu nie było. I nikt nie chciał iść do tych borus-  
ruschczyków. Po ludzie widzieli. Każdy wiedział, każdy mówił. Ludzie po prostu niknęli w oczach, robili się nie do poznania, jak paluszki. Zdrowe chłopaki. ważył<sup>o</sup> osiemdziesiąt kilo czy ile- potem ważyli pięćdziesiąt, czterdzieści.

Jeżeli taki człowiek już ledwie żyje to mu dawali wtedy ta-  
kie ope, na miesiąc. Miesiąc nie pędzili go do roboty. Karmili  
nie za bardzo takiego, ale jak człowiek młody, to poleży trochę,  
poprawi się i z powrotem do tej samej roboty.

Ja znalazłem się wśród takich strateli. Zrobili taką  
brygadę z dwunastu ludzi. Jak pierwszego dnia zawieźli nas do



kopalni to był straszny widok.

Był taki Isaak Isakowicz. U nich to nazywało się dziesiątyj. Brygadzysta czy majster- taki majster. I nam on pokazywał co my mamy ~~zkxxxx~~ zbierać i jak zbierać. To była ruda błyszcząca, ten piryt, miedź w tym i ten kastieryt. Ten kastieryt jest taki że jak żyły szły to miał centymetr grubości. Były też mniejsze żyłki. Tak go świdrowali i zostawał. A my my mieli wybierać to co porzucone. Po tych skażach, po tych p ustych blokach, łaz i liśmy, musieliśmy wybierać ze skał, co tam zostało, ze ścian wykuwać. A on siedział i nam cały dzień pokazywał. I ciągle mówił- ten kawałek niedobry, ten niedobry, ciągle coś odrzucał. "a zorientowałem się , że tu coś nie tego i z powrotem te kawałki zacząłem zbierać. A o n: "ten dobry. Ten dobry". Skapowałem się, że te wszystkie kamuszki to wszystko jakiś metal jest. I m On też się nie orientował czy to dobre czy nie. musieliśmy zbierać jaki jest. Dp worka, a potem wysypywało się do wagonu. W tych wagonietkach było ~~dx~~ osiemset do tysiąca kilogramów.

Te kawałki wyglądały tak jak siarka i miały taki zapach jak siarka w zapalkach. I błyszczące. Był takikamień, jak oni mówią "paroda, też podobny, tylko lekki. Najwięcej było pirytu. Ale im to było niepotrzebne, bo mówili, że na uralu czy gdzieś to oni ten piryt koparkami kopali. Był jeszcze taki metal co zarówno wyrabiają , takie włosy- tego też nie chcieli.

Tego roku oni zrobili na łązo fabrykę. My dziennie jak wybraliśmy wagonek to już było dobrze. Na razke tej fabryki nie uruchamiali tylko robili zapasy. Tam były takie maszyny, na żywa ży się młyny, i one kruszyły te kamienie na mąkę, na proch. Potem puszczały to na takie taśmy i stoły. Stół miał cztery metry długości i półtora metra szerokości. Nabity był taki m rodzajem gumoleum a na tym nabite były jeszcze takie listewki. I jak na to szła ruda, to woda wszystko zmywała. I najpierw szedł ópiasek, potem



ten piryt a na końcu ten kałcieryt sam. Tam wiaderka stało i do tego wiaderka wszystko sphywało. Ale to małe kropelki można powiedzieć.

U nas na tej kopalni było dwa tysiące pięćset ludzi, razem z personelem. Personel to też byli więźniowie. Administracja to też byli zakłuczeni. Tylko ochrana, bajcy, ~~ta~~ naczelnik łagiera to byli ludzie wolni. I jeden lekarz, pozostali lekarze to więźniowie. O jednym mówiono, że nawet był jako lekarz w Oświęcimiu. To był Rosjanin. W Oświęcimiu Rosjanie też byli - własowcy czy jak.

Najgorzej mieli ci, co pchali wagoniki. Do wagoników wchodziła tona czy osiemset kilo rudy, a potem te ~~karzy~~ były zawałone piaskiem. I z tego sypało się i oni co raz to po ziemi pchali. I tylko jeden musiał pędzić. Pędziło się tę wagonkę kilometr, może dwa kilometry. To było strasznie daleko. Przez tych dwanaście godzin tylko kilka tych wagonów, one się nazywały japońki, można było przepędzić.

Ludzie co i raz dochodzili, to znaczy wykańczali się /stad powiedzenie "dochadziaga"/. I jak przez rok pracowali w kopalni, to potem już tam trzeba było dać nowy kontygent. Tam było gorzej niż na froncie. Nie było dnia, żeby nie wynoszone albo trupów a albo poranionych. Bo brali żywą siłę. Nie było żadnego bhp, nie patrzyli, że tam z góry leca kamienie, wszystko się wali. Stempelki wprowadzie używane... Tam były takie horyzonty, jak oni mówią. Jeden od jednego - pięćdziesiąt metrów. Dwa metry grubości zostawało tej całej rudy, tego wszystkiego. Oni nie ruszali, wagonki po tym pędzali, takie twarde. A pięćdziesiąt metrów prześwidrowali i to wszystko, ... Takie bloki, jak oni nazywali, pięćdziesiąt metrów, jak żyła <sup>żyła</sup> idzie.

W tej kopalni zorientowałem się, że tak jak u człowieka ży-





to może nie chciał uciekać - i potem łapali i wsadzali do więzienia. Ale im trzeba było pracowników, którzy by te wszystkie czołgi robili, a to najwięcej tego na Syberii produkowali. Ja nie wiem, dlaczego tylu jeszcze ludzi było w tych obozach z czterdziestego pierwszego roku - i to żołnierzy, którzy w ruskim wojsku byli.

Ludzie pracowali za darmo, tylko za ten kawałek chleba. Teraz tysiąc złotych nie tyle wart co ten kawałeczek chleba. Jeżeli w kopalni wyrobiło się sto pięćdziesiąt procent, to dawali nawet kilogram chleba. Ale co ~~wzi~~ z tego, skoro nie było do tego zupy. I to wszystko głodne chodziło. Zjesz kilo, a oczy jeszcze jadyby i jadyby. Potem na Kołymie dawali "zaczoty". Jeżeli ktoś wyrobi sto pięćdziesiąt procent, to będzie ~~wraz~~ nawet dzień za dwa. Ale nikt nie wierzył. Ludzie pracowali tylko aby tak - aby wyrobić tę obowiązkową normę, sto procent i dostać sześćset pięćdziesiąt <sup>gramów</sup> chleba, aby żyć.

Ale dobajali ludzi moralnie. Jak wypędzali do tych kopalń to liczyli kilkanaście razy. Potem jak przychodziło się z powrotem to dziesięć - razy liczyli, ~~jak~~ często się nie zgadzało bo gdzieś jednego wypuścili, to potem nie wiedzieli gdzie go wypuścili, a musiało się zgadzać - i to pokilk<sup>as</sup>acie godzin ludzi stali i oni ich liczyli. Latem - to jeszcze. Ale zimą, na takich mrozach. Ja sam miałem podrażniane nogi, ludzie też.

Ludzie obrywali sobie ręce, nogi, żeby nie pracować, ratować swoje życie. W kopalniach mieli takie sznury, to tak zakręcali - za nogę, za rękę, ta palec - aby oberwać i nie pracować, iść na chorobowe.

To ile się dostawało chleba zależało od brygadzysty - jak napp<sup>sz</sup>e. Czy wstawi więcej lipy czy nie. Bo przecież jedną robotę można dziesięć razy wpisać. I tak było. Bo musowo człowieku dać kawa



łek chleba , żeby on żył, nie umarł od razu.

Weszcze jak byliśmy w Rosji na samych początkach, w Carzie, to my zrobili my tam jedną brygadę z samych Polaków. Nas było dwudziestu czterech. Ale brygadziwą był Rosjanin, Paraszkura , lejtnant rosyjski. Też miał dziesięć lat. Ale on nas wykończył w ciągu dwóch miesięcy. Bo śmiał wpisywał nam najmniejsze porcje chleba, trzysta, czterysta gram. A myśmy pracowali po dwanaście godzin i nie wyrabialiśmy planu. A innym wpisywali więcej. Oni tak specjalnie robili :ot wszystkie Palaczki zebrali się i ich trzeba umorzyć. Oni Polaków nienawidzili. Tam bardzo dużo było wojskowych. Oni strasznie byli na Polaków złe, a my na nich. Oni mówili, że jak prz chodzili przez polskie ziemie to z nimi złe się obchodzono, wspominali jeszcze nas sprzed pierwszej wojny światowej i że pod Warszawą deliśmy im w kość, rodzice ich jeszcze im opowiadali. Ale byli też i dobzy Rosjanie- jak wszyscy ludzie wszystkich narodowości. Myśmy tam dwa miesiące pobyli i wszystkie h nas potem porozwozili na te op, po tych, jak oni mówią, sowchozach. Bo chleba po trzysta gram, a zupa to sama woda.

Na Kołymie był taki okres, że nawet zrobili taki zespół - wychodzą na rozwały te, grają. Przychodzi brygada, która ma najwięcej procent czy co- znowu spotykają ją i grają.

Opowiadali potem, że na Kołymie kiedyś były takie czasy- nie wiem, w którym to roku, że jak przy jeźdzał jakiś generał czy coś, to jak które normę wypełniali, to też tam ich zabijali. A które drugi dzień, jak które nie wypełniali, też ludzi wybijali. Ale to przy nas tego nie było.

Jak nas wypędzali do kopalni, to wszyscy szliśmy po piwciu i pod ręce. Jedna ręka , lewa, musi być z tyłu, żebyś ty się nigdzie nie poruszał. Nawoj krzyczy, że bez upraszdienija szac

w lewo, szach w prawo i od razu strzela. Jak tylko coś gdzieś w bok, zastrzeli ciebie, nie nie odpowiada. Bo taki u nich rozkaz.

Jednego razu pędzili naszko kopalni i komary były straszne. Tylko machnął ręką, komara odpędzić, zaraz zobaczył i zaraz wywalił, od razu kajdenki nałożył i musiał iść w kajdanek. Bo to tylko pod ręce chodzili.

Kto nie był - to nie uwierzy. Ja sam, to co przeżył i ludzie przeżyli - to nie uwierzę teraz. Jeżeli pięćdziesiąt stopni i pod planek spać, leżeć - to jest nie do pomyslenia. Zupy tam w tej palatce tam gotują czy co i przyjdź tam, póki ten kociołek tam, pół litra czy ilek tej wody wleje, póki dojdiesz do tego baraku, wezmiesz, wypijesz i już nie ma.

Lagier Łazo to u nas mówili "internacjonal". Ludzie byli wszystkich narodowości z całej Europy. Z Azji - to najwięcej. To wszystko bierliach. Wszystko z numerami. Jak oni mówili - polityczne. Jakie tam polityczne! Byli polityczne, ale jakie polityczne! My, jako akowcy, polityczne takie. Czy my byli takie polityczne. Oni mówili: największ wrogowie Sowieckowc Sajuza. Tyle nbyło. Jugosłowianie, Czesi, Rumuni, Węgrzy, Japończycy, Chińczycy - wszystkie narodowości. Nie mówiąc o Litwie, Łotwie, Estonii. Czesi - stak samo jak my. Jak oni zajęli, to Czesi się sprzeciwili. Z Jugosłowianinem rozmawiałem. Był taki. Filipowicz. Sprytny chłopaczek, młodziutki, jako partyzant. ~~Oni nienawidzili Rosjan.~~ Oni nienawidzili Rosjan. I wielu Jugosłowian spotykałem. Jeden to był inżynier. To było też na Łazo. On w Magadenie był. Sam opowiadał. On był konstruktorem łodzi podwodnych. Oni chcieli, żeby on plany im dał. On nie dał. Wywieźli go na Nową Ziemię. Na Nowej Ziemi. A mówiono, że tam człowiek dłużej niż sześć miesięcy pracować nie może. On też tam dwa czy trzy miesiące był, przywieźli go z powrotem. Ale już tylko siedział koło tego baraku.



Miał około pięćdziesięciu ~~lat~~ pięciu lat. I mówi: wszystko jest no, ale nie dałem im planu. On był w Magadanie. Jak oni się nie zgodził dać im planów to go wywieźli na Iazá i potem na Nową Ziemię. I potem z powrotem przywieźli, i jak on już nie tego.

<sup>Niemców</sup>  
Czechów, Węgrów, Rumunów, było bardzo dużo. Oni jeszcze z tej armii, walczący przeciwko Rosjanom, potem ich sądzili. Nazwali nas "internacjonal" bo każdy, ze swojej narodowości zbiera się i rozmawia. Nawet spotykało się Hiszpanów. Bo jak w Hiszpanii rewolucja była w t trzydziestym piątym roku, jak oni między sobą. Wtedy byli tam Rosjanie-komuniści i komuniści hiszpańscy dali im swoje dzieci i wysłali do Związku Radzieckiego. I w Związku Radziecku, po piętnastu czy po kilku latach oni ich posadzili.

<sup>rosyjskie</sup>  
Najgorzej było, jak <sup>rosyjskie</sup> dzieci mieszeli z dorosłymi. Bo takie dziecko, dziesięć, dwanaście, piętnaście lat, ~~zadachadix~~ jak się dowie, że ktoś ma machorkę, to przychodzi i prosi, żeby dać mu zapalić. I jak się mu nie da, to takie dziecko pada i krzyczy, że zostało uderzone,. Potem przylatują: "Cóż ty małego bijesz?" - i do karcera. Te dzieci były bez matek, bezprizornyje tych dzieci dużo było. I tospecjalnie ~~z~~ po tych męskich obozach je dawali.

Na Iazo w kopalni był taki Staszek, syn inżyniera ze Lwowa. Mówili na niego maminaynek. Spokojny chłopaczek. Ale nie chciał iść do kopalni. Miał jakieś dwadzieścia lat. Zawozili go do kopalni, a on, wszystko jedno wyjeżdżał. Szedł do karcera. Taki twardy był. On wolał ciężkie ustępy. Zimą to kół. To straszne, bez przyzwyczajenia to nie można. On mi nieraz mówił: "Jenek, chodź". Bo jemu w tej stołówce dawali kaszy więcej, to on przyniesie, nastawi, ale pomóc jemu nie chodziłem. Bo to ubranie potem śmierdzi. Tam do niego chodzili Łotysze, Estońcy, zimą to łozem wykuwali to wszystko. Ochlapie się tym człowiek, a

potem jak to się rozperzy, to smród - to straszne. Ale tej kaszy on mnie często dawał. Jak mnie zobaczył "Chodź, Janek, chodź, mam dużo kaszy". Bo on z dziesięć tych misek nabierał, jak ludzi nie ma to rozdaje. Bo na kuchni jak tego jest, to było. A zimą, jak ludzie umierali, to ~~ex~~ zakręcano je w te trupy w przescierało i on je wywoził i kładł na sanki i wna konbaze, tak to nazywali. W śnieg tam zawalali bez żadnych trumien, bez niczego. Trumny zaczęli robić dopiero po śmierci Stalina.

Dni wolnych w zasadzie nie dawali. Tak raz w miesiącu dali, to trzeba było iść coś sprzątać u tych bajców, nawet naczyinia zmywać. Czasem oni mieli jakąś rybę dla psów, to coś skombinujesz czy poprosisz, żeby dali, schowasz kawałek jakiejś ryby lub ukradniesz od psa.

Na łązo Polaków było co najmniej pięćdziesięciu. Spotykali się na prawnierkach, jak oni liczyli nas, dwa razy dziennie. Najwięcej było Ukraińców - z naszej Ukrainy, Łotyszów, Estońców i Litwinów. Najgorzej mieli się Estońcy i Łotysze. Najzdrowszy naród - najwięcej padał. Dla nich trzeba było więcej jedzenia. To wszystko takie zdrowe chłopcy - to padali jak muchy. Natomiast Polacy i Rosjanie to mniejszy naród i wytrwalszy. Chociaż Polacy, ~~XXXXXXXXXXXXXXXXXX~~, nasza inteligencja też nie dawała sobie rady. Do roboty jak ich zmusili to oni po prostu nie dawali rady. Po prostu z wycieńczenia, z moralności bardzo dużo umierało. Mniej odporni byli. Mniejszą mieli odporność psychiczną.

Ze mną był taki Urban. On przed wojną, jak mówił, był nawet adiutantem Piłsudskiego aż dwa tygodnie. Potem w Ministerstwie Spraw Kolejowych Wileńszczyzny. Jemu też dali dziesięć lat, ale chcieli żeby on im donosił, co się dzieje w łagrach - o co mówią, co robią. On się na to nie zgodził i do mnie po prostu przyszedł, mówił: "Ja nie byłem i nie będę". On w tej fabryce w biurze pracował. A tam Litwin był chlebarcesce. - tym, który wydawał chleb.



I on chodził do niego ~~grać~~ w szachy. A jak wracał to od razu przy  
nosił od niego z pół bochenka chleba. A sam, jak dostawał swoją  
pajkę to oddawał nam. Ponieważ on fizycznie, <sup>nie</sup> pracował to potrze-  
bował mniej jedzenia. Ale to zdrowy człowiek, z carskich szkół,  
on w Leningradzie się uczył. Miał już około sześćdziesiąt lat.  
Dawno nie żyje. On mówił: "Jak przyjeżdżem, to ja za ciebie  
córka swoją oddam". <sup>Tak się z nim myliliśmy</sup> Miał tylko jedną córkę. On ~~z~~ przeżył. Ale  
połedtem, jak go rzucili do pilowania lasu, pilował ze dwa czy  
trzy miesiące, to doszedł, wykończył się. Jak go z powrotem przy-  
wieźli to taki był wymarniały, że już ledwie chodził. Ale przeżył.  
Jego szwagier był sędzią w Warszawie. I jemu przysiali wyzew,  
a potem mnie jako synowi. Jak przyjechaliśmy to córka już wysz-  
ła za mąż, zrobiła doktorat nawet.

A w tym lasie strasznie dużo było wypadków. Raz byłem cieślą,  
karpiliszczykiem. Było nas dwóch. Oni do góry przebijali osiem-  
dziesiąt metrów, a my musieliśmy zabijać te rozstricki, jak oni  
mówią. I tam musieliśmy zabijać te dziury po tych rozstrickach.  
A tam były rury, bo oni to swidrowali powietrzem. Powietrze z  
góry dawalo i ~~zxxx~~ z dołu dawalo. A gaz w środku trzymał się.  
I my dwóch wleźliśmy w ten gaz i straciliśmy przytomność. Było  
tak słabo, słabo, ~~xxxxxxxxyxxxxxyxxxx~~, ja myślałem sobie: "Od-  
poczne". Siedzę, a ręką trzymałem się za rurę, to było może  
dziesiątka, ta rura, co dawala powietrze. Myślałem: "Odpoczne, a  
potem pójdę dalej". Niestety zasnąłem. Natomiast mój drugi kolega  
przeskoczył do góry, potem opamiętał się, krzyczy: "Janek,  
gdzie ty?" Ja odpowiadałem sobie "Ja już gotowy". Ale jeszcze miałem  
przytomność. Zobaczyłem, że na kasku te lampy karbidowe nie świe-  
ca się - wyrwane czy coś? Ale trzymałem się tej rury, a ręka sztyw-  
na. On nic nie mógł mi pomóc bo sam tym gazem zatruł się, ale  
szukał pomocy. Ale kto miał mi pomóc? Ludzie słabi, a to trzeba  
było zejść jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów byłem od tego

twardego gruntu. To przyprowadził jakiegoś borilszczika - jedne go z tych, co rozprawali. To był litwin. On przyniósł sznur i mnie na tym sznurze spuszczał. Ale ja już tego nie wiedziałem bo byłem nieprzytomny. Ile tam byłem - godzinę, dwie - też nie wiedziałem. Rękę mi oderwali od tej rury, bo była taka zeszywniała. Spuścili na dół, dmuchali jakim powietrzem od tych rur - nic nie zrobili. Potem lekarza sprowadzili. Ile to czasu trwało, nie wiem. Mówili, że dali spirytus jakieś na satyrny. I mnie obudzili. Jak długo mnie budzili to też nie wiem. Wrzucili na wagonkę i wywieźli na powietrze. Na powietrzu poleżał - odeszło. Do zony jak pijany poszedłem. To jakaś boska siła. Na tym samym wiecie już być i odczucie. Ludzie wykanczali się jak tylko trochę się zatruli gazem. To był gaz od wybuchu dynamitu, taki trujący. A jak mnieś zaprowadzili do łagru to nawet zwolnienia nie dali - na drugi dzień znowu do roboty.

A miesiąc później...

~~Przez~~ To było już w pięćdziesiątym drugim roku. Ja cały czas na tym łazie byłem. Tam przywozili czasami filmy - ale bardzo ocenzurowane, o tym, jak to dobrze w kołchozach, jakie krowy ładne. I mnie wywołują. Ktoś powieziak, że ja chciałem z tego łagru uciekać. Zawieźli mnie na trzecią fabrykę. Tam ten kascie ryt kręcił się w takich beczkach czy w takich wannach i ten sam piryt, niedź. I w górze zbierał się z tego szum. I ten szum trzeba było zbierać i wylewać, żeby szło z wodą. Ja popracowałem z miesiąc czy dwa i strasznie mi zaczęło w piersiach sciskać. To od tego gazu, bo to gaz trujący. To dali mi i na pracę.

Do pięćdziesiątego trzeciego roku nam w ogóle nie płacili pieniędzy. Mówili, że nam, białochom, w ogóle się nie należy. Bo w innych kopalniach, gdzie byli ci p białnyje, to tam im płacili, ale u nas w łazie to sami z numeru i, to nam nie płacili w ogóle.

Po tych dwóch miesiącach na trzeciej fabryce to dali mi dru-



ga robotę, lżejszą. Tam na trzeciej fabryce to praca była lżejsza niż w kopalni. Bo tam cała ruda z łazi szła do fabryki a fabryka przerabiała na ten kascleryt. ~~max~~ Był taki szesty odcinek. Tam zatopili kopalnię, bo tam woda z boku wyrwała taką dziurę jak głowa człowieka. Tam na dole na dwieście pięćdziesiątym metrze stało pięć motorów. Jeden - to ważył dwie tony. I one przrzucały tę wodę, ale jak taki motor się zepsuł... więc potopili to wszystko. Połowa kopalni była zatopiona. I nam potem dawali takie kombinezony, amerykańskie, żeby zanurzać się i te motory wyciągać. Ale nie daliśmy rady. I w ciągu miesiąca zatopili całą kopalnię. Nie doszło czternaście metrów do góry. I stało. Potem przywieźli taką pompę czeską, co pomocwała sto metrów na godzinę. I pompowali trzy miesiące. Grodzili, żeby zatrzymać tę wodę - bo kopalnia była na wysokości rzeki. Oni grodzili glina, z betonu robili - ale i tak woda na około wypryskiwała. To potem na dole przekładali rury, żeby woda schodziła po mału, a tam zabezpieczali, żeby coraz więcej tych zapor stawiać, żeby wodę zatrzymać. Tam dużo ludzi potruło się gazem. Woda podejmowała się w tych, jak oni mówią sztreki i tam jakieś dziesięć centymetry do góry powietrze nie mogło, powietrze wytego. I powietrze wstrzymywało i woda ta wstrzymywała się. I ten gaz!

Jeden raz jeden poleciał, żeby odkręcić wodę, ~~max~~ kran, bo był zakricony - żeby odkręcić, żeby woda schodziła tam. On poleciał, zaczął odkręcać kran i coś długo go nie było. Może z pół godziny. Co za cholera?! Tam nie ma ~~ka~~ ... Poleciał drugi. Drugiego nie ma. Minęło przeszło godzina, może więcej, a ludzi nie ma. Trzeci poszedł. Czwarty. Wreszcie poszedł górnik z Donbasu, Rosjanin. On schwycił koszulę w zęby, namoczył i poleciał. Jak on tylko doleciał to widział, że te wszystkie już martwe, to odkręcił kran, co tam daje powietrze. I powiedział, że tam

są takie warunki, że już tanci nie żyją. Coś dziewięćdziesiąt procent trującego gazu było i oni się poturli. Ale to na porządku dziennym. Tam nikt nie g tego.

W tamtej kopalni temperatura latem to taka nie tego, bo to nade głęboko było. Natomiast tu na razo latem może pięć stopni ziarno było. Ale czymbardziej w głąb, tym cieplej było. Na samym dole deszcz lał się ze ściany. I jak wyjedziesz zimną na powierzchnię, to nazywali sztolnie, jak wyjedziesz tym, windą taką, to jak na dworze pięćdziesiąt stopni mrozu, to w tej sztolni tam ciepłe powietrze, a tutaj ziarno, jakieś siedemdziesiąt. Tylko jak wyjedziesz to te kombinazony od razu robią się sztywne, zamrożone. Latem też jak wejdiesz w tę sztolnię to takie zimno, taki wiatr. Bo tam była po-przebijana na same górę wentylacja.

Natomiast w tej kopalni jedni przebijali się na górę, ale tak po cichu. ~~Skraxixixxaxie~~ To byli wolni, którzy odpalali te sztreki, jak oni mówią, odpalali tę rudę. Oni przynosili konserwy jakies tam, to to, to to i szykowali się do ucieczki. Tam był taki warsztat slusarski i nawet potrafili tam granaty robić. Granaty robili z puszek do konserw. Tam dynamitu nakładali, lont podrabiali. To trwało kilka miesięcy. Szykowało się do ucieczki pięćdziesięciu ludzi. Ale u jednego z nich było załamanie psychiczne, po prostu nie wytrzymał. To było beznadziejne. Myśmy chcieli uciekać na Alaskę. Alaska była rosyjska i amerykańska. Tam było siedemdziesiąt kilometrów przestrzeni, tam można było na tych kłocach drzewa i tam przelecieć.

Ten, który się załamał, to był taki Rutkowski, gdzieś z Ukrainy. On prawdopodobnie był w polskiego pochodzenia. I on do końca, że mają uciekać. Co oni zrobili wtedy szumu! Przez dwa dni nikogo nie wypuścili z łagru, wszystko przerzucili do grój nogą



mi. A tam w łagrach już noże były porobione i takie różne zabezpieczenia. I to wykryli, tam im jeszcze poddawali sroki, wyroki, Tam było dużo Rumunów, pułkownicy...

Natomiast druga paczka która się szykowała to było dwunastu pilotów. Oni mieli zamiar dostać się do Simczanów, to było pięć dziesiąt kilometrów. A tam w Simczanach były samoloty. Chcieli obezwładnić straż i samolotami uciekać. Leż nic z tego nie wyszło. Nie wiem, czy ich rozwalili czy co, w każdym razie wykryli.

czy gdzieś

Na Nowej Ziemi było bardzo dużo złota. Tak opowiadali. Tam chodzili, za drut się trzymali takie zawieci, to trzeba było po linkach chodzić. Złoto tam pod śniegiem czy co wydobywali. Natomiast tu, w negadańskim <sup>z moich miejscowości</sup> jeden mój kolega był na tym prysku, - oni rzucają prysk złoty. Pięćdziesiąt centymetry z góry zdejmują się takie dziarno czy coś, po tym idzie taki piasek. Piasek błyszczący spychali spychacze na takie hałdy, potem stały transportery i na ten transporter rzucali to łopatami, ono potem szło na te stoły i myło się tak samo jak ten kaścieryt. Takie same stoły. To trzęsie się, leją wodę z kranów i piasek oddzielnie a złoto zawsze koło samej wody idzie. Ten kaścieryt to było coś związane z Uranem Bo nie brało ani kwasy - oni rzucali i wszystko zjadało, piryt i to wszystko zjadało a kaścierytu nie. A potem ten kaścieryt do pieców dawali. A piecach pali się taka temperatura. Jak jego miesza się to tak jak wodę, a potem wychodzi takie czarne ziarenka i nie nie brało. I mówili tylko trzydzieści trzy procent to za tego, co im potrzebne. Ten kaścieryt to w trzy worki przeważnie nasypywali po pięćdziesiąt kilo. Boje jeden worek porwie, się., jest jeszcze drugi i trzeci. żeby się nic nie zmarnowało. Potem na samoloty i do Chebarowska odstawiano. Tam mówili że złoto i kaścieryt i uran są po jednej cenie - siedemdziesiąt tysięcy czy coś kosztował kilogram. To był pięćdziesiąty drugi rok.

Tam pięćdziesiąt kilometrów czy dwadzieścia kilometrów była kopalnia Kamion. Tam wydobywali, uran. nasze chłopaki. To tam jak na samą górę wykazili, jakieś dwa tysiące metrów nad poziomem morza, to krew z nosa leciała.

U nas opowiadali, że na Korymnie kiedyś jedną kopalnię zawalila się z ludźmi, ze wszystkich. Nawet oni jej nie odkrywali już i nie próbowali. A ile tam ludzi było to nie wiadomo. Ale to już lata wstecz.

Tam rdzenna ludność to tylko była Irutyx Jakuty. Takie czarne, nieduże, dzikie. Ale oni białych, Rosjan bardzo nie lubili. Bo oni im zabrali renifery. To oni mieli tam po dwadzieścia tysięcy. Oni tylko z tego żyli. Rybę - i tym wszystkim Sami nie mieli nic, to skórę niedźwiedzią robili, kładli się w śnieg i tak spali. Teraz to wszystkie te pokolcowane - tam tylko przędział jest jednego dwa czy pięć zabić na miesiąc czy na rok - jaka rodzina czy jak to wszystko - a przewozili im krupy jęczmień i tym żyli.

A tu - jak oni mówią - rańwiedka. Takie co szukają różnych metali w tych górach, to każdy gdzieś podpatrzył i zastrzelił tego renifera, jelenia, jak oni mówią. I zje. I oni patrzą, że bardzo dużo nie tego. Oni potrafili rozpoznać dwadzieścia czy ileś reniferów. To opowiedeli, że w którymś roku bardzo ud dużo uciekło do Chin przez granicę.

Z tym złotem było też tak samo. Bo oni t. z każdej kopalni, z każdego odcinka mają odcień tego swojego złota. I tam nie można aniżeba złotego wstawić. Nawet ci co mieli swoje złote zęby to sobie powyrwali i posprzedawali za kawałek chleba. I oni mieli takie maszyny, że jak wezmiesz coś, nawet jak pokniesz, to przedwielką i zaraz znajdą. Nawet nie interesowali się czy to złoto można tam wziąć czy co. Po prostu jeszcze byli, nawet i u



w kopalni złota też opowiadał w ogóle, że jak oni mówią, dla tych którzy w kęgrze, jak u nas mówili: "pryduki", to każdemu tam trzeba było na miesiąc dać ile tam - dziesięć deko czy ile czysto gram czy ile ~~xxxxxx~~ /?/ tam trzeba iść pracować dzień czy dwa. To on da tam komu paczkę chleba i jemu tam /namuje?/, że to on tam użył tego złota czy tego kascierytu. W każdej kopalni tak robili. Takie coś w rodzaju kępówki. A tutaj człowiek głodny to chociaż za ten kawałek chleba chociaż spożyje.

Weszcze nawet u nas w kopalni mówili, że kiedyś na łazę były takie czasy że tam był jakiś japoński szpieg czy coś to też przyjeżdżali patrzeć, że tu brygada jedna wypełnia, druga nie wypełnia. To tych rozstawili raz, co nie wypełniali, cała brygadę, drugim razem tamtych.

U nas też był taki zespół, co grał. I jak brygada któraś wypełniała plan to im grałi, która nie wypełniła to im nie grałi i oni byli na czarnej desce, że nie wypełniają.

W pięćdziesiątym drugim roku byłem w kopalni. Już nie zbeuraliśmy workami ale trzeba było wagonami. Ale też kazili po tych tego w ogóle zewalało nas. ~~xxxxxxxxxxxx~~ Nas było dwadzieścia ludzi, taka brygada. W nocy pracowali. I ja sam taki unęczyłem byłem. I usiadłem pod ścianą. Kiedy oberwała się jaka skała. Tam stała drabina. Gdyby nie stała, to by mnie na miejscu zabiło. A tak po tej drabinie - i uderzyło mnie: głowę rozbiło, nogi połamało - jedną nogę i głowę. I we czterech oni mnie nie mogli wynieść stamtąd, tacy byli osiabieni, przemęczeni. Ja wtedy ważyłem ze czterdzięci pięć kilo, nie więcej. A normalna moja waga siedemdziesiąt kilo. Ale czułem, że jeszcze mam siłę. Bo ci Łotysze i Litwini słabi. Ja ze nich więcej do wagonów nasypywałem. Ale tak unęczyłem się. Oni światła już nie mieli, bo były te akumulatory. ~~xxxxxxxxxxxx~~ taki pas i ~~xxxxxxxxxxxx~~ światło. A ci, którzy pędzili tę rudę to takie atkaczyki, to

oni mieli karbidówki. Karbidówki wieszano się na wagonce.

U nas raz ten odpalacz zerwał się. Jak oni mówili zrywnik.  
dynamitu

On niósł osiemdziesiąt sznurów z kapslami i tyle karbidu. A kar-  
dynamity  
liski dynamitu  
bity były tak jak świece, Bo jak świdruje metr, półtora czy dwa.

I jeszcze dwóch ślusarzy pomagało mu. On tam przynosił im trochę  
żarcia, trochę tego, to już jemu pomagali, bo on nie zaniósłby  
tyle ~~kilogramów~~ kilogramów na plecach. Jak doszło do tego, że  
on spowodował wybuch? Było pięciu wiertaczy boryszczków. Z ty-  
mi teleskopami. Jak zerwało się - to wszyscy już poza szachtą  
słyszeli. Cała szachta zatrzęsała się. Przecież dynamit jak się  
podpali, to on się nie pali - więc dlaczego wybuchło? Wszystkich  
ludzi w ogóle rozniosło. Cały ten sztręk, jak oni mówią, wszyst-  
kich porozrywało. Tam nic nie znaleźli, ani nogi. Potem jak ruda  
była, cały zbiornik, to myśmy potem wypuszczali, to moga, to rą-  
ka gdzieś wypuszczają się. Cała krew była po tych ścianach.  
I nikt za to nie odpowiadał. Byli najstrzy odpowiedzialni  
za to wszystko, ci co /rozstawiali?/ robotę - ale nikt nie odpow-  
wiedział.

-am - jak na froncie. ~~xxxxxxx~~ w ciągu roku  
ludzie się wykarczali. albo z wycieńczenia albo z wypadku, albo  
oberwało rękę lub nogę, zlamali coś.

jak mnie wtedy zawalilo to mnie przynieśli do łagra i potem  
do szpitala, jak oni mówią. Polczyli mnie, rozpruli mi walon-  
ki. A mnie kość wybiło. To przywiązali deskę. Głowę szyli też.  
Położyłem siedem dni, popatrzyli, naczelnik jeden, on był wol-  
ny, popatrzał, że nie nie tego. Na trzeciej fabryce był taki sz-  
pital dla więźniów. Tam mnie zawieźli, położyli i tylko deska.  
Nawet w gips nie wzięli. Prześwietlenia oni nie mieli absolut-  
nie. A ja nogi nawet spuścić nie mogłem, jak igłami mnie...  
Jak leżałem, noga mnie nie bolała, ale jak tylko spuszczałem tro-  
chę, to nawet chodzić nie mogłem. Ona czerwona do kolana.



Ja tam poznałem taką lekarkę chirurga. Mameczka na nią mówi-  
li. Ona mnie potem wywołała do swojego biurka i pytała się, skąd  
pochodzę. Ona sama była gdzieś spod Lwowa. Natomiast wyszła za  
mąż za Rosjana. Ona była bardzo dobrym chirurgiem. Ona mnie po-  
tem przynosiła ciastka. Operacji mi nie robili, tylko deska. Ta  
lekarka może i miała rację - chodziło o to, żebym dłużej poleżał.  
I był tam jeszcze Chińczyk - chirurg.

Po miesiącu mnie wypisali i ja z kitem do swojego łagru.  
Tam mnie powieźli. A tam znajome chłopaki byli i nawet dali ten  
list czy coś, żeby korespondencję mieli z ~~zakładem~~<sup>tej</sup> fabryką z na-  
szą kopalnią. Przywieźli to zimą. Ja ten wypadek miałem akurat-  
nie dwudziestego czwartego grudnia, akuratnie na Boże Narodze-  
nie. A my z tym Urbanem. On gdzieś znalazł w kopalni jakąś kon-  
serwę, puszkę konserwy, ktoś gdzieś schował. My z tym Urbanem  
siedli, w wigilię zjedli, ja na drugą czy na trzecią zmianę  
poszedłem do pracy w nocy. I rano mnie to wszystko się stało.  
I potem ten Urban przynosił mi choć herbaty. To on najwięcej z  
Polaków. Leżałem w szpitali cały styczeń. Przyjechałem z powrotem  
do łazu i jak poszedłem do lekarza - tylko przeszedłem się, nia-  
a noga czerwona. Ja nie mogłem stanąć na nogę - tylko tak zwiasz-  
na noga była. Jak leżałem to ona mnie tak nie bolała, ale jak  
spuszczałem - znowu. Oni popatrzyli, i znowu miesiąc nie chodzi-  
łem do pracy. Znowu mnie dali do tego samego szpitala. Na trze-  
cią fabrykę. To był szpital przy fabryce. To tam się napatrzy-  
łem codziennie, jak strasznie pokaleczonych ludzi przywozili.  
Tam dwóch, trzech dziennie umierało. ~~Ludziom~~ ~~byli~~ ~~przywieżeni~~  
tak jak szmaty. A drugim razem jak mnie przywieźli to nic nie  
zrobili tylko gips dali. Po trzech miesiącach dali mi gips na  
nogę, a to ani prześwietlenia ani nic. A mnie po prostu kostkę  
wybiło na drugą stronę. I teraz to mam.

Tam lekarze na nas jak Niemcy praktykowali. Żadnych leków, żadnego nic. Ot, który wytrzyma to wytrzyma, który ma odporniejszy organizm to wytrzyma, a nie wytrzyma - to tam nikt nie opowiadał.

I ta Polka-chirurg mówi do tego Chińczyka: O, ja mówię, niech jeszcze poleży, a teraz weź i go lecz. Ja tam blokowałem łożko. To tak to o zdrpwy byłem, śmiałem się. Tylko nogi spuścić nie mogłem. Na trzeci miesiąc jak ~~mi~~ przywiązali na leżo to nogę chciałodjąć. Do kolana. Ale ja nie dałem. Oni mówią, że wtedy szybciej zagoi się i będzie wszystko w porządku. Ja niek pozwoliłem. To oni: "No to do roboty!". Oni mnie dawali do krawców, szewców.

U nas ten numer codziennie trzeba było unąć, żeby go było z daleka widać. A w kopalni jest kurz, wody nie było to tylko tak się rozciągało ten brud, żeby chociaż widać było.

A ja mówię, że nigdzie nie pójdę. Odciegałem to, żeby nigdzie nie iść do pracy żeby jeszcze dłużej poć. Dali mnie już wtedy do tych zupełnie dochodzących - nie pamiętam czy to się nazywało pko czy pkp - na ten odpoczynek. A tam był taki Winidok. Polak. Z Warszawy. I on mówi: Janek, ciebie dali tutaj na kontrol. Bo mówią, że ty mastyrkę robisz. To znaczy kombinuję. Tam oni kombinowali, a to rozdrapie, żeby lizka więcej gnęło. Oni to nazywali mastyrka. To trwało od dwadzieóstego czwartego grudnia do maja. Nigdzie oni mnie nie mogli dać do roboty. Ale koniec końców pod koniec maja musiałem.

Chciałem iść do praczki. A tam w praczkie pracowali przeważnie Chinczycy. Oni najsprytniejsi. Oni kucharzami byli i w praczce pracowali. Ze to niby specjaliści. ~~xxxxxxx~~ I mówi: "Ja, dzien-gom masz to Wania, Wania. Tak dzieneg niet to jobanyj kitajec." ~~xx~~ Jak przyjdzie zupy żeby dał trochę - "Didia Wania, w ogóle, daj zupy, dolewki trochę" no oni tego, a jak tego to machnie tro



chę z tego, a który znajomy tam trochę tego to też tam dawali

Pod koniec maja poszli mnie na pasiołek, zobymżeś tam sprzątać. Tam taką brygadę zrobili. Zgotzikiem się. Z kijem cho dzikiem na ten pasiołek. Tam wolni pracowali. My tam sprzątniem kawałek, to chleba tam kawałek dadzą, to margaryny dadzą. Tam kobiet było mało i one cennie były jak anioły. Pokłóci się z jed nym, zawijs kieckę i idzie do drugiego, a ten z miłą chęcią, bo kobiet było mało. Potem, już jak byłem na wolności, to tam na Siejczanie był łagier kobiecy. To kierownicy robili tysiąc kilo metrów, wiezli worek jedzenia żeby tylko z kobietami.

Spotykałem kobiety. Nawet rozmawiałem z taką kobietą, sekre tarką Własowa. Ona drugą podłapała i one dwie żyły: kobieta z ko bietą. Ona przechodziła za chłopca a drugą odebrała za kobietę. I oni jakoś palcami tam. Mówią: "Popróbujesz palczika to nie zechce się malczyka". To było nierozzerwane. Nie podchodzi w ogó le. One i podstrzygały się jak chłopcy i to przeważnie wszystkie były. Ale to bieda. Po prostu bieda znuszenia. Młode to wszystko. Czy ja z nią rozmawiałem? Rozmawiałem, ale co ona mi ciekawego mogła powiedzieć? Ja już byłem wolny, daleko zaszedłem.

Jedna znowu to była szpiegiem japońskim. Tam w ogóle wszyst kie kobiety, to można powiedzieć inteligencja. Ich w Siejczanach było dwieście czy pięćset. Chodziły pod konwojem, ale czasem kon wój wolno puszczał, gdzieś do chłopca, leci rano czy coś, gdzieś ty tylko przyjedzie do tego Siemczana to i do domu leci. Takie w ogóle rzetelne. Po prostu rzetelne kobiety, można powołać. Pomagały tym chłopcom w ogóle. He, he. To było coś nadzwyczajnego

Były tam też pederasty. Jednego znalazłem, co był w naszej bry gadzie. On za miskę kaszy kucharza. Tam jego kucharz ten w ogóle. To my jemu mówili: cholera, no co ty w ogóle wyrabiasz. Ale on taki w ogóle ledwie łąził, ledwie nogi ciągał. Okazuje się, że to był syn pope. A on mowi: "No co? Ty chodzisz na kuchnię praco-

wać, a ja muszę też z czego żyć, to chociaż z tego". Można powiedzieć: dupy da to chociaż niski kaszy dostanie. Niektórzy to mieli takie delikatne twarze, jakby kobiece, jak u dziewczynki.

W łagier pederastów było nie tak dużo, to raczej wyjątki, może dziesięciudwunastu. Mas było setki tysięcy i to przeważnie młode chłopaki. Te młode chłopaki, jak które nie miały styczności z kobietami to potem jak wyszli na wolność to w ogóle nie mogli mieć stosunków z kobietami. Wykluczone. Pożyją tam niesiąc... Ta kobieta nie mogła mu w ogóle dać tego, żeby u niego ten organizm pracował. Może nikt w to nie uwierzy, ale taka jest prawda. Tak było u młodych ludzi, którzy jeszcze przed pójściem do obozu nie mieli stosunków z kobietami. To to wszystko ko zmierało i nie można było tego odczuć. Może dwudziestu procentom się to udawało. Jak ja wyszedłem w pięćdziesiąty, czwartym już po Stalnie, na wolność, to wtedy dowiedziało się, że takie rzeczy. Bessensowne w ogóle z kobietami. Niektórzy, owszem starsze chłopcy, które już żonate przedtem były - to im łatwiej to wszystko przychodziło. Najgorzej ta młodzież nie mogła do tego wszystkiego dojść.

W pięćdziesiątym trzecim roku, jak zmarł Stalin to przez dwa dni nie wypuścili z tego łagru nikogo. Nie wiedzieli, co się może z tymi więźniami stać. Jak nimi ~~praktycznie~~ pokierować. Ale ci więźniowie w łagrach prosili Boga, żeby Ameryka spuściła desant. Tam oni czekali. Bo wystarczyło rzucić parę samolotów, na każdy łagier trochę broni, od razu wyspa byłaby opanowana. Bo tam sami tylko więźniowie byli. Zawięziony naród. Ale nie do czekali się. Ja osiem lat odsiedziałem i nigdy mi się nie zdarzyło żebym wyszedł bez konwoja. Tylko byłem cały, czas pod karabinem.

Pięćdziesiąty trzeci rok przyniósł dalszą utratę zdrowia



nia tylko u mnie ale w ogóle w całej kopalni. Ludzie padali z wycieńczenia, wymęczenia, tyle lat w kopalni a jeszcze przy życiu. A sam chory już byłem cały tydzień, nie mogłem nogę ciągnąć, a zwolnienia nie dają. Nie ma gorączki to nie dają. Aż jeden kolega zobaczył, że u mnie oczy żółte. Poszedłem do lekarza, okazuje się, że mam żółtaczkę. Ale żółtaczka to była dobra choroba. Bo nie chciało się jeść, położyli w szpitalu i tak przez cały miesiąc. Na tydzień to tylko jedną kostkę, glukozy dawali takiej wielkości jak kostka cukru. A tak- leżałem i nic nie bolało. Tylko cała podciel żółta była. I takie choroby, i bardzo dużo, cała tam sala nas było, leżala na gk gołych pryczach. Jeden, pamiętam takłosjanin, nazywał się hołot, to opowiadał, że widział Stalina, potem jemu dali piętnaście lat, ale już staruszek, ledwie żył. Ja wtedy nie interesowałem się tymi sprawami.

Po miesiącu wypisują i dalej do roboty. Jeżeli człowiek miał jeszcze odporny organizm, to to wszystko przetrwał. A jeżeli nie - to nie wytrzymywał. Umierał. Widziałem jednego Stasia, to on mówił, że siedem trupów wywoził na sankach zimą. Wywalali na ~~kwadrat~~ koniusznie. -ych czerepów tam już nie rozbijali, bo to nie było co. Rozbijali tylko w Mogadenie jak wywozili tam ze zoną. Zawijali tylko w pałatkę i śniegiem przywalali, bo tam zamarznęta ziemia i nie przekłujesz.

W pięćdziesiątym trzecim roku, jak już Stalin umarł to przez trzy dni nas nie wypuscili ani do kopalni ani nic. Siedzieliśmy w barakach i czekali, co będzie dalej. Ale po trzech dniach znowu to samo. To samo jedzenie, to samo wszystko.

Chyba w pięćdziesiątym trzecim roku, nie pamiętam dokładnie, jak ten niemiecki Adenauer przyjechał do Moskwy, to tam opowiadał, że on dopominał się o swoich Niemców. Powiedział, że już dziesięć lat od wojny minęło i żeby Niemców wypuscili. I potem

Niemców wypuszczali w pierwszej kolejności. Niemców, Jugosłowian, Rumunów, Węgrów, wszystkich po kolei. Polaków też. Ale to słabo jeszcze. W ogóle nie było takiej możliwości żeby wypuszczali.

W styczniu pięćdziesiątego czwartego roku minęło osiem lat a ja na wolność nie wychodziłem. Wyszedłem w lutym pięćdziesiątego czwartego. Dwa lata przed terminem. Bo wyrabiałem więcej niż sto procent i miałem takie zapłaty - dzień za dwa czy dzień za dzień. Może i wcześniej bym wyszedł gdybym nie był w kopalni ranny, zawałony parę razy. Niektórzy to i trzy lata wcześniej wychodzili.

Wyszedłem. Wsa dziesięć czy piętnastu wywieźli do Siemczanu. Jechaliśmy pod konwojem i po jednym... I mówią: "Teraz będziecie wolni, ale nie możecie oddać się poza miejsce zesłania." I pytają gdzie kto chce. Ja chciałem z powrotem do tej kopalni, bo już po prostu przyzwyczaiłem się. Ale oni się nie zgodzili. Może z powodu zdrowia? I dali mi skierowanie do lasu na Wierch ni Siemczan. Bo tam był Niżnyj Siemczan i Wierchnij Siemczan. Na Niżnym było lotnisko i to wsa stko. Na Wierchnim było podsobnyje jak oni mówili. Tam trzymali krowy, tam trochę swin. Krowy trzy mali, żeby mleko było. Tam już niektórzy poženili się, dzieci były, z Rosji przyjeżdżali, to musieli mieć mleko dla tych dzieci.

Tam było obóz kobiety. ~~Te~~ Te kobiety czasem puskali bez konwoja - to wodę woziły, to drzewo woziły. A mnie jak skierowali do lasu to trafiliem na jednego znajomego, który był razem ze mną. On był w biurze w lesnictwie. I jeden wolny naczałnik całe go lasu. - kierownik czy jaki tam. I mnie káterują ... On był Polak, pułkownik jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Taki staruszek. I on do mnie mówi: "Janek. Ja ciebie dam tam, h



gdzie najlepszy las jest, na taki odcinek,. Drugi był Ukrainiec ze wschodniej Ukrainy. Bardzo sympatyczny chłopak. Ale on też głupio popadł do idjotycznego więzienia. Bo był w Armii niemieckiej a <sup>(zdał się czy tego i)</sup> potem przeszedł do Rosji. ~~Wojna~~ "ak skończyła się wojna, to on głupio zrobił: za miast pojchał gaziec na Daleki Wschód to on do domu przyszedł na Ukrainę. Na drugi, na trzeci dzień - zenie się! Tam kobiet ybyło pełno, jego tam schwycili żeby zenił się. On miał nieć ślub. I jakaś sasiadka doniosła. Jego raz zbrali, dali czterdzieć lat i my my razem pracowali.

Na początku na wolności jak tam nas zawieźli, to w takim- bunkier- nie bunkier, tam zrabany z ~~drzewa~~ drzewa taki, ale po prostu tak jak w ziemi, nazo na wierzchu było. Tam dachów nie było. Na wierzchu tam tymi zerdziemi można powiedzieć na tego i dziarno było nazozone i tak mieszkali w dole. A dachów żadnych nie było. Chociaż byli my na wolności. Placili tyle ile wyrobisz normy. Pierwszego dnia tylko dziewięć metrów we dwóch postawiliśmy, a niektórzy dwadzieścia metrów stawiali. A my w żadnym wypadku więcej nie. Bo jak jedno drzewo zerwiemy, to ono w anieg wpadnie i go nie widać. Póki go nie wydostaniemy, póki tego - dziewięć metrów jak złożymy w ciągu całego dnia to jest strasznie dużo. A placili za metr sześć r-ubli czy ile? Miesiąc czy dwa bardzo słabośmy zarabiali. Ale jakoś przetrwali my, oni potem trochę nam dopisywali, bo to znajmi, potem jeszcze był też taki brygadzysta, Panaciuk, z Ukrainy naszej, ale fajny chłop. A tam zimą przyjeżdżali samochodami, traktorami i zabierali to drzewo na to osiedle, pesiołek, tam pilowali, rozwozili, bo tam domy już mieli niektórzy swoje, własnie postawili.

Jak Stalin umarł to nam potem zaczęli płacić pieniądze. Ale to była mała ilość tych pieniędzy. Bo oni większą część odliczali na oberugę i to wszystko, a nam dawali sto r-ubli czy ile. Jeżeli więcej to tam przywozili coś kupić, a reszta na książecz-

kę. Chyba pół roku czy więcej na latwiasz dostanem. Potem jak jak wyszedłem, oni tam zapłacili co było z oszczędności, nie wiem dokładnie ile - może i tysiąc rubli nawet było - to tam jak zawieźli to już na obiad poszli do tej stołówki, restauracji. Ale tam skromnie. Pić - nie piliśmy. Zjedliśmy obiad i dalej.

I tak cały zimę my z tym pracowaliśmy jak na wolności. Zarobki były małe. W tygodniu - raz. Bo to było piętnaście kilometrów jechać do Siogezanu. A już na wolności byliśmy. W sobotę jedziesz - jak zejść? Wróz do czterdziestu, pięćdziesięciu stopni. Na te rogatki. Na rogatki brali po sześć nawet i po dzieć więcej metrów drzewa. Ale takie drzewo pilowali trzy metry długości, tak że sześć, dziewięć metrów. On tam nabierze nawet siedem, a zapieże tam dziewięć czy co. No ale to tam komu przypisze więcej jak coś w lesie zostaje się. Nam to łopisywał potem tak w ogóle ten Ukraińiec.

Možna było kupić cukier, masło chleb, czasem konserwy przywozili. My na te dwóch braliśmy dwa kilo masła, cztery kilo cukru /cukier w kostkach, grube kostki, dobry cukier/ i tak żyliśmy. Rękawki oni tam świetnie chowali. Jak czasem świni, bili to kierownik nam wypisywał głowy i nogi, do lasu woźą. To jak kupim całą głowę, czy co, to my jak w galarecie nagotujemy, to cały tydzień we dwóch jem. Garnek taki duży. Na wadzę się przybrało.

~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~

Co dokucza? Wróz. Cak nie było, w watówce - wszystko jedno. Bo ona dworze. Człowiek przyzwyczajony do kopalni, to tam cieplej. A tu zimno. Rękawic nie ma. W ogóle do Wisny to było straszne.

Nadeszała wiosna. Dwudziestego trzeciego lody zaczęły się. A myśmy mieszkali koło rzeki Kołymy. Ona większa jak nasza Wisła. Mówili, że ciągnęła się dwa i pół tysiąca. Jak lody zejda to oni mówili, że tam puszczają statki od morza w górę aż do Sze;



czan. Lody schodziły dwa tygodnie. Po tych dwóch tygodniach rusza woda, zalewa naokoło. Koło tej rzeki były lasy modrzewiowych. U nas to nazywało się listwienca. Wyżej to już tylko suche drzewa były, a w dole koło samej rzeki grubsze. Ale grubego drzewa nie widać było, tylko trzydzieści do czterdzieści centymetrów grubości.

Tak się mordowaliśmy, licząc ~~XXXX~~, że na wolności. Ale chleba, margaryny to już ~~znaję~~ najedliśmy się. Z ubrania - nic. Tylko watówki, tak jak było w więzieniu tak i na wolności. Dali nam takie coś jak dowód osobisty - taki kawałek papieru : kiedy wyszedł i gdzie mógł się poruszać. Mogłem się poruszać tylko w magadańskiej obłasti, jak oni mówią, poza tym nigdzie. Nie było możliwości wyjechać gdzie.

Z domów pisali. Jak byliśmy jeszcze w obozach to nam tylko dwa listy do roku można było napisać i to w takim papierze: złoty papier od worka po cementcie. I tylko trójkąt można było - zał na koperta, żadne nic. Bo oni musieli przejrzeć, co tam pisze, Potem zaczęli, już jak pieniądze w domu, to na tych terenach ~~głód~~, na wolności też tam. Matka, bracia, tam ~~głód~~ i chłód. Tam trochę pieniędzy zarobiło się jeżeli nie jeździło się, zostawała się to jeszcze trzeba było do ~~na~~ domu posłać tam dla matki. Oni tutaj też pracowali w tym kółchozie, to za jeden dzień, jak oni mówią, nawet nie mogli zarobić na kilo żyta.

Warunki były straszne, pomimo że na wolności. Ani umyć się, ani nic. Zimą wody nie było. Można było chodzić pięćset metrów do rzeki, albo śnieg utopić sobie. Gotować - też mało gotowaliśmy. To jeden gotował, to drugi. Na zmianę. W sobotę musieliśmy jechać po chleb. Bo nie było nic. Bo tam tylko na jeden tydzień można nabrać chleba i cukier i masło. Jeszcze krupy jakieś, ma-

karony ugotować . Rybę można było złapać, upiec ją i zjeść. Jeżeli trafi się jakieś mięso...

W Siemczanach była łaźnia, . Tam zeba tam było chodzić, żeby wszyscy nie napadli. A jak umyjesz się tam już ćwiartka, nawet ci, co już byli na wolności, ci, co sobie już poznajdywali kobiety, też musieli dać ćwiartkę. Baby też. Taki, jak oni mówią, system.

Taki był cały pięćdziesiąty czwarty rok do wiosny. Wiosną wysyłali na koszenie siana. W czerwcu. Dwa miesiące. Ale trawa rosła równo z człowiekiem. Tam jak świat światem nikt nie kosił, nie. Tam stara ta trawa. I były też nirny, to wszystko. Za jeden taki stóg... oni obliczają stogi jak złożysz: ile metrów długości, szerokości, wysokości - ile ton. I od tony płacili. Zarobki takie. Ale ~~ixkian~~ życie takie prymitywne. Każdy gdzieś w tych szalaszach, lasach, tak nocowaliśmy. Woda jeszcze gdzieś na uboczu. Jak daleko od wody to strasznie. Piłiliśmy jakie kałuże, coś, potem coraz mniej tej wody było, cedziliśmy ją z błota, a w tym tyle było komarów? Te komary pojawiały się nagle jak tylko stopniał śnieg. A jesienią, kiedy komary wyginęły, <sup>(i zaczynało zamarzać)</sup> pojawiała się meszka. Meszka była gorsza od tych komarów bo mniejsza. Nawet jak pozawiażujesz ~~wszystkie~~ nogawki, to wszędzie ~~włazie~~. Na komary ~~nie~~ mieliśmy takie "nakomarhiki", tak jak u nas marle <sup>kiedyś</sup> czy coś, albo jak przed wojną kobiety zakrywały się, nakładały takie coś na siebie. \* To od komarów był ratunek. A od tej meszki nie było.

Jak nastawał pięćdziesiąty piąty rok, to do lasu znowu, napikowanie lasu. Bo latem jak pracowaliśmy przy sianie to chodziliśmy do tego Siemczanu. A tam kobiety pracowały. W lecie one sadziły kapustę a zimą robiły garnki z torfu i nawozu. końskiego, zdaje się one mieszały tam. A potem wadzały tam kapustę a jak robiło się ciepło to od razu wsadzały kapustę razem z \*



tym garnkiem do ziemi na pole. Ona rosła tam nie taka duża, ale główka może takakilogramowa. Kiedyś był u mnie kolega jeden, Ło tysz, i ~~on~~ jesienią oni pojechali i posćinali tę kapustę. I ona leżała w kupach. Myśmy pojechali kon-mi, to było chyba z dzie-sięć kilometrów. Nałożyliśmy tej kapusty, przywieźliśmy do do-mu i na całą zimę nakłóiliśmy kapusty. Ale gdyby złepali to znowu taki sam srok dostalibyśmy.

Nie absolutnie niekupowaliśmy Ani ubrania ani nic. Żyło się (na zapas) z dnia na dzień. Nie było przywidzenia, że kiedyś wyjedzie się gdzieś do Rosji czy w ogóle do domu. Jak się ubranie wydzierało to tylko wtedy szliśmy kupować. Bo już służbowego nie dawali, trzeba było kupować. Jeżeli c odzi o zdrowie to ludzie, owszem, chrowali, ale kto przetrzymał łagry to już dobijał się.

W pięćdziesiątym czwartym - piędziesiątym piątym roku za-częli ludzie pisać do Moskwy, że srok odsiedzieli, żeby puszc-zali do domu, Polacy do Polski. ~~Nixxhyko~~ Oni nie odpowiadali nic. W pięćdziesiątym piątym roku zaczęła już kilku od nas pisać i ich puścili. I przyjeżdżali tu do Polski. Ale mimo to ludzie nigdy nie myśleli że wrócą, przyjadą na swoje tereny. Do ostatn-niej chwili chodzili do roboty. Po prestu życie bezsensowne.

Kobiet było mało, ~~ka~~ ale można je było zobaczyć, porozmawiać chociaż jeszcze były w więzieniach. One miały większe wyroki - po dwadzieście pięć lat. Ale mogli chodzić nawet bez konwoju. To one przylecą i obiad gdzieś zrobią. ~~którakam~~ Nam było łatwo do nich dojść bo tam byliśmy. A niektórzy to i po tysiąc kilomet-rów do nich przyjeżdżali. Aby z kobietą tam porozmawiać i jeszc-ze też tak tego. Myśmy też tam trochę chodzili.

Kobiety doły i czysciły krowy. Krowy cały rok stały w chle-wach. Tych kobiet do krów, było chyba z dziesięć I tam sodoma i gomora wyrabiała się. Żyć trzeba. A żadnego nadzoru nie było. A gdzieś jak uzajdzie któraś w ciąży to ona sama sobie zrobi to

skrobanki, jak oni mówią" oborty". Tak dbali Rosjanie o człowieka. Jakoś igłami sobie to przebijały, niektóre umierały. Straszne rzeczy były.

Niektóre kobiety nawet w obozach miały dzieci. Im dzieci zabierali, ale jak wychodziły z obozów i chciały zabrać swojego dzieciaka, to oddawali. Niektóre po dwóch, po trzech latach wychodziły i zabierały swoje dzieci. Jeżeli kobieta wiedziała z kim miała tego dzieciaka to można było zabrać.

Nie było tak, że jak w szedł na wolność to gdzie chciał pojechać. Ale po małżeństwie i po małżeństwie zaczęli puszczać. ~~Wtedy~~ Było tam dwóch Łotyszy- to jeden, syn Łotewskiego ~~naczelnika~~ milicji, ministra milicji. Jego matkę siostrę i jego wywieźli na Syberię. Oni jedli wagonem towarowym, ojciec jakoś tam ukradkiem przychodził na stację. Syn zdolny był chłopak. Wtedy zaczął chodzić do ruskiej szkoły to zaczął takie stichi, wiersze pisać. Osił Stalinie, o tym wszystkim. To mu dali dziesięć lat. Ale taki był chłopak zdolny, że on nawet do nas, jak byliśmy na wolności, to przyjeżdżał. Aby tylko miał w domu czy coś- to od razu samochodem i jedzie do nas. To zimą. Bo ~~także~~ drogę taką robili, traktory rozpychali, śnieg.

Śniegu nawalało dwa metry wysokości albo i więcej. Bo słupy telegraficzne to były tylko czubki na wierzchu. Jeden traktor taki stalinowcy, to jest dużo w ogóle. On pługą ciągnął i sam pług z tyłu a coś w rodzaju lemńsza z przodu. To on to odczepiał tylko jeden, na boki tylko ~~on~~ rozsuwał, żeby... no jeszcze takie mijanki w ogóle robili.

Natomiast latem tylko można było poruszać się wodą. Myśmy mieli łódkę i siedaliśmy i te piętnaście kilometrów łódką robiliśmy- po zakupy, po chleb. To już jak zimny te lody schodzą na dwa, trzy tygodnie nabierało się żywności. Cukier, masło, chleb. Chleby wysychały, ale trzeba było żyć. Po przejść nie był



to jak: wszędzie wodą pozalewane, a jak już zetopilo to wszystko to po lesie kódkami drzewo ściągali. Można było jeździć i tego. I to co roku. Nawet do tego Siemczenu to jeździli ludzie z dachów. Woda wszystko zatapiała, ludzie wchodziłi na dach, kódką podjeżdżało się i ich się zabierało. I wywoziło się gdzieś pod góry na jakiś czas, póki te wody nie zejda. Potem smród w tych mieszkaniach jak woda tak te mieszkania zaleje. I tak co roku zalewało. To jest straszne. Bo tam co najmniej dwa, trzy metry <sup>o</sup>niegu. A lody takie jak bloki. I jak gdzieś te lody zrobią taki zator że nie można ich ani przebić ani nic to wtedy rozlewa się szybko woda po całej dolinie, topi, w oczach w ogóle topi. Bo to z gór, z tych jezior już jak nazbiera się ta woda to wpływa do morza.

I takie było życie naszych akowców. Zrobili ludzi politycznych. Po jedenaście lat tułaczki. Odbudowywać Rosję i swoim ciałem gnoić ich ziemię.

Teraź, /po trzydziestu latach dużo się zapomniało, a i wspominać się nie chce. Żeby to jakoś się zapisało. A zdjęć?! W obozach jak byliśmy to oni codziennie, jak oni mówią, szmony robili. Szukali i po kieszeniach - to niemożliwe było. A jak byliśmy już na wolności tam? To człowiek nie wiedział, czy przyjeździe do Polski, czy Czech do Czechosłowacji. Ludzie żyli z dnia na dzień, bez zdrowia. Ja sam przyjechałem - co ze mną? Bez zębów człowiek, bez nóg - ale żyć trzeba.

Jak było z przyjazdem? Spotkanie było niemiłe. I do dzisiaj tego dnia nie mają oni do nas zaufania. Nawet te kombatanckie organizacje. Traktują jak złodzieja, trzeba oszukiwać, nie można powiedzieć, że było się w więzieniu tylko na zsyłce. Jak coś to pytają się: "A może ty tam byłeś gdzieś w więzieniu?" Dlaczego? Na co? My, Polacy? Tak traktujem jedni jednych. Co my przezierklieli, a przecież my też byliśmy Polakami. I mi się zdaje

że my to pierwsze stawialiśmy czoła i jednym i drugim. Ale nie  
tyle dali nam się we znaki Niemcy co Rosjanie. Dlatego śmierć<sup>że</sup>  
przez te osiem lat zaglądała nam w oczy. ~~xxxxxxx~~ Wprawdzie od  
Niemców więcej ludzi zginęło niż od Rosjan, ale każdym ó wił: le-  
piej by u umarł niż mordować się na tym świecie. Jeżeli człowiek  
młody, dwadzieścia lat., i on ledwie chodził, jeżeli potrafili  
nawet w tym Łajszecie ... tam u jednego wykryli, że węża ugot-  
wał w kociołku? ~~xxxxxxxxxxxxxxxxxxxx~~ Jakie to życie! Jeżeli  
człowiek kawałek chleba nie ma. Nie myśli o niczym tylko o ka-  
wałku chleba. Nawet byli tacy ludzie, co przez całą noc nie mog-  
li spać bo się denerwowali, żeby nie dostać kawałka chleba ze  
środką bochenka. Bo w środku bochenka chleba był surowy, a tylko  
po bokach wypieczony. To oni przez całą noc się denerwowali czy  
im ten środek nie ~~wyjdzie~~ wypadnie. To jest życie? To jest mor-  
dęga. I każdy ~~krzy~~ patrzy jeden na jednego kiedy ściągnie  
go się z tych przycz.

Nie mogę wszystkiego powiedzieć, bo myśl tak nie nakatuje.<sup>szybko</sup>  
Opisać też nie mam chęci. Co prostu da tych lat nie chce się w  
wracać i nie życzyłbym żadnemu najgorszemu wrogowi, żeby prze-  
szedł rosyjskie łagry.

Nic więcej powiedzieć nie mogę.